

EYELYN A. CROWE

**TAK TRUDNO
ZAPOMNIEĆ**

scandal.love

EYELYN A. CROWE

**TAK TRUDNO
ZAPOMNIEĆ**

scandal.love

Maximilian Warner stał przed ogromnym oknem na szóstym piętrze budynku, gdzie mieściła się agencja detektywistyczna Warnera i Harta, i spoglądał na Central Park. Minęła wiosna i nadeszło lato, a on nawet tego nie zauważył.

Westchnął głęboko i rzucił okiem na papiery rozłożone na biurku. Trzeba z tym skończyć. Najwyższy czas zadzwonić i przekazać złe wiadomości.

Ponownie zwrócił się w stronę okna i zapatrzył przed siebie. Nie widział nic; przed oczami miał tylko twarz młodej kobiety, której zdjęcia leżały w nieładzie na biurku. Nie musiał na nie patrzeć; znał na pamięć te piękne rysy i łagodny, zadumany wyraz twarzy. Nigdy jej nie zapomni.

- Wyglądasz strasznie.

- I tak się czuję.

Max wrócił do biurka i spojrzał na swego współnika, Douglasa Harta. Byli właścicielami jednego z największych biur detektywistycznych w kraju, mieli filie w Los Angeles i Houston, zatrudniali ponad stu ludzi. Pracowali razem od pięciu lat. Kierowana przez nich agencja miała świetną opinię i od pewnego czasu mogli sobie wybierać klientów i sprawy, które chcieli prowadzić. Doszli do tego ciężką pracą; mieli też odrobinę szczęścia.

- Nie byłeś w domu?

Douglas obrzucił Maxa krytycznym wzrokiem. Nie oczekiwał odpowiedzi i nie otrzymał jej. Jego współnik wyglądał istotnie źle: miał potargane włosy, podkrążone oczy, zgasłe spojrzenie; z całej jego osoby emanowały smutek i przygnębienie.

- Ja mam zadzwonić, czy sam to zrobisz?

Bał się o Maxa. Znali się od dwudziestu lat. Obaj pochodzili z małego teksańskiego miasteczka, razem grali w piłkę i baseball, i już w szkole byli nierozłączni.

Poszli na te same studia, dzielili pokój w domu studenckim, razem pili, bawili się i podrywali dziewczęta. Wspólne zainteresowania spowodowały, że obaj poszli do wojska, a raczej do elitarniej jednostki wojskowego wywiadu. Po kilku latach zdecydowali, że mają dość i tego samego dnia zwolnili się ze służby.

Przyjęli propozycję FBI i przez następne pięć lat pracowali dla ojczyzny. Potem poszli na swoje.

- Max, siedzimy nad tym od półtora roku! Żadnej

sprawie nie poświęciliśmy tyle czasu; musimy to zakończyć.

Max obrzucił spojrzeniem stertę papierów leżących na biurku.

- Przecież wiesz, że on ją zabił.

Spojrzał na zdjęcia umęczonym wzrokiem, jak ktoś, kto przyrzekał sobie, że już nigdy tego nie zrobi, ale coś go do tego zmusza.

Sandra Applewhite Gillman, lat dwadzieścia siedem, córka Harry'ego i Helen Hudson Applewhite'ów z Kentucky. „Tych” Applewhite'ów. Milionerów arystokratycznego pochodzenia. Stary ród, stare pieniądze. Sandra była jedynaczką. Byli szczęśliwą rodziną; Harry Applewhite umarł przed dziesięcioma laty.

W kilka lat po śmierci ojca Sandra poznała Johna Gillmana i wyszła za niego. W rok po ślubie wyruszyli w podróż jachtem z Florydy; mieli płynąć na wyspy Bahama i dalej, na Wyspy Dziewicze. Tam właśnie wydarzyła się tragedia. Sandra zginęła podczas wybuchu, do którego doszło najachcie zakotwiczonym obok wyspy Gorda. Tak zakończyło się to, co miało być ich drugim miodowym miesiącem.

W czasie eksplozji męża Sandry, trzydziestoletniego playboya, byłego oficera marynarki, na jachcie nie było. Ciała Sandry nigdy nie odnaleziono, śledztwo wkrótce umorzono i John Gillman został oczyszczony z podejrzeń o spowodowanie śmierci żony.

Helen Applewhite nigdy w to nie uwierzyła. Za poradą znajomych zwróciła się do agencji „Warner i Hart”, i powierzyła im sprawę śmierci córki. Była

przekonana, że Gillman zamordował Sandrę. Warner i Hart zapoznali się ze sprawą i doszli do tego samego wniosku. Brakowało tylko dowodów.

Douglas spojrział na biurko.

- Siedziałeś nad tym całą noc.

Max uniósł na niego zmęczone oczy.

- Chciałem jeszcze raz to przejrzeć.

Douglas nic nie powiedział. Kilka razy zdarzyło im się odkładać na bok nie rozwiązane sprawy. Nigdy ich definitywnie nie zamykali; z czasem zawsze mogło się pojawić coś nowego. Tym razem wszystko było inaczej.

- To nie jest dla ciebie sprawa jak inne, dotyczy cię osobiście.

Max nie słyszał go, wpatrzony w leżące przed nim zdjęcia.

- Max...

- Masz rację, każda sprawa, którą się zajmuję, dotyczy mnie osobiście. Nie lubię przegrywać.

- Tym razem jest coś jeszcze...

Max uniósł głowę i spojrział na Douglasa. W jego zmęczonych oczach było zniecierpliwienie.

- O co ci chodzi?

Douglas wziął głęboki oddech.

- Zakochałeś się w niej.

Max gwałtownym ruchem odsunął fotografie.

- Ona nie żyje.

- Wiem.

- Doug, nie mam siły na twoje gierki. Mów, co myślisz, albo daj mi spokój.

- W porządku. Od pierwszej chwili, kiedy pani

Applewhite zjawiała się tutaj z tymi zdjęciami i opowiadała nam historię Sandry, bardzo się zmieniłaś. Złapanie Gillmana stało się twoją obsesją.

Max próbował mu przerwać, ale przyjaciel mówił dalej:

- Wiem, że Gillman zamordował żonę. Po roku pracy zrozumiałem, że nigdy mu tego nie udowodnimy, ale ty szukałeś dalej przez następne sześć miesięcy. Głową muru nie przebijesz. Nie wskrzesisz tej kobiety, wpatrując się w jej zdjęcia.

- Nie baw się w psychoanalizę, Doug; ja wiem, że ona umarła.

- Naprawdę? Miłość to dziwna rzecz, mój drogi. Człowiek niby wszystko rozumie, a kiedy miłość przychodzi, jest bezbronny jak dziecko. Zakochałeś się w Sandrze, to wszystko.

Mówił opanowanym głosem, ale był bardzo zaniepokojony. Od sześciu miesięcy nie poznawał Maxa. Z człowieka towarzyskiego zmienił się niemal w odludka. Zerwał wszystkie znajomości, do późnej nocy siedział w biurze, nikogo nie przyjmował. Douglas próbował jakoś go rozerwać, ale Max był nieugięty. Zaproszony na obiad czy kolację odmawiał stanowczo, nie podając powodów, i zamykał się znowu w swojej skorupie. Nie raz bąkał, że ma inne plany, co było nieprawdą.

Douglas przestraszył się na serio dopiero kilka dni temu. Spacerowali sobie z żoną po Central Parku i postanowili zajrzeć do Maxa. Zastali go nad stertą zdjęć. Nieco zmieszany, wymruczał coś o konieczności pracy w domu i niezgrabnie złożył papiery.

Douglas zdążył jednak zauważyć, że są wśród nich zupełnie nie znane mu fotografie, tak jakby wspólnik prowadził sprawę na własną rękę. Szczególnie zaniepokoił go wyraz twarzy Maxa. Przyjaciel wyglądał jak człowiek zupełnie oderwany od rzeczywistości, tak jakby żył w innym świecie.

Nie ma na co czekać. Trzeba go wyzwolić spod wpływu kobiety, która... nie żyje.

- Skoro, jak mówisz, nie zakochałeś się w Sandrze, to znaczy, że jesteś po prostu przemęczony. Musisz odpocząć, zanim się wykończysz i przy okazji wykończysz naszą firmę.

Max uśmiechnął się smutno.

- Dręczy mnie to, bo czuję, że coś w tym jest. Nie zakochałem się w Sandrze, po prostu jej przypadek nie daje mi spokoju.

Spojrzał na przyjaciela z nagłym poczuciem winy. Rzeczywiście, ostatnio nieźle dał mu się we znaki.

- Zaraz zadzwonię do Helen - powiedział. - Daj mi chwilę czasu.

- Może ja to zrobię?
- Nie. Zostaw mnie samego.
- Może byłoby lepiej...
- Doug!

Douglas Hart skierował się ku drzwiom i przystanął w progu.

- Kiedy skończysz, daj mi znać. Mam coś dla ciebie. Dokładnie to, czego ci teraz trzeba. Praca na świeżym powietrzu, regularne posiłki, i tak dalej.

Z westchnieniem otworzył drzwi i cicho je za sobą zamknął.

Max stał przez chwilę nad biurkiem, jakby nie wiedział, co dalej począć. Jego wzrok znowu pobiegł ku zdjęciom. Wielkie zielone oczy, piękne usta, uroczy uśmiech... Wrócił ból w sercu. Czuł niemal jedwabne włosy Sandry przy swojej twarzy.

Była nie tylko niezwykle piękna. Miała w sobie coś delikatnego, subtelnego... Niezwykły, kojący urok osoby kochającej ludzi i zwierzęta. Wiedział o niej wszystko. Była inteligentna, mądra, wykształcona. Wykorzystywała posiadany majątek, żeby nieść ulgę ludziom pokrzywdzonym przez los. Szczególnie dużo uwagi poświęcała dzieciom specjalnej troski.

Lubiła czekoladę, ale po niej bolała ją głowa. Uwielbiała lody śmietankowe, za lewym uchem miała ciemne znamię, była uczulona na kocią sierść. Jej ulubione perfumy nazywały się „Joy” - radość - lubiła gardenie i żółty kolor. Poza tym świetnie jeździła konno. Doskonale pływała, sterowała jachtem, uwielbiała morze.

Max przeprowadził tyle rozmów z jej znajomymi i przyjaciółmi, że znał ją chyba lepiej niż matka. Wiedział też, że nie ma żadnych dowodów na to, że zamordował ją własny mąż. Wszystko dokładnie sprawdzono, zanim wypłacono mu milion dolarów ubezpieczenia; za kilka miesięcy miał otrzymać pięciomilionowy spadek po żonie.

Był kiedyś u Maxa w biurze. Max dobrze zapamiętał przystojnego mężczyznę, przez długą chwilę wpatrującego się w rozłożone na biurku zdjęcia.

John był wysoki, opalony, robił wrażenie kogoś, kto lubi kobiety, mocne trunki, dobre samochody i nie cofnie się przed niczym, żeby to wszystko zdobyć. Po jego wizycie Max przysiągł sobie, że drania usadzi. Skoro oficjalna sprawiedliwość sobie z nim nie poradziła, wyręczy ją pewien detektyw z prywatnego biura.

Zebrał zdjęcia i papiery, włożył do teczki, zamknął ją i sięgnął po telefon.

Douglas przysiadł na biurku sekretarki Maxa i nie spuszczał oka ze światełka na aparacie telefonicznym. Wspólnik rozmawiał. Kiedy światełko zgasło, Douglas wstał i poszedł do jego gabinetu.

- Jak to przyjęła?

- Jak dama. Rozczarowana, smutna, ale bez słowa wyrzutu. Powiedziałem jej, że sprawa nie jest jeszcze zamknięta, że zawsze coś się może zdarzyć, i że nie można tracić nadziei.

Przeciagnał dłonią po zmierzwionych włosach.

- Ale mnie to wzięło...

Douglas przez chwilę milczał. Miał coś w zanadru, ale nie chciał mówić o tym wprost, żeby nie spłoszyć zwierzyny.

- Kiedy ostatnio łowiłeś ryby w rzece? - zapytał obojętnym tonem.

Wiedział, że Max uwielbia to zajęcie.

- Jakieś dwa, trzy lata temu, kiedy byliśmy z klientem w Kolorado.

Wizja czystej, wolno płynącej rzeki - przezroczyście kamieniste dno, smugi roślin i złote refleksy prze-

pływających ryb - wywarła na Maxie spodziewane wrażenie. Przesunął dłonią po czole.

- Nie tak szybko, Doug, jestem dzisiaj trochę zde-nerwowany.

Douglas postukał palcem w teczkę leżącą z boku biurka. Nie była otwarta. Zwykle tak właśnie kładli sobie na biurkach dokumentację nowych spraw.

- Carl Bernard Bedford... Coś ci mówi to nazwisko?

- Bardzo wiele. Właściciel pięciuset korporacji. Imperium wydawnicze. Co on ma wspólnego z wędkowaniem?

- Jak to miło, że pytasz. - Douglas zdjął okulary w drucianych oprawkach i zaczął się nimi bawić. Ryba chwyciła przynętę. - Bedford kupił kawał ziemi w Montanie, chce tam coś budować. Ma ochotę na jeszcze kilka hektarów, podobno cudo, wodospady, lasy, strumienie pełne ryb i tak dalej, ale właściciel nie chce tego sprzedać.

Otworzył teczkę i przerzucił j akieś papiery.

- Nazywa się Charles Dawson. Uparł się i nie chce sprzedać.

Max wzruszył ramionami.

- Jego prawo.

Douglas włożył okulary.

- A nasze prawo wziąć za tę sprawę pieniądze. Duże pieniądze.

Max zamyślił się. Pracowali już tyle lat, zarobili całkiem sporo; sam nie wiedział ile, ale było tego wystarczająco dużo, żeby nie mieć pojęcia, co z taką forszą zrobić.

Czas się wycofać. Emerytura w wieku trzydziestu

dwóch lat to świetny pomysł. Ale czy człowiekowi pozwolą?

- Powiedz, Doug, kiedy wreszcie przestaniemy robić wszystko dla pieniędzy? - spytał zmęczonym głosem.

- Wtedy kiedy kupimy sobie luksusowe mieszkania w zachodniej części Central Parku i przeniesiemy biura niedaleko domu, żeby dla zdrowia chodzić do pracy piechotą - odparł bez wahania współnik. - Do tego czasu musimy zmodernizować system komputerowy agencji i regularnie płacić alimenty moim trzem byłym żonom. Nie, przepraszam, dwóm. Sara stale jest jeszcze aktualną, zapomniałem. Ona myśli, że ja drukuję pieniądze, dlatego nie krępuje się z wydatkami. Nigdy nie żęń się ponownie, Max.

Max uśmiechnął się. Jego przyjaciel był mistrzem podwójnego życia i na swój sposób lubił płacić byłym żonom bająnskie sumy; w jego narzekaniach zawsze czuło się cień satysfakcji. Douglas uwielbiał tego rodzaju komplikacje. Max sam rozwiódł się przed pięćmioma laty i nie zamierzał żenić się powtórnie. Dwa lata tamtego związku odebrały mu chęć na rodzinne życie.

Chyba żeby...

Twarz Sandry mignęła mu przed oczami. Pomyślał, że z nią jest gotów się ożenić i zostać na całe życie. Najlepszy znak, że natychmiast powinien przestać o niej myśleć. Raz na zawsze.

- W porządku, powiedz mi coś więcej o sprawie Bedforda. Jak rozumiem, mamy złamać Dawsona, człowieka twardego jak skała.

- Niezupełnie. Dawson ma swoje słabostki. Popija, gra w karty. Utrzymuje się ze swoich gór. Organizuje wyprawy, tak zwane „wycieczki Dawsona”. Wiezie ludzi w góry, daje im połowić ryby, nacieszyć się przyrodą, rozumiesz, takie wypadki dla zamożnych klientów. Bierze za to spore pieniądze. Trochę postrzelają, pochodzą po skałach. Nikomu to nie przeszkadza, nigdy nie było żadnych skarg. Bedford kiedyś spędził tam tydzień, żeby się zorientować. Miejsce tak mu się spodobało, że postanowił je kupić.

- Rozmawiał o tym z Dawsonem?

- Wiele razy. Stary odesłał go z kwitkiem. Ostatnim razem wyrzucił jego ludzi ze swojej posiadłości. Powiedział, że jak ich jeszcze raz u siebie zobaczy, poczęstuje ich śrutem.

Max uśmiechnął się blado. Był zmęczony i chciał jak najszybciej zakończyć rozmowę.

- A my co mamy robić?

- Pojechać tam. Powęszyć. Zebrać informacje o Dawsonie. Zrobić to, co robimy zwykle, kiedy klient zleci nam rozpracowanie jakiejś firmy. Poznać słabe punkty przeciwnika, a potem opowiedzieć o nich Bedfordowi. Wykonać robotę, a przy okazji postać w rzece z wędką. Co ty na to?

Max zamyślił się. To brzmi zachęcająco.

Oderwie się, wszystko sobie przemyśli. Rozpatrzy za i przeciw, a po powrocie podejmie ostateczną decyzję. Wyprawa do Montany, tak czy owak, stanie się punktem zwrotnym w jego życiu.

2

Max spojrział w stronę okienka małego sportowego samolotu, a potem zwrócił się do siedzącego obok Douglasa:

- Zrobiłeś to specjalnie, draniu, prawda? - wycedził przez zaciśnięte zęby.

Był błądy jak ściana. Turbulencje sprawiały, że żołądek podchodził mu do gardła. Dłonie miał wbite w poręczę fotela.

Wygląd przyjaciela sprawił mu złośliwą satysfakcję. Douglas wyglądał jeszcze gorzej; wyciągał właśnie spod siedzenia papierową torebkę. Max zamknął oczy i z rezygnacją poddał się konwulsyjnym ruchom żelaznego pudła, w którym byli zamknięci. Przez chwilę nic do siebie nie mówili.

- Nie powiedziałem ci - wykrztusił w końcu

Douglas - że dalsza część drogi będzie tak wyglądała, bo nigdy byś się nie zgodził lecieć czymś takim. Upie-rałbyś się, że trzeba wynająć samochód, a na to nie mamy czasu, stary. Przyjechalibyśmy za późno i straci-libyśmy rezerwację. Nie masz pojęcia, ile musiałem zapłacić, żeby nas dołączyli do tej wyprawy. Mieli już komplet gości.

Samolot nieco się uspokoił. Max otworzył oczy.

- Pewnie, że wynająłbym samochód. Nigdy bym nie przystał na coś podobnego - oświadczył, nie od-wracając wzroku od oparcia fotela, który miał przed sobą. - Kiedy my, do cholery, wreszcie wylądujemy?

Douglas próbował się uśmiechnąć, ale nie bardzo mu się udało. Sam też miał dosyć tego lotu. Gorzko żałował, że nie wynajęli prywatnego samolotu. Ile to już razy zmieniali samoloty od Nowego Jorku? Trzy, może cztery?

- Niedługo. Mamy wylądować na małym lotnisku niedaleko miasta, które nazywa się Bartlet. Wyjedzie po nas ktoś od Dawsona i zawiezie na ranczo. Spędzi-my tam jedną noc, a jutro rano wyruszymy w góry do czegoś w rodzaju schroniska. To się nazywa „chata”. Sam się nie mogę doczekać. Wzięłeś te wędkę, co ci kupiłem? Ten chłopak w sklepie powiedział, że ryby same się na nie łapią.

- Zdziwiasz mnie, Doug. - Max nie zmienił po-zycji. - Zwykle jesteś bardzo podejrzliwy i strasznie trudno cię przekonać. Mnie to zwykle zajmuje około tygodnia. A tu idziesz sobie do sklepu sportowego i ja-kiś smarkacz w pięć minut ci wmawia, że sprzęt, który

kupujesz, jest najlepszy na świecie i sam łowi pstragi. Zmieniasz się z wiekiem, stary.

Douglas nie pozostał mu dłużny.

- Ja też ci się dziwię. Kiedy byliśmy w wojsku, stale lataliśmy i jakoś ci to wychodziło. Skakałeś ze spadochronem bez zmrużenia oka, a teraz robisz miny, bo jakiś samolocik trochę trzęsie.

- Coś ci powiem, Doug. Ja też się zmieniłem. Wtedy byłem głupim zapaleńcem bez wyobraźni. Ostatnio trochę wydorostałem.

Chciał jeszcze coś dodać, ale samolot zaczął podchodzić do lądowania i wstrząsy jeszcze się wzmogły. Max wbił ręce w poręcze fotela i zamknął oczy. Czuł się, jakby spadali w głąb studni, zaczepiając po drodze o cembrowinę.

Otworzył oczy dopiero wtedy, kiedy poczuł na ramieniu dłoń Douglasa.

- Jesteśmy na miejscu, stary. Spójrz, czeka na nas samochód. Idziemy.

Douglas zerwał się i zaczął przeciskać w stronę wyjścia.

Max podniósł się powoli i pochylony, na miękkich nogach, podążył za nim. Przy wyjściu z samolotu uderzył go świeży powiew. Zaciągnął się głęboko i rozejrzał. Piękno krajobrazu oszołomiło go bardziej niż kryształicznie czyste powietrze. Mógłby tak stać godzinami, lecz Douglas popchnął go w stronę samochodu.

Kierowca starego suburbana przedstawił się jako Reed Bartlet. Ciekawe, tak samo nazywa się miasto. Max uważnie przyjrzał się chłopcu. Był bardzo

młody, ciemnowłosy, o bystrym niebieskim spojrzeniu. Bardzo przystojny, dziewczęta pewnie nie dają mu spokoju. Trochę za młody, żeby mieć prawo jazdy - liczy nie więcej niż czternaście lat. Jest wyrosnięty i opalony, robi wrażenie starszego, niż jest w rzeczywistości, ale jak mu się dobrze przyjrzeć, to po prostu dzieciak.

Max wzruszył ramionami. Byłoby dobrze spytać go, czy ma prawo jazdy, ale teraz jest zbyt zmęczony. Ma tylko ochotę usiąść w czymś, co zbytnio nie trzęsie, i zasnąć.

Obudził się po godzinie, czując, że Douglas szarpie go za ramię.

- Jesteśmy na miejscu, Max.

Otworzył oczy i zobaczył jakieś zabudowania i zagrody dla bydła; za oknem mignął mu jeździec, próbujący wyprzedzić samochód. Pomyślał, że chłopak da teraz gazu i zostawi śmiałka daleko w tyle, ale kierowca nie zareagował. Musi mieć stalowe nerwy, uznał Max; ja w jego wieku nie pozwoliłbym sobie na coś takiego.

Za oknem przesuwały się zielone pola, łąki pełne żółtych i różowych kwiatów. Od czasu do czasu za szybą migały drzewa. Widok był tak piękny, że Max przetarł oczy, by się przekonać, że to nie sen. Montana w lipcowe popołudnie... Autorzy przewodników nie przesadzali, wymyślając takie określenia. Krajobraz istotnie był jak z bajki.

Poczuł, jak zmęczenie z wolna z niego opada, sztywność karku ustępuje, prostują się plecy, rośnie

pojemność płuc. Miał wrażenie, że spokój bijący od łąk i zagród pełnych najedzonych, ocieężałych zwierząt udziela mu się, zmywając napięcie całego dnia.

Douglas coś powiedział i Max ocknął się z zamyślenia. Nie zrozumiał słów, ale spojrzął w kierunku, który wskazywał przyjaciel.

Podjeżdżali właśnie pod wielki dom z szarego kamienia. Załamania dachu miały w sobie zdumiewającą czystość rysunku. Szlachetność budynku przykuwała wzrok i zmuszała do zastanowienia. Był tak doskonale wkomponowany w krajobraz, że szare ściany zdawały się wyrastać wprost ze zbocza góry, a dach powtarzać i cieniować jej zarys. Sama „góra Dawsona” wyglądała tak, że nie można było się dziwić, iż Bedford pragnęła ją przyłączyć do swych posiadłości.

Reed zatrzymał się na podjeździe.

- Charlie Dawson już schodzi - oznajmił. - Skręcił sobie nogę w kostce, dlatego idzie tak wolno.

W głosie chłopca brzmiało zaaferowanie osoby odpowiedzialnej za to, co robi. Było w nim jeszcze coś, co Max zinterpretował jako uczucie ulgi, że po drodze nie zatrzymała ich policja. Co zresztą niczym nie groziło. Max pamiętał, że w małych miasteczkach jego dzieciństwa nikt nikogo nie pytał o prawo jazdy.

Wysiadając z samochodu, wsadził chłopcu do ręki banknot i uśmiechnął się porozumiewawczo. Charlie Dawson podążał w ich stronę, ostrożnie stąpając z nogą w białym opatrunku. W ręku miał laskę. Oto jak wygląda człowiek, którego mają rozpracować...

Max patrzył na niego spod oka, notując każdy

szczegół. Dziwne, jak wiele można się dowiedzieć o człowieku z samego wyglądu.

Charlie Dawson był mężczyzną średniego wzrostu, mocno zbudowanym; musiał mieć jakieś sześćdziesiąt kilka lat. Ubrany był w spłowiałe dżinsy, długie kowbojskie buty i oryginalną, szafirowo-brązową koszulę. Strój wskazywał na to, że starszemu panu nieobca jest pewna kokieteria. Miał w sobie coś z niedbałej elegancji bywalca salonów przebranego za kowboja. Siwe włosy interesująco kontrastowały z silną opalenizną.

Gdy Charlie spojrział na niego, Max natychmiast odjął mu kilka lat. Wzrok pana na tych włosciach miał w sobie coś młodzieńczego. Na jego twarzy, prócz zniecierpliwienia, malowało się rozbawienie.

Dawson ze swej strony też dokonał wstępnej oceny nowych gości, którzy właśnie wysiedli z samochodu, i doszedł do tych samych wniosków co zawsze.

Wszyscy uczestnicy „wycieczek Dawsona” byli do siebie bardzo podobni, tak jakby pochodzili z jednej rozgałęzionej rodziny ludzi bogatych i wpływowych. Wyglądali podobnie, byli niemal identycznie ubrani i zachowywali się tak samo. Wszyscy przywozili z sobą bagaż: wielkie walizy pełne ubrań, zupełnie jakby jechali do kurortu.

- Witam, serdecznie witam w Dawson. Zapraszam do domu, podano właśnie chłodne napoje i wszyscy już czekają. Jak widzę, mają panowie sporo rzeczy. Zaraz zawołam Asha, to nam pomoże.

Uścisnął dłonie nowo przybyłym i zwrócił się do chłopca, który ich przywiózł:

- Zadzwonił, żeby Nicky wiedziała, że już na nią pora. Jesteśmy w komplecie.

Przez chwilę jakby czegoś wypatrywał. Douglas popatrzył na nogę gospodarza.

- Co się stało? Jakiś wypadek? Pewnie spadł pan z konia albo miał jakąś przygodę z bykiem?

Dawson roześmiał się głośno.

- Coś znacznie bardziej prozaicznego. Pośliznąłem się na wyfroterowanej posadzce w holu.

Gestem wskazał im drogę do domu.

- A teraz chodźmy. Zimne napoje czekają, a obiad zaraz podamy. Na pewno jesteście panowie bardzo zmęczeni, a reszta uczestników wyprawy proponuje, żeby wyruszać zaraz, po obiedzie. Czeka was niezwykła droga po najpiękniejszych w świecie górach. A może będziecie woleli spędzić noc na ranczu i ruszyć dopiero jutro po śniadaniu?

Wzrok Maxa przyciągnęła znajoma sylwetka jeźdźca. Jeździec minął ich w galopie i zatrzymał się przed gankiem. Douglas cofnął się instynktownie. Z konia zeskoczyła smukła dziewczyna, usłyszeli dźwięczny śmiech. Twarz dziewczyny skrywał kowbojski kapelusz.

Max zrobił kilka kroków i nagle zatrzymał się jak porażony.

Nie mógł się ruszyć.

Wstrzymał oddech.

Usłyszał szum w uszach.

Wszystko wokół spłówiało i zniknęło.

Widział tylko ją.

Krótkie, złociste włosy aureolą otaczały drobną, śliczną twarz, rozjaśnioną zielonymi oczami. Nigdy nie widział kogoś tak pięknego. To znaczy widział, ale... Ból przywołał go do porządku. Palce Douglasa zacisnęły się na jego ramieniu jak kleszcze.

- Rany boskie, rany boskie... Max, co się tutaj dzieje?

Max nie odpowiadał, bo nie był w stanie wydobyć głosu. Miał przed sobą Sandrę Applewhite Gillman. Znał na pamięć każdy szczegół jej twarzy i jej ciała. Drobne zmiany - krótkie włosy, nieco szczuplejsza sylwetka i brak makijażu - nie miały znaczenia. To była Sandra.

Stała przed nim zmarła kobieta, ale była... żywa.

Szybko się opanował. Postanowił niczym się nie zdradzić. Teraz on z kolei porozumiewawczo ścisnął ramię przyjaciela. Nic nie mówić, na razie nie wolno nic mówić.

Gospodarz nie przejął się ich reakcją. Był do tego przyzwyczajony. Goście zwykle na widok jego córki tak właśnie się zachowywali.

- Nicky, to są ci panowie, na których czekaliśmy.

Przedstawił córkę i spojrzał na wyższego mężczyznę. W jego zachowaniu zaszła wyraźna zmiana.

Nicky przywitała gości z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Miała już pewne doświadczenie. Ludzie, którzy tu przyjeżdżali, z grubsza zawsze zachowywali się tak samo. Byli ostentacyjnie mili i uprzejmi, reagowali z wyższością ludzi przywykłych do przywilejów, jakie dają duże pieniądze. Na wszystkim się znali: na

górach Montany, na łowieniu ryb we rwących potokach, a zwłaszcza na kobietach. Niektórzy mieli też bardzo rozbudowane ego. Umiała z nimi postępować.

Przyjrzała im się uważnie. We wzroku tego wyższego było coś dziwnego. Błękitne, hipnotyzujące spojrzenie. Nicole drgnęła. Intuicyjnie wyczuwała, że dzieje się coś niezwykłego.

Z tymi dwoma mogą być kłopoty. Przeczuwała to. Pozornie robili wrażenie nieśmiałych i spokojnych, ale pozory zwykle mylą. Uprzejmie przeprosiła nowo przybyłych, wbiegła po schodach do domu i zniknęła.

Jak wspomnienie snu po przebudzeniu...

Max siłą powstrzymał się, żeby nie przetrzeć oczu. Bał się spojrzeć na Douga. Bez słowa, jak dwóch nastolatków, którzy zaniemówili na widok dziewczyny, ruszyli za Dawsonem wspartym na ramieniu Reeda.

Nicole pobiegła do swojego pokoju i zatrzasnęła za sobą drzwi. Zupełnie jakby ktoś ją gonił. Serce waliło jej jak szalone. Wyraźnie słyszała jego uderzenia. Czuła na sobie palące spojrzenie wyższego mężczyzny, Maxa. Intensywność jego spojrzenia wzbudziła w niej niepokój.

Odetchnęła głęboko raz i drugi, i na uginających się nogach poszła do łazienki. Wzięła szybki prysznic, umyła głowę i wysuszyła włosy, a potem nałożyła lekkiego makijaż i zaczęła się ubierać, myśląc zupełnie o czym innym. To śmieszne, ale była w stanie myśleć tylko o sposobie, w jaki Max Warner na nią patrzył.

Było w tym zdumienie, gniew i coś jeszcze, czego nazwać nie potrafiła.

- Nicky, Nicky - powiedziała do siebie - mężczyzna to kłopot, kłopot w ładnym opakowaniu. Przecież wiesz.

Włożyła szorty koloru khaki.

- Wiesz przecież - mówiła dalej, zapinając spodnie - miałaś już z nimi do czynienia... Dobrze, zacznę mówić do siebie. Do tego doszło^

Wzruszyła ramionami.

Ostatnim razem, kiedy pewien mężczyzna ją zainteresował, wyszła za niego za męża. Wybór nie był najwłaściwszy.

- I sama widzisz, jak to się skończyło. - Usiadła na łóżku i zaczęła wkładać długie buty. - Rozwód, powrót do domu i życie u boku tatusia.

Mimo woli znowu przypomniała sobie tamto spojrzenie i przeszedł ją dreszcz.

Coś ciepłego, ciemnego, zmysłowego...

- O Boże. - Przejrzała się w lustrze. Źrenice miała rozszerzone, policzki zaczerwienione. Przygryzła wargi. - Nie jesteś małą dziewczynką, masz dwadzieścia siedem lat. Twoje życie to farma i Charlie.

Przypomniała sobie, jak bardzo ojciec się cieszył, że jest przy nim. Nie może go zostawić.

Rozejrzała się po pokoju. Przestronna duża sypialnia, wysokie okna, drewniane meble, światło, spokój, cisza. Jej sanktuarium, jej raj; tu zawsze była u siebie. To jedyne miejsce w domu, gdzie mogła się skryć ze swoimi smutkami i radościami.

Wyprostowała plecy i poczuła się silniejsza. Musi stawić czoło temu mężczyźnie tam na dole, wytrzymać

te pięć czekających ją dni. Wszystkiemu podoła, nie może tylko zaprztać sobie głowy jakimiś fantazjami. Teraz najmniej w życiu jest jej potrzebny mężczyzna.

Spokojnie zamknęła za sobą drzwi, zeszła na dół i w holu omal się z kimś nie zderzyła.

- Sam!

Zatrzymała się, nie kryjąc zdumienia.

- Co ty tu robisz?

Nie widziała go od ostatniego dnia szkoły. Chciała iść dalej, ale chwycił ją za ramię.

- Wiem, że interesuje cię stała posada w naszej szkole. Przyszedłem ci powiedzieć, że za dwa tygodnie będzie zebranie rady i zamierzam wysunąć twoją kandydaturę. Uważam, że doskonale dajesz sobie radę i mam zamiar to powiedzieć.

Spojrzała na niego podejrzliwie. Sam Wooten miał trochę ponad czterdzieści lat, był rozwiedziony i przekonany, że żadna kobieta mu się nie oprze. Od pewnego czasu chodził za nią, ale zawsze grzecznie i stanowczo odrzucała wszelkie jego propozycje. Nie chodziło jej o to, że jest starszy, siwieje i rośnie mu brzusek - po prostu było w nim coś śliskiego i nieprzyjemnego, co budziło w niej nieufność.

Musiała być dla niego uprzejma; był dyrektorem szkoły, w której uczyła. Od kilku miesięcy miała zastępstwo w pierwszej klasie. Nauczyciel zginął w wypadku samochodowym i zaangażowano ją na okres próbny.

Montana jest stanem rozległych przestrzeni i wielkich odległości. Miasta i miasteczka rozrzucone są rzadko i dzieci trzeba dowozić do szkoły autobusami.

Na szczęście jedna ze szkół znajdowała się w Bartlet, godzinę drogi od rancza Dawsonow. Gdyby znalazła tam stałą posadę, mogłaby pracować, jednocześnie doglądając ojca i pilnując rodzinnego interesu.

Wyraz twarzy Sama wskazywał na to, że cel wizyty sprawia mu przyjemność. Czuł, że ma nad nią przewagę i widać było, że zamierza ją wykorzystać. Patrzył na Nicole jak kot na ptaszka, pewien, że wpadnie mu w łapy.

Nicole uśmiechnęła się, ale jej oczy pociemniały z gniewu. Jej były mąż zawsze nią manipulował, stąd знаła wszystkie sztuczki. Sam w porównaniu z nim był zwykłym amatorem, potrafiła więc zachować zimną krew. Zresztą miała świadomość, że dużo nie ryzykuje.

- Dziękuję, że przyszedłeś, ale teraz muszę już iść. Mamy gości. Powinnam się nimi zająć.

- Pomyślałem, że może będziesz chciała pójść ze mną na kolację i porozmawiać o tej posiadzie. - Mało brakowało, a byłby się oblizał. - Moglibyśmy nieco bliżej się poznać. Dotychczas jakoś nie było okazji, a przecież... jako przyszli współpracownicy powinniśmy omówić pewne sprawy. Nie sądzisz?

Zamilkł, widząc jej nieprzyjazne spojrzenie.

Nie zamierzała odpowiadać; miała tylko ochotę kopnąć go w podbrzusze. Opanowała się i kątem oka spostrzegła, że nie są sami. Zresztą od pewnej chwili miała wrażenie, że ktoś ich obserwuje.

Rozejrzała się i w końcu korytarza dostrzegła Maxa Warnera. Wyszedł z jadalni i stał teraz w kącie, patrząc na nich.

- Przykro mi, Sam, ale muszę iść do gości. Czeka-
ją na mnie.

- A może porozmawiamy, kiedy wyjdą?

Przywołała na twarz oficjalny uśmiech.

- Zaraz po obiedzie idę na tydzień w góry. To kawał
czasu, trudno coś planować. Wszystko może się zdarzyć.

- Może mógłbym przyłączyć się do twoich gości?
Lubię góry.

Poczuła, że Max się zbliża do nich, niosąc w ręce
butelkę piwa. Zwróciła się ku niemu.

- Mogę panu w czymś pomóc?

W jej głosie była troska pani domu odpowiedzial-
nej za wygodę gościa.

Max pociągnął łyk z butelki. Wzrok miał utkwiony
w zielonych oczach Nicole. Uśmiechnął się do niej,
zawrócił i ponownie zniknął w jadalni.

Jak zahipnotyzowana patrzyła za nim. Głos Sama
sprowadził ją na ziemię.

- Kto to jest?

- Jeden z naszych gości. Przepraszam, ale muszę
już iść. Prowadzę ich dzisiaj w góry.

Jego zdumienie rozbawiło ją.

- Chcesz powiedzieć, że przez tydzień będziesz
sama w górach z tą gromadą mężczyzn?

- Sam - powiedziała, idąc z nim w stronę drzwi
- na tym polega moja praca. W ten sposób zarabiamy
pieniądze, ja i Charlie. Słyszałeś chyba o „wyciecz-
kach Dawsona”.

Otworzyła przed nim drzwi, lekko popychając go
ku wyjściu.

- Ale... tak sam na sam z tymi wszystkimi... tak długo...

- Dziękuję za odwiedzinę, Sam. Bardzo miło, że wpadłeś.

- Posłuchaj. - Sam Wooten wyraźnie próbował opóźnić moment opuszczenia domu. - A może ja bym jednak z wami poszedł? Moglibyśmy po drodze przedyskutować sprawę tej pracy.

- Oczywiście, serdecznie zapraszamy. Udział w wyprawie kosztuje cztery tysiące dolarów.

Odczekała chwilę, rozkoszując się jego zdumieniem. Strazał był celny.

- Mamy już jednego nadprogramowego klienta, mogę zapytać ojca, czy możemy wziąć jeszcze jednego. Jeśli rzeczywiście chcesz, to niedługo wyruszamy.

Wyprowadziła go za próg. Sam patrzył na nią osłupiałym wzrokiem.

- Cztery tysiące dolarów - powtórzył - cztery tysiące. .. To nie do wiary.

- Dlaczego? Tydzień najlepszego jedzenia, najlepszych gór i najlepszego wędkowania w całej Montanie, a właściwie w całym kraju, wart jest chyba cztery tysiące? Nasza firma zapewnia wszystko w najlepszym gatunku.

- Cztery tysiące?

Siłą powstrzymując się, żeby nie wybuchnąć śmiechem, zamknęła drzwi.

- Zadzwoń do mnie po powrocie, dobrze?

Wreszcie poszedł. Uśmiechnęła się do siebie z satysfakcją i spojrzała w stronę jadalni. Jej uśmiech zgasł

na widok bawiących się w środku gości. Trudno, należy się brać do roboty. Płacać i trzeba ich znosić. Pieniądze są potrzebne. Przypomniała sobie wszystkie nie popłacone rachunki i westchnęła.

Ten dom, ranczo, góry, to wszystko należy do rodziny od czterech pokoleń. Dawsonowie zawsze tutaj żyli i tu umierali. Tu było coś więcej niż dom, niż siedziba. Tu było życie, tu było jej serce. Zawsze tutaj wracała, nawet z bardzo daleka.

Teraz wróciła na zawsze. Charlie sam nie da sobie rady. Jest zbyt lekkomyślny.

Kochała to miejsce i wiedziała, że tryb życia Charliego może mu zagrozić. On też kochał swoje góry, ale nie był w stanie zapanować nad namiętnościami. Nie zdawał sobie sprawy z konsekwencji pewnych działań, odpowiedzialność nie była jego najmocniejszą stroną.

Adwokat powiedział jej ostatnio, że jeśli ojciec nie przestanie grać, hazard może doprowadzić ich do ririty. Zasugerował nawet, że byłoby lepiej, gdyby zabezpieczyła prawnie swoje interesy. Odrzuciła ten pomysł. Nigdy tego nie zrobi. Nie wystąpi na drogę sądową przeciwko Charliemu. Dostanie posadę w szkole, będzie nad nim czuwała, i wszystko skończy się dobrze.

Musi być dobrze.

3

Nie miał wątpliwości, sytuacja była zupełnie jasna. Nie potrzebował wiele czasu, żeby zrozumieć, o co temu facetowi chodzi. Intencje mężczyzny, z którym rozmawiała Sandra, nie pozostawiały wątpliwości. Prymitywne bydlę...

Max miał ochotę go udusić. Poszedł nawet w ich stronę, ale spokojny, stanowczy głos Sandry osadził go w miejscu. Głos i spojrzenie. Cudowne zielone oczy, w których ujrzał gniew i naganę. Nie rozumiał, dlaczego Sandra udaje Nicole, ale postanowił się dowiedzieć. Jest w tym jakiś sekret, wystarczy cierpliwie poczekać, a rąbek tajemnicy z czasem sam się uchyli. Max potrafił czekać.

Wolnym krokiem skierował się do jadalni, nie przestając słuchać rozmowy tamtych dwojga. Zdumiała go

mistrzowska sprawność, z jaką Sandra spławiła natręta. Dawniej taka nie była; od czasu swojego zniknięcia bardzo się zmieniła. Ciekawe, co się za tym kryje. Trzeba koniecznie naradzić się z Dougiem.

Przyjaciela zastał w akcji. Douglas stał przy stole zastawionym jedzeniem i sięgał do kolejnych półmisek z miną człowieka, który od tygodnia nie miał nic w ustach. Max karcącym wzrokiem obrzucił porcję sałatki, chipsów i pikli, piętrzących się przed przyjacielem.

- Co z twoją dietą odchudzającą?

Douglas nie od razu odpowiedział, zajęty łowieniem czarnych oliwek za pomocą widelca. Czynność ta pochłaniała całą jego uwagę.

- To górskie powietrze okropnie pobudza apetyt...
- mruknął wreszcie z pełnymi ustami.

- Nie byliśmy jeszcze w górach.

- Na samą myśl o tym mam ochotę coś przekąsić.

Douglas z niezmaconym spokojem sięgnął po butelkę piwa.

- I zwilżyć gardło. A jak wiadomo, nie wolno pić na pusty żołądek, bo to niezdrowo. Radzę ci coś zjeść, Mas. Niedługo wyruszamy do tej chaty w górach, a to podobno kawałek drogi. Padniesz z wycieńczenia.

Max przełknął łyk piwa i obrzucił przyjaciela krytycznym spojrzeniem. Douglas dołożył wszelkich starań, żeby odpowiednio wyglądać.

- Aleś się wystroił. Wyglądasz jak kacyk z jakiejś bananowej republiki. Kupiłeś sobie te ubrania specjalnie na górska wspinaczkę?

- Pewnie.

Max wydał wargi.

- I pewnie czujesz się jak prawdziwy obieżyświat, zdobywca Dzikiego Zachodu, co?

- Zamknij się.

- W porządku, porozmawiajmy poważnie. Musimy się nad wszystkim zastanowić, opracować plan działania. I to szybko.

Skubnął chipsa z talerza Douglasa.

- Nie możemy obaj iść w góry i zostawić dziewczyny tutaj. Ktoś musi jej pilnować. Ale jeśli obaj zrezygnujemy z wycieczki i zostaniemy tutaj, wzbudzimy podejrzenia. Co proponujesz? Masz jakiś pomysł?

Znowu sięgnął do talerza przyjaciela.

- Jeden z nas niech idzie w góry. - Douglas odsunął talerz na bezpieczną odległość. - Drugi pod pozorem, że jest zmęczony, zostanie na ranchu, pogada z ludźmi i postara się dowiedzieć, co ona robi w Montanie.

Zerknął na mężczyzn stojących wokół stołu. Skończyli już jeść i popijając, słuchali Dawsona opowiadającego o czekającej ich wyprawie. Kiedy znowu spojrzął na swój talerz, brakowało na nim sandwicza.

Max przełykał właśnie ostatni kęs.

- Chyba ja tutaj zostanę, przypilnuję jej i zawiadomię biuro, co się dzieje, a ty idź z nimi.

Douglas już miał się zgodzić na propozycję przyjaciela, kiedy nagle przypomniał sobie, co Max czuje do tej dziewczyny. Podobne emocje w ich pracy mogą bardzo skomplikować sprawę.

- Sam nie wiem... Może byłoby lepiej, gdybym ja został.

Przerwał mu chóralny wybuch śmiechu zgromadzonych przy stole mężczyzn. Wszyscy doskonale się bawili.

Męski rechot dochodzący z jadalni uświadomił Nicole, co ją czeka. Ma poprowadzić w góry siedmiu pseudoturystów, mieszcuchów spragnionych przygód i emocji związanych z obcowaniem z „dziką naturą”. Ciężko westchnęła.

Przedtem musi się o nich czegoś dowiedzieć. Wzięła z korytarzowej półki książkę, w której notowano dane dotyczące uczestników każdej wyprawy. Takie informacje są bardzo przydatne, pozwalają nawiązać coś na kształt osobistej więzi z ludźmi, których się prowadzi. W księdze dostrzegła tylko pięć nazwisk. Dwóch ostatnich gości jeszcze do niej nie wpisano.

Trudno, dowie się później. Wyprostowała się, głęboko odetchnęła i weszła do pokoju wypełnionego gwarem męskich głosów.

Charlie, jak zwykle, siedział na honorowym miejscu i bawił gości opowieściami o swoich wędkarskich wyczynach. Był doskonałym gospodarzem; miał w sobie coś, co natychmiast przykuwało uwagę słuchaczy; roztaczał niewidzialny czar, sprawiający, że ludzie, z którymi obcował, przez długie godziny pozostawali pod jego urokiem. Jest cudowny... Nicole poczuła nagły przypływ czułości.

Rozmowy cichły w miarę, jak szła przez jadalnię

w stronę ojca. Ten i ów wstał z krzesła, skłaniając się lekko. Nie patrząc na tamtych dwóch, stanęła przy boku Charliego. Wiedziała, co teraz powie. Słyszała już to nieraz.

- Jak panowie widzicie - Charlie lekko postukał laską w gips na nodze -jestem nieco unieruchomiony. Nie mogę panów poprowadzić. Moja córka, Nicole, zastąpi mnie i będzie panom towarzyszyła w górskiej wyprawie.

Widząc rozczarowanie na niektórych twarzach, uśmiechnął się i ciągnął:

- Zanim wyrazicie swoje niezadowolenie z faktu, że prowadzić was będzie kobieta, zechciejcie proszę wziąć pod uwagę pewien drobny szczegół: moja córka zna góry lepiej ode mnie, lepiej niż ja łowi ryby i zna miejsca, w których żyją największe pstrągi. Zaprowadzi was tam i będzie czuwać, żeby wam niczego nie brakowało.

Spoważniał, jakby chciał uprzedzić jakiegokolwiek niestosowne domysły. Były tu zupełnie nie na miejscu. Faktycznie to Nicole prowadziła interes. Ojciec powierzył jej „wycieczki Dawsona” przed kilku laty i dotąd opuściła tylko jeden sezon: wtedy kiedy wyjechała z tym sukinsynem, swoim mężem, do Los Angeles. Goście, którzy choć raz byli z nią w górach, zawsze później wracali. Miała opinię doskonałego przewodnika i nikt nigdy nie skarżył się na sposób, w jaki organizowała wyprawy. Miała doświadczenie i konieczne umiejętności.

* •

Charlie zwykle tylko przyjmował gości i wygłaszał

powitalne przemówienie. Kiedyś powiedział Nicole, że mogłaby równie dobrze nagrać je na taśmę i po jego śmierci, w razie potrzeby, po prostu naciskać przycisk magnetofonu. Nicole nie doceniła dowcipu zawartego w jego sugestii. Nawet się nie uśmiechnęła.

- A teraz czeka was najwspanialsza wyprawa w góry, jaką można sobie wyobrazić, i największe ryby, jakie można złowić, znacznie większe od tych, o których zwykle opowiadacie kolegom po powrocie z wakacji. A jeśli ktoś jest niezadowolony, że Nicole będzie przewodnikiem, niech to zaraz powie. Dostanie z powrotem swoje pieniądze i chłopiec odwiezie go na lotnisko.

Rozejrzył się po twarzach mężczyzn. Nicole poszła w jego ślady. Kiedy jej wzrok padł na Warnera, nagle poczuła się nieswojo. Patrzył na nią jakoś dziwnie, jakby się gniewał, jakby było w niej coś bardzo denerwującego. Chłodne, błękitne, nieustępliwe spojrzenie, którego nie rozumiała. Spuściła oczy i spojrzała na zegarek.

- Jeśli nikt nie ma nic przeciwko temu, możemy wyruszać za jakieś trzydzieści minut.

Jeden z mężczyzn chrząknął.

- Jak daleko jest do tej chaty w górach?

Nicole spojrzała na niego. Przejrzała notatki dotyczące gości i wpisane obok komentarze Charliego. Zwykle dawał krótką charakterystykę osób mających wziąć udział w wycieczce, żeby jej ułatwić zadanie. Charlie znał się na ludziach, potrafił wyczuć słabe strony każdego; jego uwagi były bezcenne. Nieraz się

o tym przekonała. Tylko tamci dwaj nadal pozostawali wielką niewiadomą.

Spojrzała z uśmiechem na pytającego.

- Przy dobrym tempie będziemy tam w trzy godziny, Hal. Trasa prowadzi przez góry, wyprawa nie jest bardzo forsowna, ale dość męcząca. To dobre ćwiczenie i cudowne widoki. Jeśli wyruszymy zaraz, dotrzemy do chaty jeszcze przed zachodem słońca. Zdamy nawet wziąć prysznic i napić się czegoś zimnego, a potem dostaniemy wspaniałą kolację.

- A co mamy w planie na deser?

Hal powiedział to takim tonem, że nie mogło być wątpliwości, jaki rodzaj deseru ma na myśli.

Cudownie, pomyślała Nicole, tylko tego brakowało. Świetnie się zapowiada. Prócz tamtych dwóch, mam jeszcze tego kretyna. Ojciec zawsze powtarzał jej, że goście płacą wystarczająco dużo, żeby nie zwracać uwagi na ich niezbyt stosowne zachowanie, ale wszystko ma swoje granice.

Druga żelazna zasada obowiązująca podczas „wycieczek Dawsona” głosiła, że nie wolno jej tolerować żadnych męsko-damskich aluzji ze strony gości. Zawsze bardzo stanowczo reagowała na tego typu „zaloty”, a jeśli to nie odnosiło spodziewanego skutku, klient był sprowadzany w dolinę i ekspediowany na lotnisko. W takich przypadkach firma nie zwracała pieniędzy. Tego dnia miała już jedną przeprawę z facetem, któremu hormony uderzyły do głowy, i nie zamierzała dłużej tolerować podobnych wystąpień.

Max ją uprzedził.

- Mam wrażenie, że będziesz bardzo zmęczony, Hal, i zaraz po kolacji położysz się spać.

Powiedział to takim tonem, że wszyscy zamilkli. To nie było żartobliwe przekomarzanie się; w jego głosie brzmiała pogroźka.

Zamilkł i rozejrzał się po obecnych. Jego samego zdumiała ostrość własnej reakcji. Spuścił wzrok i spróbował uśmiechnąć się przepraszająco. Obecni milczeli, przyjaciel patrzył na niego ze zdziwieniem. Cisza nieco się przedłużała.

- Wszyscy na pewno będziemy tak zmęczeni wspinaczką, że zaraz po kolacji pójdziemy spać - odezwał się wreszcie Douglas z udaną swobodą, próbując ratować sytuację.

- Oczywiście, tym bardziej że trzeba się zaaklimatyzować - przytaknął któryś z mężczyzn i wszyscy gorliwie wrócili do przerwanych rozmów, próbując ukryć zmieszanie, w jakie wprawiła ich uwaga Masa.

Nicky wymieniła z ojcem porozumiewawcze spojrzenie.

- Ash pojedzie jeepem - odezwał się Charlie rzeczowym tonem - a Reed będzie wam towarzyszył.

Potem odciągnął córkę na bok i dodał:

- Posłuchaj, maleńka, gdyby któryś z tych miejskich lalusiów naprzykrzał ci się w drodze, daj zaraz znać. Zadzwoń do mnie albo do szeryfa i sprawę załatwimy. Wiesz, co masz robić.

Uważnie przyjrzała się ojcu. Kiedy mówił do niej „maleńka”, coś było nie w porządku. Charlie miał kłopoty; wyczuwała to na odległość. Już podczas śniada-

nia zauważyła, że jest niespokojny. Najwyraźniej coś wisi w powietrzu.

- Tatusiu, powiedz, co się stało. Znowu jakiegoś problemu?

- Tak mówisz, jakbym nie miewał nic innego.

- Nieważne. O co chodzi tym razem? Powiedz.

- O nic, maleńka. Wszystko będzie dobrze. Już wiem, jak rozwiązać nasze kłopoty. Wpadłem na świetny pomysł.

Gdy uśmiechnął się przebiegle, poczuła zimny dreszcz.

- A teraz muszę znaleźć Reeda i powiedzieć mu o zmianie planów.

Odszedł, pozostawiając ją na pastwę najgorszych przeczuć. Ciekawe, co znowu wymyślił.

Max nie spuszczał jej z oczu.

- Jeśli zaraz nie przestaniesz tak się w nią wpatrywać, Dawson da nam kopniaka i wywali nas z domu.

Poczuł na ramieniu dłoń Douglasa.

- Przepraszam, ale nie mogę się opanować. Ty coś z tego rozumiesz? O co tu chodzi? Co ona tu robi?

- Może nie wie, kim jest. Są takie przypadki. Amnezja...

- Cholera! Przecież to Sandra. Ciekawe tylko, dlaczego wszyscy tutaj nazywają ją Nicole. Ten Dawson naprawdę traktuje ją jak swoją córkę.

Douglas zmarszczył brwi. Sam też niczego nie rozumiał.

- Jest w tym coś dziwnego, ale przyjechaliśmy tu w nieco innej sprawie. Nie zapominaj.

Max rzucił mu wrogie spojrzenie. Doskonale pamiętał, po co tu przyjechali, ale nie zamierzał udawać, że wszystko jest po staremu.

- W tej sytuacji nasze plany uległy chyba zmianie. Douglas wiedział, co teraz nastąpi.

- Masz zamiar zostawić mnie tutaj z Dawsonem, a sam pójdziesz w góry pilnować Sandry, tak?

- Wybacz, ale muszę to zrobić. To dla mnie bardzo ważne.

- Może cię to drogo kosztować.

Max skrzywił się.

- Tego jestem pewien.

Już miał sięgnąć do talerza Douglasa, kiedy Nicole do nich podeszła. Spojrzał na nią i poczuł dziwną słabość. Jej włosy pachniały kwiatami. Serce podeszło mu do gardła. W szortach i zielonkawej koszulce wydała mu się najpiękniejszą istotą na świecie. Podała im jakieś papiery. Nie patrząc, wziął z jej ręki formularze.

- Proszę to uważnie przeczytać i podpisać; to są reguły obowiązujące w czasie trwania wyprawy. Każdy uczestnik bierze na siebie pewną odpowiedzialność.

Uważnie przyjrzała się strojowi Maxa. Miał na sobie elegancką koszulę, spodnie i włoskie buty.

- Mam nadzieję, że zdąży pan się przebrać, zanim wyruszymy. Tak nie może pan iść w góry.

Max i Douglas patrzyli za Nicole, dopóki nie wyszła z pokoju. Douglas ocknął się pierwszy. Niemal szturchnął przyjaciela.

- Przestań się tak na nią gapić, bo ludzie pomyślą, że jesteś pomyłony albo zboczony.

Max wybuchnął śmiechem, klepnął go po ramieniu i poszedł do siebie. Kiedy wrócił przebrany, w jadalni nie było nikogo prócz Douglasa.

- Wszyscy wyszli, czekają na ciebie przed domem.

Douglas przetarł okulary i krytycznie przyjrzał się przyjacielowi. Stare džinsy i spłowiała koszulka Maxa najwyraźniej nie zyskały jego aprobaty. Ogólne wrażenie poprawiły nieco długie buty z dobrej skóry.

- Włożyłeś dwie pary skarpet? Pamiętaj, masz bardzo delikatne stopy, syneczku.

- Tak, mamusiu, włożyłem. Wziąłem też telefon komórkowy, będziemy w stałym kontakcie. Ty zadzwoń do Raya i Tommy'ego do agencji, żeby wiedzieli, co i jak...

- Już to zrobiłem.

- Powiedz im też, żeby nic nikomu na razie nie mówili.

- Jasne.

Max rozejrzał się, jakby czegoś szukał.

- I nic nie mów Helen Applewhite; na to jeszcze za wcześnie.

- Odjak dawna pracujemy razem, Max?

- Od zawsze - odparł machinalnie. - Dlaczego pytasz?

- Więc nie traktuj mnie jak nowicjusza, dobrze?

- Przepraszam, stary, jestem... Nie wiesz, gdzie mój sprzęt? Gdzieś tutaj był...

- Zaniósłem do samochodu. Chyba już powinien iść.

- Nie masz mi za złe, że to ja idę w góry, a nie ty?
- Mam, ale jakoś to przeżyję.

Roześmieli się obaj.

- Tylko uważaj - dodał Douglas, poważniejąc. - Tutaj dzieją się dziwne rzeczy, może z tego wyniknąć niespodzianka. Miej oczy i uszy otwarte.

Max ruszył do wyjścia, po drodze wyjmując z kieszeni formularz. Już w progu odwrócił się.

- Co masz na myśli? Słyszałeś coś konkretnego?
- Takie tam pogłoski. Zamierzam się trochę temu wszystkiemu przyjrzeć. Nie bój się, nie będę tu próżnował.

Ujął Maxa pod ramię i wyprowadził go z jadalni.

- Przy okazji powiem ci, że Charlie jest zachwycony, że zostaję tu z nim na tydzień. Powiedziałem mu, że jestem przemęczony i chcę trochę odpocząć. Zamierza się mną zająć. Szkoda, polubiłem faceta.

Stali teraz na schodach wiodących na podjazd.

- Dlaczego „szkoda“?

Max spojrzał pytająco na współnika. Douglas pochylił się do jego ucha.

- Nie zapominaj, stary - szepnął - po co tu jesteśmy. Naszym klientem jest Carl Bedford, pamiętasz?

Max skinął głową i zaczął schodzić po schodach.

- Pamiętam. O wszystkim będę cię informował, a ty uważaj na siebie.

Nicole stała, przysłuchując się rozmowom pod-ekscytowanych mężczyzn, którzy śmiechem starali się pokryć podniecenie cechujące zwykle neofitów. Niezdzielni wędkarze, pomyślała. Każdy udaje wielkiego

specjalistę, a żaden chyba nigdy dotąd poważnie nie łowił ryb.

Z doświadczenia wiedziała, że zwykle napięcie opada po dwóch pierwszych dniach, kiedy uczestnicy wyprawy zaczynają naprawdę rozkoszować się przyrodą. Wtedy kiedy nabierają pewności, że wysniona wyprawa nie zawodzi ich oczekiwań.

Pięciu mężczyzn, a każdy przywiózł z sobą swoją własną historię. Przyjrzała się im po kolei.

Hal Overton, przystojniak, lat trzydzieści dwa. Typowy Kalifornijczyk z bogatego domu, opalony i wysportowany. Lekkomysłny i rozpieszczony. Od razu widać, że więcej czasu spędza w sali gimnastycznej niż w swoim adwokackim biurze w Hollywood. Pewny siebie i hałaśliwy. Rozповіда na prawo i lewo o swoich wyczynach, podróżach i polowaniach. Czuje się swobodnie, chce wszystkim imponować.

Preston Waters, kolega i przeciwieństwo Hala, niski, grubawy. Przyjaźnią się od dzieciństwa. Preston jest mózgiem, kierującym karierą Hala. W ciągu tego tygodnia pewnie obaj się zmienią. W górach ludzie szlachetnieją. Widziała to już tyle razy, że nawet jej to nie dziwiło. Ciekawe, jak będzie w przypadku tych dwóch.

Clarence Wiltshire i George Morrison z St. Louis w Missouri są szwagrami; wspólnie prowadzą jakąś firmę. Sami jej ze śmiechem powiedzieli, że od kilku lat oszczędzali na tę wycieczkę. Są nawet jakoś do siebie podobni. Obaj w średnim wieku, niewysocy, ciemnowłosi i ciemnoocy. Od pierwszej chwili wzbu-

dzili jej zaufanie. Wzruszyły ją ich wędki domowej roboty. Z tymi dwoma mężczyznami nie powinno być problemów. Będą szczęśliwi, jak tylko zobaczą strumień. Fakt, że przewodnikiem jest kobieta, zupełnie im nie przeszkadza.

Larry Spell, najstarszy w grupie, sześćdziesiąt pięć lat. Siwawy, chudy, przygarbiony. Przyjechał sam. Goście zwykle przyjeżdżają we dwóch. Larry szuka samotności, robi wrażenie człowieka pogrążonego we własnych myślach. Jako osobę, którą należałoby zawiadomić w razie wypadku, wpisał swoją siostrę mieszkającą w Santa Fe, w Nowym Meksyku.

W góry idzie ich sześciu; siódmy zostaje na ranczo. Na widok szóstego, Maxa Warnera, schodzącego właśnie z ganku, ogarnęła ją panika i chciała uciec.

- Przepraszam, że na mnie czekaliście.

Podał jej wypełniony formularz. Przebiegła go wzrokiem i szybko oddała Charliemu.

- Nie interesują cię dane o mojej osobie? - usłyszała nad uchem.

Odsunęła się, jakby ją oparzył. Szmaragdowe oczy rozbłyły.

- Dowiem się wszystkiego, kiedy zechcę, bez niczyjej pomocy - syknęła.

Potem zwróciła się do obecnych z uroczym uśmiechem:

- Skoro już wszyscy jesteśmy, możemy chyba ruszać. Czas najwyższy. A gdyby ktoś za nami nie nadążał... - Spojrzała znacząco na Maxa i mówiła dalej:
- Zawsze możemy zwolnić i poczekać. Będziemy iść

w tempie, które wszystkim będzie odpowiadać. W razie czego zatrzymamy się i odpoczniemy.

Hal wysunął się do przodu.

- To po to bierzemy muła? Żeby niósł maruderów, tak?

Wszyscy spojrzeli na zwierzę objuczone opakowanymi w brezent pojemnikami.

- Pepper będzie niósł wodę i chłodne napoje, żebyśmy mogli się czegoś napić na postojach.

Rozejrzała się i już miała zapytać ojca, gdzie podział się Reed, kiedy chłopiec wypadł zza rogu domu. Towarzyszył mu młodszy brat, Ash.

- Przepraszam, ale musiałem zadzwonić do ojca, żeby mu powiedzieć, że jest zmiana planów.

Spojrzał na Nicole z prośbą w oczach.

- Czy Ash będzie mógł pojechać z nami?

Zerknęła na ojca. Już przedtem to z sobą ustalili, ale chciała chłopcom zrobić niespodziankę. Milczenie nieco się przedłużyło.

- Nikomu nie będzie przeszkadzał...

Obaj patrzyli na nią wyczekująco. Ash był młodszy od brata; miał jedenaście lat. Byli do siebie tak podobni, że z łatwością mogli uchodzić za bliźniaków. Ze strony matki mieli irlandzkich przodków, po których odziedziczyli czarne włosy i śniadą cerę. Geny ojca, jasnego blondyna, musiały być słabsze; obaj chłopcy przypominali matkę, Shannon Reed Bartlet.

Charlie uśmiechnął się.

- Wygląda na to, że wszyscy mnie opuszczają.

Spojrzał na Douglasa i jego uśmiech się pogłębił.

- Czy pan przypadkiem nie gra w pokera, młody człowieku?

- Tatusiu! - jęknęła Nicole. - Przecież przyrzekłeś mi...

- Nie będę ukrywał, że jestem całkiem niezłym pokerzystą - odparł Douglas, nie patrząc na nią.

- Moja droga - Charlie spojrzał na córkę - to będzie taka malutka, niezobowiązująca partyjka, tylko kilka rozdane. Nie rób takiej miny, maleńka. Możesz mi zaufać.

Nicole odwróciła się z westchnieniem. Widać było, że powstrzymuje się, żeby nie wzruszyć ramionami.

- Jesteście gotowi, panowie? Możemy już iść? W takim razie ruszamy.

Skierowała się na ścieżkę prowadzącą wzdłuż domu i wszyscy poszli za nią; pochód zamykał Reed prowadzący za uzdę Peppera.

W dwie godziny później ranczo pozostało daleko w tyle. Minęli już łąki i pastwiska i podążali rażno po zboczach góry. Kiedy doszli do skupiska skał tworzących coś na kształt dużej półki, Nicole zarządziła postój.

Max przystanął i rozejrzał się wokół. Miał przed sobą cudowny widok; krajobraz „zapierający dech w piersi”; to było najwłaściwsze, choć strasznie banalne określenie.

Cały jego organizm reagował na napierające ze wsząd piękno. Napięcie ustępowało, ustawała gonitwa myśli. Zaskoczyła go panująca wokół cisza. Nie tylko natura milczała, milczeli również uczestnicy wyprawy. Tak jakby środowisko, w którym się znaleźli, narzuciło

własne, nieznane na nizinie reguły gry. Wokół były tylko góry; z dala dochodził ich dźwięk płynącego potoku. Zmęczenie wywołane podchodzeniem z wolna ustępowało.

Powoli zapominali o pozostawionych w dole kłopotach; problemy związane z życiem zawodowym i osobistym, widziane z tej wysokości, traciły nagłe znaczenie, zamazywały się i topniały. Hal uspokoił się i przestał mówić, Preston wyprostował się, jakby wyszedł z jego cienia, i nieśmiało zaczynał być sobą. Larry i Clarence stali się bardziej swobodni. Lany nawet odmłodniał, poruszał się pewniej i bardziej płynnie.

Daleko w dole widać było kwieciste łąki i dachy rancza Dawsonów. Dziwne, magiczne miejsce. Wbrew nurtującej go tajemnicy, Max poczuł się nagle spokojny i pewny siebie. Wszystko z czasem się wyjaśni. Nigdzie dotąd nie czuł się tak dobrze; chyba w Teksasie, kiedy był małym chłopcem.

Zauważył, że Sandra - nie potrafił w myślach nazwać jej Nicole - zatrzymała się i wszyscy do niej podeszli.

- Max, prosimy do nas. - Skinęła na niego ręką.

Ich zachowanie wzruszyło ją. Zawsze poruszała ją zmiana zachodząca w ludziach pod wpływem gór. Tym razem dochodziła do tego jeszcze fascynacja tym maruderem.

Max całą drogę szedł na samym końcu. Za każdym razem, kiedy się oglądała, widziała jego ciemne włosy i błękitny blask oczu. W niczym nie przypominał znanych jej facetów z Nowego Jorku. Miał w sobie coś

z „chłopaka z Montany”: przystojnego, silnego mężczyzny, pewnego siebie, ale wrażliwego i delikatnego, kiedy trzeba.

Ostro przywołała się do porządku. Nie wolno jej zapominać, że jest w pracy, prowadzi grupę. Jej zadaniem jest dbanie o to, żeby wyprawa w góry przebiegała sprawnie i wszyscy byli zadowoleni. Potrząsnęła głową.

- Teraz chwilę sobie odpoczniemy i napijemy się czegoś zimnego - powiedziała energicznym tonem - a jeśli ktoś chce coś załatwić sam na sam z matką naturą, to nadarza się świetna okazja. Tam jest kępa drzew, za którą można się schować.

Podeszła do muła i razem z Reedem zaczęła odwiązywać pojemniki.

- Może pomóc?

Z tyłu zbliżył się do niej Hal.

Poczuła, że jest bardzo blisko. Odwróciła się, żeby odpowiedzieć i wtedy poczuła jego dłonie na ramionach. Palce Hala jakby przypadkiem musnęły jej piersi.

Odsunęła jego rękę.

- Proszę...

- Może to ja pomogę.

Max zbliżył się do nich szybkim krokiem i odepchnął od niej Hala, dotkliwie kopiąc go przy tym w kostkę.

Hal zwinął się z bólu.

- Nie próbuj więcej podobnych sztuczek, bo...

Max powiedział to tak cichym głosem, że nie słyszał go nikt oprócz Nicole i Reeda.

Była wściekła. Nie na Hala, na Maxa. Po co się wtrąca w jej sprawy? Sama poradziłaby sobie z tym kretynem; nie potrzebowała niczyjej pomocy.

Przybliżyła twarz do twarzy swojego „wybawcy”.

- Wiem, że chciałeś dobrze, ale ci nie wyszło - syknęła. - Nigdy więcej nie próbuj, nie potrzebuję ochrony.

Ton jej głosu zdumiał go. Był w nim gniew, złość i siła. Sandra nigdy nie powiedziała by czegoś podobnego. Sandra, dawna Sandra, była na to za delikatna i wrażliwa.

- Nigdy więcej - powtórzyła. - Zapamiętaj to sobie, nie wchodź mi w drogę.

Wróciła do przerwanej zajęcia. Reed nie spuszczał z niej zachwyconego spojrzenia.

- Ja tylko... chciałem... - wybąkał Max, ale nie dopuściła go do głosu.

- Dobrze wiem, że chciałeś. Ale ja nie chciałam i nie chcę.

Odczepiła lodówkę turystyczną i postawiła ją na trawie.

- Ale...

- Skończyłam.

Przy pomocy Reeda przeniosła lodówkę nieco dalej. Max poszedł za nią.

- Jeśli sama nie będę sobie dawała rady w każdej sytuacji, nikt mi nie będzie ufał. Jak mogłabym prowadzić ludzi w góry, gdybym nie potrafiła zadbać o siebie? Jak mogłabym dbać o nich i zapewnić im bezpieczeństwo?

Podeszła do grupy mężczyzn. Stali, rozprawiając o czekających ich przygodach. Uśmiechnęła się szeroko, jakby nic nie zaszło.

- Zapraszam na zimne napoje, jest też woda. Odpocznijmy piętnaście minut i pójdziemy dalej.

Larry Spell lekko dotknął jej ramienia.

- Jak jest z rybami o tej porze roku? Pytam, bo nie znam tych okolic.

Nicole odprężyła się całkowicie. Nareszcie będzie mogła porozmawiać z kimś o tym, na czym naprawdę się zna.

- Jesteśmy w pełni sezonu, który w tym roku jest wyjątkowo długi. Pstrągi w naszych potokach są największe w całej Montanie.

Uśmiechnęła się porozumiewawczo i dodała:

- Mogę obiecać, że nikt nie będzie rozczarowany.

Preston Waters dołączył się do nich.

- Tam wysoko może być zimno, prawda?

Max patrzył, jak swobodnie i miło gawędzi sobie z oboma mężczyznami. Spokojna i opanowana. Poczuli, że Reed podaje mu butelkę wody. Ochłonał. Zachował się nieco zbyt popędliwie. Rzucił się na biednego Hala jak zazdrosny kochanek. Zareagował jak zwierzę, kiedy wróg wchodzi na jego teren. Musi nad sobą popracować.

- Niech się pan lepiej napije.

Reed patrzył na niego z lekkim rozbawieniem. Max poczuł zażenowanie.

- Czy ona jest zawsze taka... samodzielna?

- Chciał pan powiedzieć: „uparta”? Tak, zawsze.

I potrafi być niebezpieczna, naprawdę. Widziałem kiedyś, jak się rozprawiła z niedźwiedziem, który próbował jednemu gościowi przeszkodzić w łowieniu ryb. Tak na niego na wrzeszczała, że podwinął ogon i uciekł gdzie pieprz rośnie.

Max spojrzał na poważną twarz chłopca, nie wiedząc, co ma odpowiedzieć. Dopiero kiedy kąciki ust Reeda zadrżały, wybuchnął śmiechem. Chłopiec mu zawtórował.

- Masz niezłą fantazję - powiedział Max z uznaniem, kiedy obaj się uspokoili.

Reed położył rękę na sercu.

- To prawda, przysięgam.

Max przyjrzał mu się uważnie. Chłopiec może być niezłym źródłem informacji. Jest bystry i ma poczucie humoru, trzeba będzie z nim pogadać.

Nicole przeszła obok, niosąc pusty pojemnik i kilka butelek. Kolejny raz Max objął spojrzeniem całą jej postać.

Jego Sandra była inna. Sandra była wytworna, elegancka, miała ruchy i maniery młodej damy. Nicole była silna, stanowcza; była... niezłomna. A przede wszystkim - była czujna i umiała się maskować.

Napotkał jej uśmiechnięte spojrzenie. Jakby nic nie zaszło.

- Wszyscy się napili? Możemy kończyć postój?

Oddał jej pustą butelkę; schowała ją do pojemnika.

Patrzył na nią bez słowa, pochłonięty rozpamiętywaniem zmian, jakie w niej dostrzegał, oszołomiony, nic nie rozumiejący. Bardziej jeszcze niż zdumienie

paraliżowało go uczucie, jakie budził w nim jej widok i jej obecność.

Nicole i Reed przytoczyli pojemniki do grzbietu muła; Nicole wyprostowała się i odrzuciła do tyłu jasne włosy.

Max poczuł nagle, że oblewa go lodowaty strumień.

Za jej lewym uchem dostrzegł małe, ciemne znamię. Znak charakterystyczny Sandry.

Nawet gdyby miał jeszcze jakieś wątpliwości, teraz straciłby je bezpowrotnie. Obok niego stała Sandra. Jego Sandra. Problem w tym, że ona nie wie, że jest Sandrą Applewhite.

4

W czasie dalszej wędrówki nastrój uległ zmianie. Byli teraz swobodniejsi, bardziej rozluźnieni. Wszystkim nagle rozwiązały się języki; zaczęli rozmawiać o pracy, domu, żonach i przyjaciółkach. Nicole szła pierwsza, w pewnej odległości od pozostałych, aby ich nie krępować, a jednocześnie być w pogotowiu. Od czasu do czasu oglądała się. Max pogrążony był w rozmowie z Reedem. Ciekawe, jak znaleźli wspólny temat.

Reed był raczej odludkiem. Samodzielny, zawsze czymś zajęty, niezbyt rozmowny. Sądziła, że jest jedyną osobą spoza rodziny, mogącą się z nim porozumieć. Ciekawe, co ktoś taki jak Max Warner ma mu do powiedzenia.

Max szedł jak automat, krok za krokiem, myśląc

tylko o znamieniu za uchem Sandry. Ta ciemna, niewielka plamka przesłoniła mu wszystko. Było coraz bardziej oczywiste, że Sandra żyje i z niewiadomych powodów ukrywa się na odludziu Montany. Sandra nie umarła.

Może uznać, że jego marzenie się spełniło.

Nie potrafił się z tego cieszyć. Był bardzo zmęczony. Był zmęczony stałą niepewnością, pytaniami kłębiącymi się w głowie, nocami bez snu. Czuł się wyczerpany i pusty. Przyznaj się, stary, pomyślał, jesteś wykończony samotnością. Trzeba temu położyć kres. Albo się dowie, o co tu chodzi, albo oszaleje.

Przede wszystkim musi się skupić na tym, co ją różni od dawnej Sandry. Dawna Sandra była delikatna, prostolinijna, na swój sposób słaba i bezbronna.

Nicole jest jej przeciwieństwem, robi wrażenie osoby, która potrafi o siebie zadbać, pokierować własnym losem, skutecznie walczyć z przeciwnościami. Dwie różne osobowości. Ciekawe, co spowodowało tę metamorfozę...

Miał do czynienia z układanką, której poszczególne części nie bardzo do siebie pasowały. Można je oczywiście dopasować na siłę, ale w ten sposób nigdy nie otrzyma się prawdziwego obrazu całości.

Myśli kłębiły się Maksowi w głowie, czuł się jak pies goniący własny ogon. Trzeba się skupić i jeszcze raz wszystko przemyśleć. Rozejrzył się; dzień z wolna przygasał, zerwał się lekki wiatr. Nadchodził wieczór.

Reed szedł obok Maxa, nic nie mówiąc; od czasu

do czasu lekko poganiał muła. Max spojrzał na chłopca. Dobry detektyw zwykle zaczyna śledztwo od rozmów ze znajomymi i sąsiadami osoby, którą się interesuje. Ten chłopiec może być cennym źródłem informacji. Max jeszcze raz spojrzał na niego spod oka. Kiedyś, raz na zawsze, postanowił nie wplątywać dzieci w podobne sytuacje, nie wykorzystywać ich, o nic nie wypytywać. Nigdy dotąd nie złamał tej reguły. Sprzeniewierzenie się własnym zasadom oznaczałoby degradację.

Cel nie uświęca środków, ale... Ale to nie jest zwykła sytuacja. Tym bardziej! Tym bardziej nie wolno mu robić czegoś, co uważa za naganne pod względem moralnym.

A może po prostu boi się prawdy, może jest tchórzem. Podobne podejrzenie zabolowało go. Spojrzał na kobietę kroczącą na czele pochodu. Musi się o niej dowiedzieć wszystkiego, i to natychmiast; każdy sposób jest dobry.

Chrząknął.

- Reed, powiedz, od jak dawna znasz... Nicole?

Reed uniósł na niego oczy. Ten wysoki mężczyzna, sprężystym krokiem podążający obok niego, od razu mu się spodobał. Nie był taki jak inni. Nie truł cały czas o pieniądzach, podróżach, domach, kasy-nach i polowaniach. Nie opowiadał sprośnych dowcipów. Jest naprawdę jakiś inny. Można z nim porozmawiać. Może opowie coś o Nowym Jorku, o świecie rozciągającym się za górami Montany? Zresztą widać, że Nicky bardzo mu się podoba, co świadczy, że facet

jest w porządku. Już miał mu odpowiedzieć, kiedy nagle Pepper zarył się kopytami w ziemię i zaryczał przeraźliwie jak syrena okrętowa na zdezelowanym tankowcu.

Nicole zatrzymała się natychmiast, odwróciła i jak strzała pomknęła w ich stronę.

- Zatrzymać się i zbić w gromadę! - krzyknęła, mijając kolejnych uczestników wyprawy.

Wszyscy bez szemrania usłuchali, tylko Hal pytająco spojrzął na Prestona.

Podbiegła do Peppera i nie zważając na ogłuszający dźwięk, jaki z siebie wydawał, sięgnęła do tobołka na jego grzbiecie. Energicznym ruchem wyciągnęła strzelbę, sprawdziła, czy jest naładowana, i ruszyła na czoło pochodu.

Max podążył za nią.

- Co się dzieje?

Zwróciła ku niemu głowę. Był bardzo blisko.

- Stań z innymi, Max, i to już.

Oczy miała wbite w kępę drzew, tak jakby chciała wypatrzeć zwierzę, które przestraszyło muła. Max nie ustępował.

- Co to jest?

- Czy ty nigdy nie robisz tego, co ci każą?

Skierowała na niego gniewne spojrzenie.

- Co to jest? - powtórzył. - Czego szukasz?

Jeszcze raz zlustrowała okolicę.

- Niedźwiedź, wilk, nie wiem, może pantera - odpowiedziała, nie patrząc na niego.

Rozejrzał się, szukając wzrokiem niebezpieczeń-

stwa. Przede wszystkim należy osłonić Sandrę. Zwrócił się ku niej i sięgnął po strzelbę.

- Daj mi to i odejdz.

Gdyby wzrok mógł zabijać, byłby już martwy. Nicole cofnęła się, mocniej ściskając broń.

- Lepiej idź do Peppera i podziękuj mu, panie Nowy Jork - wycodziła przez zaciśnięte zęby.
- Jego alarm być może uratował ci życie. Ryczy tak tylko wtedy, kiedy czuje blisko jakieś dzikie zwierzę.

Rozejrzała się uważnie wokół.

- Kiedy przestanie, to znaczy, że niebezpieczeństwo minęło. Wtedy możemy iść dalej.

Mimo całej powagi sytuacji przewisko, jakie mu nadała, bardzo go rozbawiło.

- Panie Nowy Jork? Bardzo dobre. Posłuchaj, Montana, coś ci powiem... Zresztą nie teraz. Ten Pepper to taki twój sygnał ostrzegawczy?

- Można to tak nazwać. Tak czy owak, pora, żebyś nareszcie zrozumiał, że potrafisz sama się bronić. Przed niedźwiedziami i przed mężczyznami.

Ostatnie słowo wyraźnie podkreśliła.

- Nie potrzebuję twojej pomocy, nie potrzebuję niczyjej pomocy, rozumiesz? Zejdz mi z drogi.

Pepper umilkł równie nieoczekiwanie, jak wszczął alarm i wszyscy nagle zaczęli mówić jeden przez drugiego. Napięcie opadło. Nicole spokojnym głosem wyjaśniła, co im mogło grozić.

- To znaczy, że tu są niedźwiedzie i wilki? - zapytał Hal.

Preston podszedł bliżej, jakby chciał się schować w cieniu przyjaciela.

Nicole pohamowała uśmiech.

- Hal, jesteśmy w bardzo dzikiej okolicy. To są góry.

Zapanowało ogólne podniecenie. Preston rozejrzał się z lękiem, przestępując z nogi na nogę.

- A tam, dokąd idziemy, też znajdują się dzikie zwierzęta?

- Tam będziecie absolutnie bezpieczni. Wszystko zostało przewidziane. Każdy dostanie walkie-talkie. Jeśli cokolwiek się zdarzy, w co wątpię, musicie pamiętać tylko o jednym: nie uciekać, tylko wzywać pomocy.

Hal lekko się odwrócił, jakby czegoś szukał. Kiedy się wyprostował, w jego dłoni lśnił mały pistolet.

- Ja jestem na wszystko przygotowany. Wziąłem to na wszelki wypadek.

Reed jęknął, Max zaś utkwiał spojrzenie w Hala wymachującym naładowanym pistoletem, jakby to była chustka do nosa. Już miał do niego podejść, lecz Nicole go uprzedziła. Kocim ruchem zaszła Hala od tyłu, wykręciła mu rękę i odebrała broń. Hal spojrzał na nią z głupawym wyrazem twarzy, jakby podejrzewał żart.

- Oddaj mi to...

Rozładowała pistolet i kiwnęła na Hala.

- Chodź ze mną, musimy pogadać.

Odeszli na bok. Reszta uczestników wyprawy nie spuszczała z nich zaciekawionego wzroku.

Hal najwyraźniej nie doceniał powagi sytuacji. Stał naprzeciw Nicole i uśmiechał się niemrawo.

- Chciałbym z powrotem mój pistolet. Nie żartuj, oddaj mi go.

Zbliżyła się do niego tak blisko, że nikt prócz niego nie mógł słyszeć jej słów.

- Posłuchaj uważnie, Hal. Już nigdy tego nie powtórzę. W góry nie wolno nosić broni. To nie są tereny łowieckie, podpisałeś odpowiednie przyrzeczenie. Zobowiązałeś się do przestrzegania reguł obowiązujących w czasie wyprawy, a już jedną złamałeś. W każdej chwili mogę cię odesłać na dół i stracisz swoje cztery tysiące dolarów. Zastanów się, czy ci się to opłaca. To nie jest mała suma.

- Przecież ty też masz broń.

- Ja mam broń, żeby wam zapewnić bezpieczeństwo. To pewna różnica.

Otworzył usta, ale Nicole nie pozwoliła mu dojść do głosu.

- Jeszcze chwila, a wylecisz stąd. Preston pójdzie za tobą i straciecie mnóstwo pieniędzy. Przemyśl to sobie; jeśli chcesz mieć dobre wakacje, to się uspokój i przestań bawić w prawdziwego mężczyznę. Stawka jest za wysoka. Cztery tysiące dolarów to kupa pieniędzy. I jeszcze coś. Daruj sobie zaloty, bo nie jestem zainteresowana.

Hal stał, nie mogąc wymówić słowa. Patrzył na nią jak zahipnotyzowany.

- Jeśli chodzi o pistolet - dodała - to oddam go po powrocie szeryfowi. Umieści go w depozycie.

Popatrzyła ostro na stojącego naprzeciw niej mężczyznę.

- Nie masz się nad czym zastanawiać. Albo przyjmiesz moje warunki, albo do widzenia.

Stali tak przez chwilę, napięci i nastroszeni. Wreszcie Hal poruszył się. Zrozumiała, że najgorsze minęło. Trzeba jeszcze sprawę odpowiednio zakończyć. Hal musi zachować twarz wobec kolegów. Demonstracyjnie wyciągnęła do niego rękę. Przyjął ją po chwili wahania.

- Twarda z ciebie sztuka - powiedział.

W jego głosie zabrzmiał niekłamany podziw.

- Wiem - odparła i poklepała go po ramieniu. - Pistolet już przepadł, więc nie praw mi komplementów; i tak ci go nie oddam.

Hal roześmiał się. Kiedy pogodzeni wrócili do czekającej na nich grupy, wszyscy odetchnęli.

Nicole spojrzała w niebo.

- Do naszego schroniska mamy jeszcze ponad pół godziny dobrego marszu. Jak się pośpieszymy, zdążymy się umyć i napić czegoś przed zachodem słońca. Idziemy.

Ruszyli w dalszą drogę ścieżką wiodącą stromo pod górę. Max nie wiedział, co Nicole powiedziała Halowi, ale widział, że wszystko z nim załatwiła. Musi mieć wyjątkowy dar perswazji. Widział, jak zdecydowanym ruchem schowała odebrany pistolet do brezentowej torby przytroczonej do boku Peppera. Zachowywała się jak ktoś przywykły do rozkazywania i przewożenia innym.

Usłyszał obok głos Reeda.

- Wie pan, ona potrafi tak zrobić, że największe pstragi same wyskakują z potoku wprost do saka. Ona je zgarnia i niesie do kuchni, wie pan?

Max roześmiał się.

- Co ty znowu opowiadasz?

- Charlie mi mówił, sam to widział. Mówi, że ona jest czarodziejką. Potrafi dać sobie radę z rybami i z ludźmi. Pracuje w szkole.

- To wiele wyjaśnia. Skoro daje sobie radę z dziećmi, nic dziwnego, że potrafi zapanować nad stadkiem facetów.

Reed z powagą skinął głową.

- Pewnie.

Odchrząknął.

- Pan mieszka w Nowym Jorku? Podobno jest pan detektywem.

Max lekko się uśmiechnął.

- Mam taką agencję, zajmujemy się ochroną.

- To musi być fajne.

- Owszem. Mieszkam niedaleko Central Parku, byłeś tam kiedy?

- Nie, ale bardzo bym chciał pojechać.

- Co by facet z Montany robił w Nowym Jorku?

Reed wyprostował się dumnie. Bardzo mu się podobał sposób, w jaki Max się do niego zwracał. Jak do równego sobie.

- Chcę zostać aktorem. W Nowym Jorku są szkoły aktorskie, takie prawdziwe. My tutaj od czasu do czasu też robimy przedstawienia, coś tam inscenizujemy, ale to nie to samo.

Głęboko westchnął.

- Ojciec nie chce o tym słyszeć. Mówi, że aktorzy to komedianci i idioci.

- A matka?

- Uważa, że jestem za młody.

- Ma trochę racji. A jak myślisz, za kilka lat się zgodzi?

- Kto to wie.

Przez chwilę milczeli. Mimo różnicy wieku i sytuacji mieli podobne matki.

Teraz należy przejść do rzeczy. To cholerne znamię nie wychodziło mu z głowy. Trudno, złamie reguły gry, ale tylko ten jeden jedyny raz. Jeśli się okaże, że Nicole nie jest Sandra, pogodzi się z tym. Pogodzi się z faktem, że umarła. Postara się zapomnieć. Ale kim w takim razie jest Nicole Dawson?

- Odjak dawna znasz Nicole, Reed?

Chłopiec uniósł na niego oczy.

- Nicky? Od urodzenia.

- Jesteś pewien?

- Pewnie, że jestem. Co roku, w lecie, jeździmy do tej chaty w górach. Zawsze tak było, odkąd pamiętam. Tata lubi łowić ryby, mama też. Charlie i Nicole zawsze nam towarzyszą. To już taka tradycja.

Cztery tysiące od osoby to trochę drogo jak na rodzinne wakacje. Ciekawe, co robi jego ojciec, tego też trzeba się dowiedzieć. Idący przed nimi przystanęli i Max z Reedem zrobili to samo.

Max odniósł wrażenie, że nagle jakby znaleźli się w innym świecie. Mieli przed sobą widok, którego nie

można było porównać z niczym, co do tej pory widzieli. Stali bez ruchu, porażeni niezwykłym pięknem przyrody.

Las rozstał się, robiąc miejsce dla wielkiej drewnianej siedziby. „Chata” wyrosła przed nimi niespodziewanie, rozległa i majestatyczna. Piętrowy kolos wspierał się o szeroki pas podmurówki z szarego kamienia. Z takiego samego kamienia zrobione było sześć kominów. Na parterze widniał rozległy taras opasujący dom; zastawiony był wiklinowymi fotelami i stolikami. „Chata Dawsona” łączyła w sobie wdzięk schroniska z elegancją pięciogwiazdkowego hotelu. Wysokie okna obu kondygnacji witały gości ciepłym odblaskiem zachodzącego słońca.

Drzewa były tutaj wyższe i bardziej rozłożyste. Powietrze czystsze i bardziej przejrzyste. Niczym człowiek pogrążony we śnie, Max poszedł za innymi. Jak zahipnotyzowany wpatrywał się w drewniane bale, z których wzniesiono dom. Żałował teraz, że niezbyt uważnie słuchał Douglasa, opowiadającego mu o pochodzeniu majątku Dawsonów. Zbyt był wymęczony podróżą, żeby cokolwiek zapamiętać. Dałby wiele, żeby to teraz odmienić.

Wiedział, że ta ziemia od czterech pokoleń należy do Dawsonów. Budowę domu zaczął pradziadek Nicole; dokończył ją dziadek. Max przypomniał sobie, że Douglas mówił, że sam Teddy Roosevelt, dwudziesty szósty prezydent Stanów Zjednoczonych, spędził tu kiedyś swoje pracowite wakacje.

Fakty uleciały mu z pamięci, pozostawiając

wyobraźni miejsce na dociekania innego rodzaju. W jaki sposób wzniesiono tego kolosa z kamienia i drewna w czasach, kiedy nie znano jeszcze dźwigów ani innych budowlanych udogodnień? Jak tego dokonano? Zawsze uważał, że nic nie jest w stanie go zaskoczyć; teraz rozumiał, że zgrzeszył pychą. Wyraz twarzy pozostałych gości świadczył o tym, że nie jest w swym podziwieniu odosobniony.

Wolnym krokiem, ostatni, przebył schody prowadzące na taras i ujrzał to, co sprawiło, że ci, co weszli tu przed nim, stali teraz w pełnym zachwyty milczeniu. Przed nimi rozpościerała się cudowna dolina oświetlona blaskiem zachodzącego słońca.

Tak jakby góra usunęła się łaskawie, pozwalając im zobaczyć rajska krainę, przeciętą lśniąca wstęgą strumienia. Potok złocił się i srebrzył, wężowymi ruchami sunąc przed nimi, pełen obietnic niczym sen wędkarza. Na jego brzegach cieniem rozkładały się zakola porośnięte kępami drzew i' złociły niewielkie plaże. Max poczuł, jak jego duszę wypełnia spokój. Zapatrzył się w obraz, który miał przed sobą.

Mógłby tak stać godzinami.

Usłyszał czyjeś kroki i poczuł, że obok stoi Nicole. Nie wiedział, co chce powiedzieć, ale po ich ostatniej wymianie zdań nie spodziewał się niczego dobrego. Dziewczyna milczała. Może wzruszył ją wyraz twarzy stojącego obok mężczyzny, a może sama po raz kolejny poddawała się magii tego miejsca?

Było coś jeszcze. Od bardzo dawna żaden mężczyzna nie działał na nią w ten sposób. Od bardzo dawna

nikt jej tak nie pociągał. Kiedy Max był blisko, oblewała ją fala gorąca, kiedy odchodził - czuła przejmujący chłód. Była zbyt inteligentna, by lekceważyć naturę tych doznań. I zbyt wrażliwa, żeby nad nimi całkowicie zapanować.

- Niezwykły widok, prawda?

- Owszem. Ale ty musisz znać go na pamięć.

- Tak, bardzo często tu bywam. Zawsze jest równie cudownie. W zimie, kiedy dokoła leży śnieg, jest może jeszcze ładniej, o ile to możliwe.

- Nigdy stąd nie wyjeżdżałaś?

Starał się nadać swemu głosowi naturalne, nieco obojętne brzmienie.

- Tylko kiedy studiowałam, i potem...

Przerwała, jakby nie chciała budzić nieprzyjemnych wspomnień. Max pytał dalej:

- Długo cię nie było?

- Trochę ponad rok. - Spojrzała na zegarek. - Słońce zaraz zacznie zachodzić. Mamy jeszcze kilka minut, żeby się umyć i czegoś napić. Nie możesz nie zobaczyć naszego zachodu słońca, panie Nowy Jork.

Przezwicko było nawet miłe. Uśmiechnął się do Nicole.

- W porządku, Montana, już idę.

Zdażyła polubić jego uśmiech. Było w nim coś porozumiewawczego. Ruszyła za mężczyzną, nie mogąc się powstrzymać, żeby nie przyjrzeć się dokładnie jego zgrabnej sylwetce. Kiedy doszli do drzwi, Max nagle odwrócił się i przyłapał jej wzrok. Zaczerwieniła się; wiedziała, jak teraz wygląda.

Max spojrział Nicole głęboko w oczy i zniknął za drzwiami.

- Niezły jest, co?

Nicole podskoczyła na dźwięk męskiego głosu i ujrzała uśmiechniętą twarz JD Weavera, zarządcy domu. Oboje z żoną pracowali u Dawsonów od niepamiętnych czasów. JD stał teraz obok niej, niski, grabawy i zupełnie łyсы. Na głowie miał dżokejkę, skrywającą łysinę. Uśmiechał się znacząco. JD był znakomitym kucharzem; uwielbiał wędkować i nienawidził każdego, kto mu śmiał w tym przeszkadzać.

- Na kogo się tak zapatrzyłaś, Nicky?

- Na ciebie. Czy Ash i samochód już dotarli?

JD skinął głową. Nie oszuka go, może sobie mówić, co chce. Dobrze widział, jak wpatrywała się w tego faceta.

- Wszystko w porządku. Henny-Penny wszystko przygotowała. Mały jej pomagał.

- Ash?

- Tak, zagnała go do czyszczenia toalet, a potem kazała pozmywać. Mały związał się jak szalony. Za to wezmę go jutro rano na ryby.

Nicole zmrużyła szmaragdowe oczy.

- Uważaj, Ash jest bardzo dobry i młody; żeby przypadkiem nie prześcignął mistrza!

- Też coś! Jedenastoletni dzieciak to dla mnie żadna konkurencja. Mogę go spokojnie zabrać, nie ma obawy. Nie podejrzaj moich sztuczek.

Rozejrzał się i zniżył głos do szeptu.

- Przyniosłaś mi?

- Pewnie.

Odkąd żona zabroniła mu żuć tytoń, JD wypychał sobie policzki zwykłą gumą do żucia, żeby, jak powiedział, „wypełnić pustkę”.

Nicole sięgnęła do małej kieszonki w szortach.

- Tylko pamiętaj, nie zdradź mnie przed Penny.
- Zawahała się na moment. -I przyrzeknij: jeden jedy-
ny plasterek, tylko kiedy łowisz.

JD położył rękę na sercu.

- Przysięgam na grób mojej matki.
- Henny-Penny zabije mnie, jak się dowie.
- Niby skąd ma się dowiedzieć?
- Nie wiem, ale i tak umieram ze strachu.

Henny-Penny była małą, ciemnowłosą kobietką o niewyparzonym języku. Nicole już niejedno od niej usłyszała i nie chciała się narażać na dalszy ciąg.

JD oddalił się powolnym krokiem. Nikomu na jego widok nie przyszłoby do głowy, że ten człowieczek o wyglądzie rasowego kowboja jest najlepszym kucharzem w promieniu kilku tysięcy kilometrów. Pobierał nauki w Paryżu i mówił po francusku jak rodowity Francuz. Goście, opuszczając „chatę”, mówili, że sami nie wiedzą, co bardziej podziwiać w siedzibie Dawsonów: przyrodę czy kuchnię.

Nicole znowu spojrzała na zegarek i szybko poszła do swojego pokoju. Musi umyć włosy, przebrać się i umalować. Pierwszy wieczór jest najważniejszy. Goście muszą się poczuć dobrze pod każdym względem. Muszą nabrać przekonania, że wszystko jest właśnie tak, jak się spodziewali, a nawet znacznie lepiej.

Wycieczki Dawsona nigdy nikogo nie zawiodły. Firma gwarantowała komfort; natura gwarantowała emocje. Wszyscy zawsze byli usatysfakcjonowani. Kiedy o tym myślała, nagle przypomniała sobie uśmiech Maxa Warnera.

scandalous

5

Wnętrze domu nie zawiodło jego oczekiwań. W wysokich, wytwornie i funkcjonalnie urządzonych salach królowały ogromne, kamienne kominki. Na dole znajdowała się jadalnia i pomieszczenia kuchenne. Na piętrze galeria w kształcie litery „U” wiodła do pokoi gościnnych. Urządzone były z prostotą i elegancją.

Max wziął przysznic w luksusowo wyposażonej łazience i postanowił się rozejrzeć. Wyszedł na tars i obszedł dokoła cały dom.

Na tarasie nie było nikogo. Staął przy balustradzie i wyjął z kieszeni telefon komórkowy.

Douglas nie od razu odpowiedział. Wreszcie podniósł słuchawkę.

- Co ty do diabła robisz? Śpisz?

- Ja również cię witam, Max. Tak się składa, że nie mogłem odebrać telefonu.

- Co się tam dzieje?

- Miałem ciężkie popołudnie. Grałem w karty z Charliem. Teraz poszedł po piwo i kolejny album rodzinny. Obejrzałem już kilka. Max, pomyliliśmy się, to nie może być Sandra. Widziałem jej zdjęcie jako gołego bobasa na niedźwiedziej skórze, małą dziewczynkę, pannienkę ze szkoły, tatuś pokazał mi nawet jej świadectwa szkolne. To nie Sandra, Max, to Nicole Dawson. Widziałem zdjęcia ze wszystkich jej wakacji w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Wszystkie spędzała tutaj, w górach.

Max słuchał, ale nie przyjmował jego słów do wiadomości.

- Ona ma ciemne znamię za lewym uchem, Doug, zupełnie jak Sandra. Ciekawe, jak to wyjaśnisz.

- Podobno każdy człowiek ma gdzieś na świecie swojego sobowtóra. Może to coś takiego...

- Wierzysz w takie rzeczy? Wierzysz w UFO, duchy i tym podobne?

- A ty nie? Nie opowiadałem ci o UFO, które...

- Nie, i teraz też tego nie rób.

Douglas nigdy tak się nie zachowywał. W pracy był zwykle zbyt zdyscyplinowany, żeby opowiadać podobne bzdury. Wyznawał zasadę, że czas to pieniądz, i skutecznie spieniężał swój czas.

- Co ty tam robisz oprócz picia piwa i przeglądania starych albumów?

- Bawimy się. Dawson to świetny kompan. Przegrałem już trzysta dolarów.

Max z trudem wierzył własnym uszom. Głos jego współnika nagle spoważniał. Max mógłby przysiąc, że słyszy w nim współczucie.

- Ostatnio kiepsko mu się wiedzie. Robił jakieś nieszczęśliwe interesy, ktoś mu źle doradził czy coś takiego, dokładnie nie wiem. A że Charlie bardzo lubi karty, kobiety i nie stroni od alkoholu, to Nicky musi płacić za jego błędy. Wszystko byłoby dobrze, bo wycieczki Dawsona to kopalnia złota... gdyby tylko Charlie nie był tak lekkomyślny.

Max nie mógł jakoś się przejąć finansowymi kłopotami swego gospodarza. Wrócił do nurtującego go tematu.

- Doug, trzeba jednak pogrzebać w przeszłości jego córki. Musi być jakieś logiczne wytłumaczenie tego wszystkiego.

- A co będzie, jeśli go nie znajdziemy? Jeśli się okaże, że to sobowtór? Co wtedy?

- Wtedy uwierzę w UFO, duchy i co tam jeszcze. Dobiegł go śmiech przyjaciela.

- Max, jest coś jeszcze. - Douglas spoważniał. - Tu dzieją się dziwne rzeczy. Ostatnio w lasach były jakieś pożary, nieduże, szybko opanowane, ale nie wiadomo, czym spowodowane. Były jakieś choroby wśród zwierząt, wezwano weterynarza, nic groźnego, ale powodu nie znaleziono. Takie nic nie znaczące, ale niepokojące incydenty, tak jakby ktoś chciał skomplikować Dawsonowi życie. Może to Bedford stara się go skłonić do sprzedaży ziemi? Nie podobają mi się jego metody.

Max usłyszał, że ktoś nadchodzi, i automatycznie ściszył głos.

- Trochę go znasz. Myślisz, że to do niego pasuje, takie sztuczki?

- Raczej tak. Bedford nie urodził się w czepku na głowie, do wszystkiego doszedł sam, pracą i nie tylko. Mógł kazać swoim ludziom załatwić sprawę Dawsona i dał im wolną rękę.

Czyjeś kroki zatrzymały się w drzwiach wiodących na taras.

- Muszę kończyć, Doug. Jak się czegoś dowiem, dam znać.

Skierował się w stronę drzwi i już z daleka uśmiechnął na widok gospodyni. Nicole nie widziała go.

Przebrała się wykąpała. Mimo konwencji górskiej wyprawy, zawsze przebierała się do kolacji. Tym razem włożyła brązowe szerokie spodnie i beżową koszulę; na to narzuciła miękki ciepły sweter w innym odcieniu brązu. Wieczory wysoko w górach były chłodne. Max przystanął.

Nicole wyjrzała na taras i rozglądała się ze zdziwieniem; mogłaby przysiąc, że słyszała jakieś głosy. Pokręciła głową i cofnęła się w głąb jadalni. Czynnym spojrzeniem obrzuciła zastawione stoły. Zakaśki, krakersy, sałatki, sery, napoje.

Przy drzwiach prowadzących na taras znajdował się barek; kryształowe szklanki lśniły blaskiem ostatnich promieni słońca.

Pierwszego i ostatniego wieczoru w chacie Dawso-

na podawano szampana. Pękate, ciemne butelki wystawały z wiaderk z lodem.

Nicole rozejrzała się jeszcze raz i pewna, że nikogo nie ma, zanurzyła palec w miseczce z kawiozem, po czym łakomie go oblizwała.

- Po kryjomu jest lepsze, prawda?

Gwałtownie drgnęła na dźwięk głosu Maxa.

- Przestraszyłeś mnie, okropnie mnie przestraszyłeś. .. Skąd się tu wziąłeś?

Spojrzała na telefon w jego rękę i skrzywiła się z niesmakiem.

- Z tarasu.

Max podszedł i delikatnym ruchem zdjął z jej ust czarną kroplę kawioru.

Nicole zastygła, otworzyła usta, ale nie mogła wymówić słowa.

Max śledził jej reakcję. Widać było, że robi na niej wrażenie. Trzeba to wykorzystać.

Zrozumiał również spojrzenie, jakim obrzuciła jego telefon komórkowy.

- To też zabronione?

Pokręciła przecząco głową. Z wolna odzyskiwała mowę.

- Niestety nie. Niektórzy nasi goście nie mogą nawet na tydzień zerwać z miejskim życiem. Tak jakby świat nie mógł się bez nich obejść. Te telefony to głupi wynalazek.

Jej ojciec też tak uważał.

- Kilka lat temu wcale nie mieliśmy tu telefonu. Była tylko krótkofalówka używana w nagłych wy-

padkach. Potem, gdy wynaleziono komórkowce, wszystko się zmieniło. Mamy telefon, mikrofalówki, to co trzeba, żeby być „nowoczesnym”. Potem musieliśmy wszystko jakoś kamuflować, bo ci sami goście, którzy domagają się najnowocześniejszych wynalazków cywilizacji, życzą sobie mieć wrażenie, że przebywają na łonie niczym nie skażonej natury.

Zacisnęła usta, niezadowolona, że ze zdenerwowania tak się rozgadała.

Max schował telefon do kieszeni.

- Przepraszam, że zbeszczyłem to miejsce, ale musiałem porozumieć się z kolegą.

Przyjął z jej rąk kieliszek szampana.

- Doug rzadko zostaje sam i bardzo tego nie lubi.

- Masz prawo używać telefonu. Niepotrzebnie tak na ciebie naskoczyłam.

- Wyglądasz cudownie.

Patrzył na nią tak, jakby była jego kochanką i właśnie zamierzał wziąć ją w ramiona.

- Dziękuję - wykrztusiła i spuściła oczy.

- Jaki jest twój ulubiony kolor?

- Żółty, dlaczego pytasz?

- Jakie lody lubisz najbardziej?

- Śmietankowe. Co to? Jakaś gra?

- Po prostu chcę cię poznać.

- Dlaczego?

- Bo cię lubię.

- Nie znasz mnie.

- Dlatego właśnie chcę cię poznać.

- Dlaczego? Przyjechałeś tu na tydzień, potem się rozstaniemy i nigdy więcej nie zobaczymy.

- Nie wiadomo.

Nerwowym ruchem przeczesła włosy.

- Powiem ci to samo, co powiedziałam Halowi. Tu obowiązują pewne reguły. Jeśli je złamiesz, żegnajcie, góry.

Max nie był Halem i wiedziała o tym.

- A ty zawsze postępujesz zgodnie z zasadami?

Przysunął się do niej.

Nie zamierzała mu powiedzieć, że nie, że zdarza jej się robić głupstwa, jak na przykład wyjść za mąż za niewłaściwego człowieka, dla którego wierność jest pustym słowem.

- Trudno w to uwierzyć, ale porozmawiamy o tym później...

Nicole siłą powstrzymała się od ucieczki. Był bardzo blisko i dalej zadawał pytania.

- Powiedz mi jeszcze tylko jedno, na zakończenie, jakie perfumy lubisz najbardziej?

Najlepiej odpowiedzieć na jego głupie pytania i jak najszybciej skończyć tę rozmowę.

- Nie używam perfum, panie Nowy Jork. Ryby i niedźwiedzie nie poznałyby się na tym.

Lubił sposób, w jaki żartowała.

- A gdybyś używała, to jakie by to były perfumy?

Niełatwo go spławić.

- Perfumy to droga rzecz, a ja nie mam pieniędzy do wyrzucenia.

- Dobrze. W takim razie kwiaty. Jakie kwiaty lubisz najbardziej?

Przez chwilę się zastanawiała.

- Gardenie.

Test został zakończony pomyślnie. Sandra udzieliłaby identycznych odpowiedzi.

Max nagle spochmurniał. Wyglądał teraz zupełnie inaczej; nie jak kochanek, tylko jak wróg. Zupełnie jakby go czymś rozgniewała. Dlaczego? Co mogło spowodować tak drastyczną zmianę? Już miała go o to zapytać, ale właśnie nadeszli goście.

Zapanowała ogólne podniecenie. JD podał szampana, wzmógł się gwar rozmów.

Wszystko nagle ucichło, kiedy słońce zaczęło zachodzić. Mężczyźni, zauroczeni, utkwili wzrok w ognistej kuli, majestatycznie schodzącej na linię horyzontu. Zapanowała uroczysta cisza.

Max oderwał się od swoich myśli i wraz z pozostałymi poddał urokowi chwili. Czerwonozłota kula objęła blaskiem drzewa i musnęła fale rzeki. Strumień rozgorzał nagle zapożyczonym blaskiem i wylał się na łąki lawą płynnego złota.

Widok był tak niezwykle, że nikomu nie przyszło do głowy wyrażać podziwu słowami. Spektakl trwał około dwudziestu minut. Kiedy kula zniknęła i opadła kurtyna zmroku, wszyscy nagle się poruszyli. Jakby za dotknięciem magicznej różdżki przy barze zapanował ruch; zaczęto sięgać po napoje mocniejsze niż szampan. Nicole znała tę reakcję. Po chwili zauroczenia nadchodzi łapczywa chęć powrotu do rzeczywistości.

Goście próbowali teraz pośpiesznie wymienianymi

zdaniami, pijąc i jedząc, pokryć niedawne emocje i zatuszować wzruszenie. Zamierzała im w tym pomóc.

- Penny zaraz poda kolację. Myślę, że możemy siadać do stołu.

Kolacja przeszła wszelkie oczekiwania. Przepiórki w orzechowym sosie, ozdobione świeżymi wiśniami, kartofelki z masłem i koperkiem, młode jarzyny z ogródka Penny i przysmaki, jakich tajemnicę znali tylko ona i JD. Kiedy skończyli jeść, Nicole wstała.

- Kawę wypijemy w saloniku. Desery i likiery już na nas czekają.

Dalszy ciąg programu był ściśle opracowany. Nadeszła chwila wystąpienia na tle kominka. Nicole przybrała wystudiowaną pozę i zajęła swoje zwykłe miejsce. Rzut oka na Maxa uświadomił jej, że wywiera spodziewany efekt. Widok jej smukłej, wytwornej sylwetki na tle kamiennej masy zawsze robił wrażenie. U Dawsonów w górach wszystko zaskakiwało ogromem i pięknem.

- Panowie, witam w chacie Dawsona - powiedziała i uśmiechnęła się. - Zaraz zostawię panów samych, ale zanim to zrobię, musimy porozmawiać o obowiązkach, jakie na wszystkich spoczywają podczas wyprawy.

Wytrzymała utkwione w siebie spojrzenia. Niektóre na dźwięk słowa „obowiązek” zrobiły się nieprzyjemne. Mężczyźni nie przepadają, kiedy kobieta przypomina im o czymś, co powinni zrobić. Dobrze o tym wiedziała. Wzięła ze stołu niewielki aparat i uniosła go w górę.

- To jest krótkofalówka. Są tu takie dwa przyciski. Zielony i czerwony. Zielony służy do tego, żebyśmy mogli się w każdej chwili porozumieć. Zawsze będą osiągalna. Czerwony naciskamy tylko w razie nagłego niebezpieczeństwa. Musicie, panowie, pamiętać, że jesteśmy w miejscu zupełnie dzikim. Nie chcę w niczym ograniczać waszej swobody, bo przyjechaliście tu po to, aby jej zakosztować w całej pełni. Musicie jednak zachować czujność. Chodzi o wasze bezpieczeństwo.

Preston zbladł. Hal nadrabiał miną.

- Bardzo rzadko dochodzi do wypadków, niemniej się zdarzają. Kiedyś niedźwiedź zaatakował wędkarza i chciał go odpedzić z łowiska. Ostrzegam, w podobnej sytuacji nie należy podejmować walki. Z niedźwiedziem to beznadziejne.

Rozejrzała się.

- Czerwony przycisk jest właśnie po to, żeby wezwać pomoc. Nie wolno uciekać ani krzyczeć. Krótkofalówka jest bardzo poręczna i wygodna w użyciu.

Przewiesiła sobie aparat przez ramię.

- Umawiamy się, że nikt nie będzie opuszczał chaty bez tego aparatu. Wszystkie będą wisiały przy drzwiach, tak żeby wychodząc można je było wziąć. To jedna z naszych reguł. Każdy, kto ją złamie, wylądowuje na dole u Charliego, a on nie zawsze bywa przyjemny.

Zrobiła minę małej, przestraszonej dziewczynki. Obecni wybuchnęli śmiechem.

Nicole skłoniła się lekko i poszła w stronę drzwi. W progu zwróciła się ku nim.

- Życzę wszystkim miłego wieczoru i dobrej zabawy. Proszę tylko pamiętać, że jutro wcześniej rano wyruszamy. Śniadanie wydajemy od szóstej do wpół do ósmej, o wpół do dziewiętej jedziemy na łowiska.

Ranek, mimo że spodziewany, zjawił się nieoczekiwanie wcześniej.

Kiedy Max wreszcie zwlókł się z łóżka, ogarnął i zszedł na śniadanie, zastał widok godzien pożałowania. Próbował się roześmiać, ale łupanie w głowie ostrzegło go, żeby tego nie robił. Zupełnie jakby była pełna odłamków szkła.

Zachowali się jak dzieciaki pozostawione same w domu przy pełnym barze. Ostrzeżenia Nicole nic nie pomogły. Max nalał sobie kawy i usiadł. Zewsząd dochodziły pojękiwania, od czasu do czasu ktoś samokrytycznie stwierdzał, że wypił „o jednego za dużo”.

Hal z poszarzałą twarzą próbował mozolnie jeść grzanekę. Preston, nie ukrywając swego stanu, siedział podparty, chowając głowę w rękach. Clarence i George starali się trzymać fason, mrugając podkrążonymi oczami. Tylko Larry, najstarszy i najbardziej przezorny, nie wyglądał gorzej niż poprzedniego dnia.

Nikt oczywiście nie zamierzał rezygnować z wyprawy.

Nicole zjawiła się w jadalni świeża jak poranek. Z doświadczenia wiedziała, że kilka osób zaraz poprosi o zgodę na spędzenie przedpołudnia w łóżku. Ich gotowość do wyjścia w góry nieco ją zdziwiła. Byli bardziej odporni, niż przypuszczała.

- Dobrze. Bierzymy ekwipunek, krótkofalówki i ruszamy. Terenowy samochód już czeka.

Wstali z trudem, ale wstali. Uśmiechnęła się do siebie.

- Jest jeszcze coś, o czym wczoraj nie mówiłam - oznajmiła. - Każdy dostanie prywatną lodówkę turystyczną z napojami i jedzeniem. Gdyby ktoś chciał wrócić do chaty, proszę mnie wezwać. Przypominam, zielony guzik. Proszę tylko nigdy nie zostawiać jedzenia na trawie. Wszystko trzeba zamykać w pojemniku. I jeszcze raz przypominam: w razie niebezpieczeństwa nie uciekać, stać w miejscu, wezwać pomoc przez krótkofalówkę. Takie sytuacje nie zdarzają się często, ale musimy być na wszystko przygotowani. Gdyby zdarzyło się najgorsze, nie walczyć z niedźwiedziem, nie próbować się bronić, tylko zwinąć się w kłębek i rękami chronić głowę. I nie zapominać o czerwonym guziku.

Spojrzała na ich pobladłe twarze i uśmiechnęła się.

- Czy kiedyś już kogoś niedźwiedź zaatakował?
- zapytał Preston drżącym głosem.

- Tak, sześć lat temu. Długo padały deszcze i w górach brakowało pożywienia, więc zwierzęta były głodne i podchodziły blisko ludzi. Jeden z gości zostawił jedzenie na trawie, a kiedy zjawił się niedźwiedź, próbował go odpędzić.

Wszyscy zastygli w oczekiwaniu na dalszy ciąg.

- Nie zastosował się do reguł i zginął.

Zapanowało ogólne poruszenie. Panowie potulnie opuścili jadalnię. Max wyszedł ostatni.

- Mam nadzieję, że dobrze spałaś - powiedział, mijając Nicole.

- Oczywiście.

- A ja nie.

Spojrzała na niego domyślnie.

- Wszystko wina alkoholu, panie Nowy Jork.

- Nie o to chodzi. Całą noc myślałem o tobie, Montana. Co mam z tym zrobić?

- Przespać się. Przepraszam, muszę iść.

Próbowała go wyminąć.

- Chyba kłamałaś, ty też nie spałaś dobrze.

- Nie łudź się, ja nigdy nie kłamię.

Trochę przesadziła z tym „nigdy”. Zdarzało jej się, owszem, ale nie zamierzała mu o tym mówić. Przynajmniej nie teraz.

- Jeśli się nie pośpieszysz, będziemy musieli jechać bez ciebie.

- Już lecę.

Szybkim krokiem podążył za innymi, przysięgając sobie w duchu, że dowie się o niej wszystkiego, choćby miał złamać wszystkie swoje zasady i pogwałcić wszystkie reguły.

Uczestnicy wyprawy zostali rozmieszczeni na stanowiskach wzdłuż brzegu rzeki, w odległości dającej każdemu poczucie absolutnej samotności. Ostatni był Larry. Kiedy i on został ulokowany, Max przesiadł się na fotel obok Nicole. Prowadziła samochód pogrążona w myślach.

- Czy masz dla mnie jakieś szczególne miejsce, czy może mam wrócić do chaty?

Spojrzała na niego roztargnionym wzrokiem.

- Przepraszam, myślałam o Larrym. Jest najstarszy i taki samotny.

Max zapatrzył się przed siebie.

- Teraz jest mu dobrze.

Zwolniła nieco.

- Może byś został z nim na przedpołudnie? Wpadnę za kilka godzin i zobaczę, jak wam idzie.

Zwrócił ku niej twarz.

- Zostaw go w spokoju. Czasem człowiek musi być sam ze swoimi myślami.

- Boję się, że mu coś jest.

- I słusznie. Larry jest chory na raka. Ma przed sobą sześć miesięcy życia, więc dajmy mu spokój. Zapewniam cię, że wie, co robi. Jest rozsądny i rozumie, na co może sobie pozwolić.

- Skąd to wszystko wiesz?

- Rozmawiałem z nim wczoraj wieczorem. Powiedział to tylko mnie, kiedy spostrzegł, że zwróciłem uwagę na środki przeciwbólowe, które bierze.

- Muszę zawiadomić ojca. Mogą być kłopoty.

- Zachowaj to dla siebie. Larry wymarzył sobie tę wyprawę i nie wolno mu jej odbierać. Siostra pomogła mu finansowo, żeby mógł tu przyjechać.

- O Boże. - Nicole westchnęła i opuściła daszek czapeczki niżej na oczy. - Niepotrzebnie mi to powiedziałeś.

- Ja...

- Zamknij się.

Przez chwilę prowadziła w milczeniu.

- Przepraszam - odezwała się wreszcie. - Moja matka umarła na raka. Na szczęście albo na nieszczęście, zależy od punktu widzenia, umarła bardzo szybko i nie męczyła się długo.

Postanowił skorzystać z okazji.

- Ile miałaś wtedy lat?

- Dziesięć.

- Miałaś jakieś rodzeństwo?

- Nie. Jestem jedynaczką.

Na chwilę oderwała wzrok od ścieżki i zerknęła na niego.

- Potrafisz obserwować. Mam na myśli tę sprawę z Larrym.

- To moja praca.

Wiedział, że przeglądała jego papiery.

- Wypełniłem formularz, wiesz, czym się zajmuję.

Nie spojrzała na niego w obawie, że wyczyta prawdę. Szczerze mówiąc, dłużej zatrzymała się tylko na rubryce, w której była mowa o jego stanie cywilnym. Resztę szybko przebiegła wzrokiem.

- Jesteście z Dougiem prywatnymi detektywami.

- Powiedzmy raczej, że doradzamy ludziom w sprawie ochrony życia i mienia. To brzmi lepiej.

- Zaraz się przekonamy, czy naprawdę jesteś w tym dobry. Co myślisz, na przykład, o Clarensie i George'u? Koledzy czy pederacsi?

- Przyjaciele z dzieciństwa. Urodzili się w tym samym mieście, chodzili do jednej szkoły, ich żony są siostrami, razem prowadzą firmę.

Nicole roześmiała się.

- Oszukujesz. Tego nie dowiedziałeś się z samej obserwacji.

Przybrał komiczny wyraz twarzy.

- Przysięgam, że to prawda.

- Kłamiesz jak z nut.

- No dobra, o tym też dowiedziałem się wczoraj z rozmowy z nimi.

- A co z Halem i Prestonem?

- To jasne jak słońce. Mają kancelarię adwokacką, jeden pracuje, a drugi robi dobre wrażenie na klientach płci obojga. Uzupełniają się wzajemnie. Hal wie, że bez Prestona nie dałby sobie rady, Preston docenia wrażenie, jakie Hal robi na kobietach i to, że zapewnia firmie właściwą oprawę.

Nicole spojrzała na niego z uznaniem.

- Dokładnie tak samo sobie pomyślałam. Preston to mrówka, a Hal motylek.

- Doskonale. A ty?

Spoważniała.

- Jak to, co ja?

- Czy chcesz, żebym wykorzystał swoje zdolności w stosunku do twojej osoby?

- Nie. I nie patrz tak na mnie.

Pozwolił jej na chwilę ciszy. Najlepiej będzie obrócić w żart to, co jest dla niego tak śmiertelnie poważne.

- Panowie i panie, uwaga - zaczął niczym kuglarz na jarmarku - zaraz objawię tej oto panience tajemnice, o których nikt oprócz niej nie wie. Chodźcie i posłuchajcie. Kto zagra, ten wygra.

- A co można wygrać?

Max zmarszczył czoło.

- Zaraz pomyślimy. Jeśli wygram, spędzisz ze mną cały dzień.

Widząc jej spojrzenie, szybko wyjaśnił:

- Będziemy łowić ryby, nic poza tym. Będziemy łowić i rozmawiać.

- A jeśli przegrasz?

- Przez cały dzień będę ci pomagał w pracy. We wszystkim, jak niewolnik.

Nieźle! Tak czy inaczej wygram, pomyślał.

- Zrobisz wszystko, co każe?

- Twoje słowa będą dla mnie rozkazem.

Cień podejrzenia zaświtał jej w głowie, ale nie przywiązała do tego wagi. Zbyt lubiła wygrywać.

Skinęła głową.

- Dobrze, przyjmuję zakład. Co twój niezwykle dar obserwacji mówi ci o mnie?

Max zamknął oczy, przesunął dłonią po czole. Wyglądał tak komicznie, że Nicole parsknęła śmiechem.

- Chwileczkę, muszę się skoncentrować - zaczął powoli. - Już widzę, tak, coś widzę... Bardzo lubisz czekoladę, ale nie możesz jej jeść, bo potem boli cię głowa...

Nicole przestała się śmiać; mimo woli prowadziła teraz wolniej.

- Widzę coś jeszcze... Uwielbiasz koty, ale jesteś uczulona na kocią sierść.

Gwałtownie zahamowała i spojrzała na niego zdumiona.

- Skąd wiesz?

- Poczekaj, mam coś jeszcze. Świetnie jeździsz konno...

- Nietrudno zgadnąć, widziałeś nasze ranczo.

- Jeździsz od dzieciństwa.

- Widziałeś mnie na koniu, kiedy przyjechałeś.

Starła się mówić spokojnym głosem, ale czuła na ciele gęsią skórę.

- Doskonale pływasz...

- Żadna sztuka. Mieszkamy blisko rzeki, wiedziałeś o tym.

- Jadasz tylko śmietankowe lody.

- Sama ci to powiedziałam.

Uśmiechnął się i uniośł w górę dłonie.

- To wszystko. Czy wystarczy? Wygrałem?

Opanowała drżenie głosu.

- Tak.

Nicole z trudem przychodziła do siebie. Skąd on to wszystko wie? Przecież to obcy człowiek. Może rzeczywiście posiada jakiś dar.

- Mam prawo do wygranej?

Nie od razu zrozumiała, o co mu chodzi.

- Słucham?

Max odwrócił głowę, żeby ukryć uśmiech.

- Doskonała pogoda na wędkowanie. Gdzie pojedziemy? Tylko pamiętaj, że umowa obejmuje również pogawędkę. Nie będziemy łowić w milczeniu. Możemy zacząć zaraz. Pytanie pierwsze: dlaczego wyjechałaś z Montany?

Zacisnęła usta i wyprowadziła samochód na drogę.

- Prowadzisz śledztwo?

- Nie. Po prostu chcę cię lepiej poznać.

Nie zapytała dlaczego, nie chcąc usłyszeć odpowiedzi, która zmieszałaby ją jeszcze bardziej. Skierowała samochód na najbardziej wyboistą ścieżkę, żeby się skupić tylko na prowadzeniu.

- Byłam zamężna i przez rok mieszkałam w Los Angeles.

Czas przeszły użyty w tym zdaniu sprawił mu ogromną ulgę.

- Rozwiodłaś się?

- Tak.

Postanowiła sama sprawę wyjaśnić, żeby nie słyść jego pytań.

- Roger wykładał w Berkeley, jest historykiem. Uważał, że małżeństwo nie oznacza wyłącznego zainteresowania własną żoną. Jakoś nie mogłam tego zrozumieć.

Max uznał, że jak na siebie i tak powiedziała bardzo dużo. Ton jej głosu zdradził mu, że nie przyszło jej to łatwo. Postanowił zmienić temat.

- Co robisz, kiedy nadchodzi zima?

- Chata jest zamknięta. Zimą nie ma sensu chodzić w góry.

- Ale co robisz w ogóle?

- Dużo rzeczy. Na ranchu zawsze jest coś do zrobienia. Oprócz tego uczę w szkole. W pierwszej klasie. Kiedy drogi są nieprzejezdne, siedzimy z tatą w domu i oglądamy stare filmy.

Sandra bardzo dużo czytała i lubiła stare filmy, zwłaszcza komedie. Czy ta kobieta jest Sandrą? Czy to

możliwe, żeby dwie obce kobiety miały identyczne upodobania, żeby wyglądały tak samo? Przecież to musi być ta sama osoba.

Poczuł nagły strach. A jeśli się okaże, że to nie ona, że Sandry już nie ma? Spróbował się uśmiechnąć i dalej prowadzić swoje małe śledztwo.

- Mogę się założyć, że wiem, jakie filmy lubisz najbardziej.

Nicole skrzyła w stronę rzeki. Postanowiła zawieźć go w swoje ulubione miejsce. Zrobiła to zbyt pochopnie; z własnej woli wydłużyła drogę i naraziła się na dalsze pytania.

- Nietrudno zgadnąć, panie Nowy Jork. O ile wiem, są dwa rodzaje filmów, komedie i dramaty.

Zatrzymali się, Max wyskoczył z samochodu i zaczął wyjmować z bagażnika sprzęt wędkarski.

- Nie wykręcaj się. Zrobimy zakład. Jeśli przegram, będę z tobą pracował przez cały dzień.

- A jeśli wygrasz, a ja przegram?

- Pojedziemy jutro razem na piknik.

Wiele nie ryzykowała. Perspektywa nie była zbyt straszna.

- W porządku. W takim razie zgadnij, jakie filmy lubię?

Zawahał się. Sam nie wiedział, co sprawiłoby mu większą przyjemność, wspólna praca czy piknik. Postanowił grać na zwłokę. Pozwoli jej wygrać i tym samym osłabi czujność „przeciwnika”.

- Na pewno nie komedie. Lubisz te poważne kawałki z Bruce'em Willisem albo Arnoldem.

- Pudło! - wykrzyknęła radośnie. - Wygrałam!
Wolę stare komedie.

Jej radość szybko przygasała. Po chwili nie była już tak całkiem pewna, kto ten zakład istotnie wygrał. Po namyśle można było mieć co do tego poważne wątpliwości... Postanowiła się nie przejmować. Nawet jeśli mężczyzna to kłopot, tym razem jest to kłopot w niezwykle ponętym opakowaniu...

scandalous

6

Max obudził się wczesnym rankiem. Leżał w łóżku z rękami pod głową, zapatrzony w grę światła na zasłonach okien. Czuł, jak czas przepływa przez niego w rytm kolorów mieniających się na gładkiej tkaninie. W domu panowała niczym niezmaczona cisza. O tej porze nie ma po co wstawać, zwłaszcza jeśli poprzednie trzy dni spędziło się na nieustannej huśtawce emocji. Między niebem a piekłem.

Nie mógł spać. Sen wymaga odrobiny spokoju ducha, a tego Max od dawna już nie doświadczył.

Pożerała go niepewność i najgorsze przeczucia. Nadzieja, że Nicole jest Sandrą, bladła z każdym dniem, rozwiewana w miarę, jak poznawał ją i jej życie. Szalona myśl, że Sandra żyje i z niewiadomych powodów ukrywa się na farmie Dawsonów albo padła

ofiara amnezji i wszyscy, Charlie oraz służba, biorą udział w jakimś niepojętym spisku, nawet jemu wydawała się nieprawdopodobna.

Przynajmniej w krótkich okresach otrzeźwienia.

Przez ostatnie trzy dni żył pogrążony w jakimś dziwnym śnie. Budził się tylko po to, żeby z profesjonalną sprawnością czerpać informacje od wszystkich, którzy mogli coś wiedzieć o Nicole. Zerwał ze swymi zasadami, pogwałcił wszelkie reguły. Bez żenady wypytywał o szczegóły z jej życia Reeda, jego młodszego brata Asha, JD i Penny. Rozmowa z tą ostatnią sprawiała mu największe trudności: kiedy niewinnym głosem o coś pytał, gospodyni patrzyła na niego podejrzliwie, a potem odpowiadała lakonicznie i niechętnie, tak jakby mu nie ufała.

Nie wolno się dłużej łudzić. Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy. Nicole nie jest Sandrą. Nie ma żadnej tajemnicy, spisek nie istnieje. Nikt nie ma amnezji i nikt nikogo nie udaje. Jedyną logiczną odpowiedzią jest to, co powiedział mu Douglas: każdy człowiek ma swojego sobowtóra, który żyje gdzieś w świecie.

Tylko dlaczego ta kobieta lubi dokładnie to samo co tamta? I skąd identyczne znamię za jej lewym uchem?

Cholerne pytania bez odpowiedzi. Nicole jest sobowtorem, to wszystko wyjaśnia, i on, Max, musi w to uwierzyć. Zaspokoiwszy rozum, nie uspokoił serca. Czuł dojmujący smutek. Melancholia spływała na niego wraz z kojącą atmosferą pokoju, którego ściany zmieniały kolor w miarę, jak wschodziło słońce.

Leżał bez ruchu, nie próbując okiełznać podświadomości. Czuł, że ze smutku rodzi się pomysł. Niejasna myśl, której odniesieniem jest obietnica, jaką uczynił Helen Applewhite... Obietnica, jaką uczynił samemu sobie.

Sądząc po świetle, musi być około piątej. Sięgnął po telefon. Dlaczego ma się męczyć sam? Od czego ma się przyjaciela? Wystukał numer Douglasa.

Przyjaciół odebrał telefon w momencie, kiedy Max prawie odkładał już słuchawkę.

- Doug, to ty? Co tak dyszysz? Dlaczego nie odbierałeś? Próbuję się do ciebie dodzwonić od dwóch dni! Co tam się dzieje?

Ciężkie dyszenie w słuchawce jeszcze się spotęgowało.

- Co się z tobą dzieje, Doug? Źle się czujesz?

- Ja... umieram...

Max poczuł, że serce podchodzi mu do gardła.

- Max, zabierz mnie stąd, błagam cię... Tylko szybko...

Max zerwał się z łóżka i sięgnął po ubranie. Był przerażony.

- Jesteś chory, Doug? Co się stało?

- Ten stary chce mnie zabić i uda mu się. - Głos Douglasa przeszedł w jęk. - Postanowiliśmy, że dokładnie mu się przyjrzę, prawda? Że będę za nim chodził... I poszedłem. Od dwóch dni ciąga mnie po knajpach, najgorszych spelunkach w okolicy, nigdy czegoś podobnego nie widziałem. Chlamy całe noce. Wczoraj zalałem się tak, że nie pamiętam, jak wróciłem do domu.

Głos Douglasa załamał się.

- Podobno tańczyłem na stole... Potem Charlie przyprowadził nam panienki. Miały każda po dwieście lat, ale byłem tak zalany, że myślałem, że to gwiazdy filmowe. Dlaczego się śmiejesz?

- Wcale się nie śmieję.

Max przysiadł na łóżku i zakrył usta dłonią.

- Chcieliśmy je sobie przywieźć do domu, ale na parkingu dostaliśmy łupnia od ich mężów, bo one miały mężów, stary... Nie wiem dokładnie, kiedy to było, ale chyba jakieś dwa dni temu. Potem nic nie pamiętam. Graliśmy w pokera z takimi dwoma wyjadaczami, co włosy i zęby stracili, jak ty i ja sikaliśmy w pieluchy. Cały czas piłem i rzygałem. Poznałem tutejszego szeryfa, miły facet wielkości sporego niedźwiedzia. Potem znowu piłem. Max, przyjacielu, zabierz mnie stąd, zanim ten stary mnie wykończy. On ma siły i libido dwudziestolatka. Zabije mnie, a jak nie on, to zrobi to moja żona. Pomóż mi, błagam...

Max wybuchnął śmiechem; łzy napłynęły mu do oczu.

- Jak rozumiem - wykrztusił wreszcie - nie miałeś zbyt dużo czasu, żeby się zająć Nicole?

- A niby dlaczego nie? Już wszystko wiem, to wcale nie jest Sandra.

- To i ja wiem.

Odczekał chwilę. Douglas chrząknął.

- Odjak dawna to wiesz?

- Od dwóch dni, właśnie dlatego próbowałem się do ciebie dodzwonić.

- Charlie zabrał mi telefon, nawet nie wiem kiedy. Powiedz, czego się o niej dowiedziałeś?

- Wystarczająco dużo, żeby uwierzyć w UFO, duchy, i co tam jeszcze. Nicole nie jest Sandrą, ale ma te same gusta, upodobania, i takie samo znamię za lewym uchem. Nic z tego nie rozumiem. To muszą być jakieś czary.

- Niekoniecznie. Nie wiem, czy wiesz, że Nicole została adoptowana. Charlie mi powiedział.

Max nie od razu zrozumiał.

- Co z tego? Przecież Sandra nie była adoptowanym dzieckiem.

- Skąd wiesz? Helen nic na ten temat nie mówiła, a my nie pytaliśmy.

- Myślisz, że były bliźniaczkami zaadoptowanymi przez dwie różne rodziny?

Max wstał, sięgnął na oślep po spodnie i nerwowo zaczął się ubierać, jedną ręką trzymając słuchawkę. Nowa informacja zelektryzowała go.

- Bliźniaczki, Doug! To rewelacja!

- Jest oczywiście jeszcze inne wyjaśnienie - zaczął Douglas umęczonym głosem. - Reinkarnacja, zombie albo przybysz z obcej planety, który przybrał ludzką postać, żeby... Takie rzeczy się zdarzają. Rozglądałeś się, Max? Nie ma tam w okolicy jakiegoś dużego spodka?

- Przestań, mówmy poważnie. Zaraz zadzwonię do Helen. Albo nie, lepiej ty zadzwoń, tylko nic jej na razie nie mów o Nicole.

- Dobrze. Zrobię to, chociaż nie ma pośpie-

chu. Wiemy już, że Nicole to nie Sandra, więc sprawa może poczekać. Nie zapominaj, po co tu przyjechaliśmy. Znalazłem sporo rzeczy, które mogą zainteresować Bedforda; Dawson naprawdę ma kłopoty. Muszę się z tobą zobaczyć. Ja też chciałbym sobie powędkować, a przy okazji pogadamy o metodach, jakimi posługuje się Bedford. Sprawy trochę się skomplikowały.

Max nie słuchał go, pogrążony we własnych myślach.

- Mam pewien plan, Doug, ale na razie jeszcze za wcześnie, żeby o tym mówić. W odpowiednim czasie dam ci znać.

- Co ty tam znowu knujesz?

- Będiesz pierwszym, który się dowie. Na razie muszę kończyć.

Rozłączył się szybko, żeby nie dopuścić do dalszych pytań; ubrał się i wyszedł z pokoju. W przeciwieństwie do pozostałych gości znał już wszystkie zakątki domu. Wiedział, że Penny i JD mają własny domek na tyłach posiadłości i że chłopcy nocują u nich. Nicole rezydowała na dole, niedaleko kuchni. Przypuszczał, że wcześniej wstaje.

Stała przy ekspresie do kawy, czekając, aż się zaparzy. Poranek był chłodny. Wzdrygnęła się i podkurczyła palce gołych stóp. Szczelniej otuliła się spłowiałym, różowym szlafrokiem. Jeszcze całkiem się nie obudziła. Stała tak na wpółuśpiona, wdychając zapach świeżej kawy.

Dawniej tak wcześnie nie wstawała. W dzieciństwie rodzice dosłownie musieli wyciągać ją z łóżka. Dochodziło przy tym nieraz do komicznych scen. Zapalali światło, otwierali okna, czasem nawet polewali ją zimną wodą. Jako mała dziewczynka sypiała jak kamień. Kiedy dorosła, jej zwyczaje uległy zmianie; już nikt nie musiał jej zmuszać do otwarcia oczu. W dalszym ciągu nie zносиła porannego wstawania, ale potrafiła już sama się budzić. Wszyscy w jej otoczeniu, rodzina i przyjaciele, wiedzieli jednak, że z Nicole nie rozmawia się, dopóki nie wypije porannej kawy.

- Witaj, słoneczko - zanucił Max. - Witaj...

Przerwał mu hałas kubka rozbijającego się o posadzkę. Nicole powoli zwróciła ku niemu zagniewaną twarz.

Próbował zachować żartobliwy ton.

- Chyba cię zaskoczyłem. Przepraszam...

Nicole wzięła nowy kubek. Wyglądała prześlicznie w spłowiałym szlafroku, z potarganymi jasnymi kosmykami włosów.

- Jeszcze nie ma szóstej. Co ty tutaj robisz o tej porze?

Spojrzała na niego nieprzyjaźnie.

Próbował jakoś załagodzić sytuację, ale nie udało mu się. Nicole nalała kawy do kubka i nie zaszczyciwszy spojrzeniem Maxa, wolnym krokiem poszła do swoich apartamentów. Trzasnęły drzwi.

Max również nalał sobie kawy i wypił ją, nie czując smaku. Nie spuszczał wzroku z zamkniętych

drzwi. Miał ochotę pójść za Nicole, ale nie wiedział, jak przywita intruza. Postanowił zaryzykować.

Uchylił drzwi i ostrożnie wsunął głowę do środka. Nicole siedziała na kanapie z kubkiem kawy w rękach. Spojrzała na niego spod grzywy jasnych włosów.

- Niebezpieczeństwo minęło, już się obudziłam.

Max rozejrzał się po saloniku przylegającym do sypialni. Bardzo tu było przytulnie. Wzorzyste kanapy, szklane wazony pełne kwiatów, niski stolik, aparatura stereo, odtwarzacz filmów, kasyety i płyty kompaktowe. Podszedł i usiadł na kanapie obok Nicole.

- Jak widzę, nie jesteś rannym ptaszkiem.

- Dlatego tak się czaiłeś, wchodząc?

Roześmiał się i przysunął bliżej.

- Po prostu bałem się, że mi podbijesz oko albo złamiesz nos. Wcale bym się nie zdziwił, trochę już cię poznałem.

- Przez większą część roku pracuję z mężczyznami. Wędruję z nimi przez pustkowia. Muszę umieć się bronić, to konieczność.

- Zauważyłem, że świetnie dajesz sobie radę. Na przykład ta historia z Halem; załatwiłaś go po mistrzowsku.

Czuła, że jest bardzo zdenerwowany; wypić łyk kawy, żeby pokryć własne zmieszanie.

- Pierwszy dzień jest najgorszy. Potem, jak już zaczną łowić ryby, zapominają o mnie w zetknięciu z matką naturą. Myślą tylko o rzece i rybach. Wtedy jest łatwiej.

Dlaczego on jest tak potwornie pociągający? Trud-

no i głupio tak siedzieć obok niego. I do tego tak na nią patrzy... Nie chciała się od niego odsuwać, by sobie nie pomyślał, że się boi.

Zdziwiło go, że Nicole nie próbuje przyczesać włosów ani jakoś się ogarnąć. Sandra zachowałaby się zupełnie inaczej. Nigdy nie przyjęłaby nikogo w takim stroju. Każda kobieta zachowałaby się inaczej. Nicole jest inna; jest wcieleniem naturalności, niczego nie udaje; jest po prostu sobą. Uznał to za bardzo podniecające.

- Czy uczestnicy wyprawy często cię zaczepiają i robią różne propozycje?

- Owszem. Jak widzisz, mam na drzwiach potrójną zasuwkę.

Spojrzał na drzwi i uśmiechnął się.

- Nawet nie wiem, jaką fortecę sforsowałem.

Szczelniej otuliła się szlafrokiem.

- Co ty właściwie robisz w moim pokoju o tak wczesnej porze?

Max odstawił kubek na stolik.

- Chciałem z tobą porozmawiać o tym obiecany pikniku.

Roześmiała się.

- Obiecany pikniku? Mieliliśmy jechać na piknik, gdybyś wygrał zakład, ale przecież przegrałeś. Nic ci się nie należy.

- Nie szkodzi. Piknik i tak mógłby być przyjemny.

Zamyśliła się. Goście mają zajęty prawie cały dzień. Wcześniej rano ruszają na łowiska i wracają na ogół dopiero późnym popołudniem, nieraz dopiero

w porze kolacji. W wolnych chwilach grają w karty, odpoczywają albo, tak jak Larry, chodzą z Reedem i Ashem na spacer. Prawie wcale nie musi się nimi zajmować.

Właściwie mogłaby wybrać się z Maxem na ten piknik...

- Moglibyśmy po wędkować w jakimś ładnym miejscu. Sam wszystko przygotuję, jedzenie i całą resztę. Nawet nie ruszysz palcem. To będzie dla ciebie czysta przyjemność.

Jeszcze się wahała. Max sięgnął po ostateczny argument.

- Założę się, że złowię większą rybę niż ty.

Spojrzała na niego, jej oczy rozbłysły.

- O co się założymy?

- Powiedzmy o pięć dolarów.

- Nie zakładam się.

Pokręciła przecząco głową i powtórzyła:

- Nigdy się nie zakładam.

- Co takiego?

Wybuchnął śmiechem.

- Przecież od kilku dni nie robimy nic innego.

- To były tylko żarty, zakładaliśmy się dla zabawy, nie chodziło o pieniądze.

- Rozumiem, stosujesz takie subtelne rozróżnienia, żeby uspokoić sumienie.

- Zgadłeś.

Czuła się nieswojo, siedząc tak obok niego tylko w szlafroku. Wiedziała, że nie będzie miała dość siły, żeby mu się oprzeć, jeśli uczyni pierwszy krok. Gwał-

townie wstała; Max zrobił to samo i nagle znaleźli się jeszcze bliżej siebie. Odsunęła się.

- O co się założymy? - powtórzyła schrypniętym głosem.

- Jeśli wygram, pójdziemy na spacer przy świetle księżycy, a jeśli przegram, osobiście przygotuję ci kolację.

Gdzieś znowu była pułapka, czuła to, ale nie wiedziała dokładnie gdzie. Przez chwilę się zastanawiała.

Max wszystko sobie przemyślał. Pierwszego dnia nad rzeką wiele się nauczył. Obserwując Nicole, doszedł do wniosku, że dorównać dziewczynie na jej własnym terenie będzie bardzo trudno. Operowała wędką tak sprawnie i tak dobrze, że wygrać z nią w tej konkurencji było prawie niemożliwe.

Tym razem jednak, tak czy inaczej, to on zostanie zwycięzcą. Wolałby oczywiście spacer przy księżycu, ale wspólna kolacja to też coś. Trzeba tylko będzie spławić jakoś Reeda i Asha. Chłopcy bardzo się do niego przywiązali i nie opuszczali go ani na krok. Był tak zamyślony, że nie słyszał, co powiedziała.

- Przepraszam, mówiłaś coś...

- Owszem, mówię, że jeśli stąd wyjdiesz, będę mogła się ubrać.

- Jestem w każdej chwili gotów zostać tutaj i trochę ci pomóc. Mogę się przydać, zapiać jakieś guziki albo coś takiego.

- Dziękuję za dobre chęci, ale nie potrzebuję pomocy.

Przezesłała dłonią włosy.

- Idź już, Max.

Po jego wyjściu głęboko westchnęła. Niełatwo jest zmagać się z pokusą, zwłaszcza z taką. Tym bardziej kiedy się wie, że nie jest się w stanie odegnać jej raz na zawsze.

Max opuścił jej pokój z dziwnym uczuciem. Nie wiedział, co myśleć. Nicole w niczym nie przypominała Sandry, a jednak był nią tak samo zafascynowany. Poczł wyrzuty sumienia, jakby dopuścił się zdrady. Przypomniał sobie o swoim postanowieniu; musi doprowadzić sprawę do końca. Nigdy tego nie zrobi, jeśli bez przerwy będzie analizował swoje uczucia.

Tego ranka Nicole ubierała się dłużej niż zwykle. Z jakiegoś powodu dobierała starannie kolor dzinsów do koloru koszulek, zmieniając kilka razy zdanie. Zrobiła staranny makijaż. Kiedy wreszcie wyszła ze swojego pokoju, w drzwiach zderzyła się z JD.

- Aleś mnie wystraszyła...

- Ty mnie też. O co chodzi? Stało się coś?

JD zrobił krok do tyłu, przepuszczając ją.

- Niby nic. Tamten facet przyszedł do mnie i powiedział, że jedziecie razem na piknik. Zapytał, czy może coś dla was obojga zabrać na lunch. Wiesz coś o tym?

Próbowała nie patrzeć mu w oczy.

- Owszem. To coś złego?

- Gdzie tam. Co ma być złego? Ja jestem za nim, trochę pogadaliśmy, podoba mi się. Lubi porozmawiać.

- Jest jakieś „ale”, wyraźnie to słyszę. Mów jaśniej, JD.

Weszli do kuchni. JD zabrał się do zaparzania kawy w dużym ekspresie.

- Nie mam nic przeciwko temu, a tobie należy się jakaś przyjemność.

Przez chwilę milczał. Stał zwrócony do niej tyłem i nie mogła widzieć wyrazu jego twarzy.

- Ja nie mam nic przeciwko temu - mówił dalej z ociąganiem - ale sama wiesz, jaka jest Henny-Penny. Boi się, że ktoś cię znowu skrzywdzi i będziesz cierpieła, takie tam babskie gadanie. Mówi, żebyś uważała. Strasznie się przejmuję.

- Jestem teraz inna. Sporo się nauczyłam i nie tak łatwo zawrócić mi w głowie. Nie jestem nawet pewna, czy jeszcze potrafię cierpieć z powodu mężczyny. Myślisz, że nie powinnam jechać z nim na piknik?

JD przekreślił czapkę daszkiem do tyłu.

- Nic takiego nie powiedziałem. Lubię tego faceta, naprawdę. Oboje z Penny myślimy, że należy ci się jakaś przyjemność, tylko uważaj.

Nicole nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy płakać. Oni są naprawdę niemożliwi. Traktują ją jak małą dziewczynkę, gotową włożyć palec między drzwi.

- Będę bardzo ostrożna, przysięgam.

Podniosła rękę do góry żartobliwym gestem.

- I nie kpj sobie ze mnie, bo to nieładnie.

JD oparł się o kuchenny blat. Spojrzała na niego przepraszająco.

- Nigdy z ciebie nie żartuję.

- Jedno ci powiem. Odkąd wróciłaś do domu, sta-

łaś się inna. Nie jesteś taka jak dawniej. Jesteś twarda, cyniczna. Nasza Nicky taka nie była.

Znowu odwrócił się do niej tyłem i zajął się przygotowywaniem ciasta na biszkopty.

- Naprawdę tak myślisz?

Podeszła do niego bliżej.

- Tata też tak mówi. Myślałam, że w taki właśnie sposób próbuje odwrócić moją uwagę od tego, co sam wyprawia.

- Charlie nigdy nie zrobił niczego takiego, czego naprawdę mógłby się wstydzić. A może ty coś o tym wiesz?

- Nie.

Patrzyła, jak JD wyjmuje z lodówki bekon i zaczyna go kroić na cieniutkie plasterki.

- Coś ci powiem, Nicky. Jeśli nie chcesz, możesz nie słuchać. Musisz jak najszybciej zapomnieć o Rogerze i znowu być sobą. Nie wolno ci myśleć, że każdy facet jest tak samo podły jak ten łajdak, twój były mąż. Tak nie jest. Jedź na ten piknik i bądź taka jak dawniej. Bądź sobą. Nie bierz wszystkiego tak strasznie poważnie, śmieję się i baw. A jeśli ten facet cię pocałuje, pocałuj ty jego też. Tylko pamiętaj, wycofuj się z uśmiechem.

Nicole roześmiała się. Pomogła mu wyjąć biszkopty z piekarnika i zabrała się do mycia truskawek. JD i Charlie mają rację, bardzo się zmieniła. Przez ostatni rok chodziła jak chmura gradowa. W nocy leżała, rozmyślając nad swym nieudanym małżeństwem. Wiedziała, że to nie ona zawiniła, ale świadomość, że dała się oszukać, sprawiała jej ból.

JD włożył do piekarnika nową porcję biszkoptów i spojrzął na kuchenny zegar.

- Bierzmy się do roboty. Zaraz się zjawia Henny-Penny i chłopcy i powiedzą, że stoimy i tylko gadamy.

Zbyt długo męczyła się tym wszystkim. Najwyższy czas zapomnieć i zacząć na nowo normalnie żyć.

Wystarczająco długo dręczyła się tym, że została skrzywdzona. Nie można wiecznie gniewać się na cały świat. Trzeba raz na zawsze zapomnieć Rogera Seevera.

- Dziękuję, JD.

Przekręcił dżokejkę daszkiem do przodu.

- Niby za co?

Pocałowała go w policzek.

- Bo mi przypomniałeś, że jeszcze żyję i że powinnam z tego skorzystać i znowu trochę poszaleć.

- Ja ci to powiedziałem? Rany, ale ja jestem sprytny, kto by przypuszczał...

7

Tego ranka bez przerwy spoglądała na zegarek. Rozwożąc gości na łowiska, zachowywała się jak nastolatka przed pierwszą randką. Po powrocie na ranczo raz po raz zaglądała do kuchni, ale Penny i Max zaraz ją wyganiali, krzycząc, że przeszkadza. Coś tam razem pitrasili; chyba coś więcej niż jedzenie.

W południe znowu pojechała nad rzekę, tym razem po to, żeby zabrać wszystkich na lunch do chaty. Kiedy goście jedli, zamieniła kilka słów z Reedem i Ashem, którzy czekali, aż panowie skończą, żeby ich zabrać na wycieczkę. Lany, który wolał wędkować pod wieczór, został na tarasie, przez lornetkę obserwując dzikie ptactwo i zwierzynę.

Nie mogła już dłużej wytrzymać. Wtargnęła do kuchni. Henny-Penny była sama.

- Gdzie jest...
- Czeka na ciebie przy jeepie.

Nicole ruszyła ku kuchennym drzwiom.

- Masz znowu rumieńce i błyszczą ci oczy. Baw się dobrze, córeczko.

Zawróciła i pocałowała starą kobietę w pomarszczony policzek.

- Dzięki. Gdybym była ci potrzebna, zawiadom mnie.

- Rozerwij się trochę, dziecinko, i o nic się nie martw. Wszystko samo się ułoży.

Max czekał na nią przed domem, oparty o jeepa. Wyglądał niesamowicie przystojnie. Nicole roześmiała się do swoich myśli.

- Co cię tak rozbawiło?

Była jakaś inna. Nie wiedział, na czym to polega, ale miał przed sobą inną osobę. Zawsze zachowywała się swobodnie, ale teraz była po prostu radosna. Szybkimi, długimi krokami przebyła dzielącą ich odległość. Podeszła do samochodu i wskoczyła na miejsce kierowcy.

Wpatrywał się w nią z nie skrywaną fascynacją. Nigdy nie widział kobiety poruszającej się w taki sposób. W jej ruchach nie było płynności ani harmonii, była w nich niemal męska stanowczość i pewien rodzaj agresywności, który nagle wydał mu się niezwykle podniecający. Nie zwlekając, usiadł obok niej.

Nicole włączyła silnik, ale nie wyjechali na drogę. Spojrzała na Maxa. To, co wyczytała w jego oczach,

podziałało na nią jak prąd. Dostrzegła w nich coś więcej niż fascynację, dostrzegła w nich pożądanie.

Odpowiedziała na nie bez namysłu. Objęła go za szyję, przyciągnęła do siebie i mocno pocałowała w usta. Miał to być szybki pocałunek, którym zamierzała go poinformować, że rozumie jego pragnienia i podziela je. Zamienił się w długi, namiętny uścisk, pełen dzikiej łąpczywości. Z wysiłkiem oderwała od niego usta i spojrzała mu w oczy.

- Tego właśnie chciałeś, prawda?

- Nie tylko.

Zaskoczyła go. Niespodzianka była nieoczekiwana i bardzo przyjemna. Zupełnie się tego nie spodziewał. Sandra nigdy... Nie powinien o niej myśleć, ale nie mógł się powstrzymać od porównań. Sandra nigdy nie zrobiłaby czegoś podobnego. Była nieśmiała i wrażliwa, absolutnie niezdolna do podobnej spontaniczności.

- Od początku się we mnie wpatrywałeś. Śledziłeś każdy mój ruch. Nie mogłam tego nie widzieć.

- Jak na ciebie patrzyłem? Powiedz.

Sytuacja była zupełnie nowa. Z żadną kobietą nigdy dotąd nie prowadził takich rozmów.

- Kiedy spostrzegłaś, że patrzę na ciebie w taki sposób?

Musiał być nieco zmieszany, bo Nicole uśmiechnęła się.

- Na przykład dziś rano w moim pokoju. Nie wiesz mi, że nie miałeś ochoty mnie pocałować. Czuję to.

- Nie powiem.

Jasne, krótkie włosy rzucały złote refleksy na jej twarz.

- Powiem, że miałem ochotę na coś więcej. Masz bardzo zmysłowe usta. Reszta też jest całkiem niezła.

Energicznie wyprowadziła samochód na drogę.

- Mam nadzieję, że nie jesteś bojaźliwy i niełatwo cię spłoszyć.

Przysunął się do niej i szepnął wprost do ucha:

- Za to bardzo łatwo zaostrzyć mi apetyt.

Z Sandrą podobna sytuacja była nie do pomyślenia.

Nicole całą sobą odbierała emanujące z niego podniecenie. Był to tak bardzo przyjemny stan, że nie miała nic przeciwko temu, żeby go przedłużyć. Jednak ku zaskoczeniu Maxa całą uwagę skupiła teraz na prowadzeniu samochodu. Najwyraźniej nie była nowicjuską, lecz osobą doświadczoną, mógł więc spokojnie powierzyć jej swój los. Przynajmniej jeśli idzie o seks. Odsunął się nieco i odprężył.

Jechali przez nie znaną Maxowi okolicę. Nicole postanowiła pokazać mu coś zupełnie niezwykłego.

- Co robisz w tym swoim mieście, panie Nowy Jork? - przerwała po chwili ciszę, nie patrząc na niego.

- Nic ciekawego. Pracuję, a potem wracam do domu i kładę się spać.

- Jasne. Masz bardzo nieciekawe życie z tymi wszystkimi kinami, teatrami, lokalami i co tam jeszcze można robić, kiedy się jest, jak to ty powiedziałaś? Doradcą w sprawach ochrony ludzi i mienia.

Była swobodna i rozluźniona, niczego nie udawała. Zawsze taka była. Mówiła, co chciała i brała, co chcia-

ła. Roger na początku bardzo lubił jej sposób bycia. Podziwiał jej otwartość i naturalność; imponowała mu. Uważał, że jej podejście do spraw seksu jest jak najbardziej właściwe i bardzo podniecające. Był dumny, że ma taką „wyzwoloną” żonę.

Zmienił zdanie, kiedy został profesorem i dostał etat na uniwersytecie. Stał się mniej wyrozumiały. Zaczął jej zwracać uwagę; kiedyś powiedział, że jej zachowanie go kompromituje. Bardzo ją to zabolowało. Teraz już wiedziała, że Roger był po prostu hipokrytą.

Max jest inny, jest dla niej odpowiednim partnerem, ale musi uważać: już raz się sparzyła.

Może posunęła się za daleko, może zbyt szybko się pośpieszyła? Postanowiła nieco zwolnić tempo. Trzeba skierować rozmowę na jakiś obojętny temat.

- Lubisz swoją pracę?

Max odwrócił wzrok od łąki, przez którą przejeżdżali.

- Ostatnio przestałem. Męczy mnie i nudzi.

Prawda zawarta w tych słowach zdumiała jego samego.

- Dlatego przyjechaliście tutaj?

- Tak, chcieliśmy troszkę odpocząć, połowić ryby...

Temat, na jaki skierowała rozmowę, nieco go zaniepokoił. Czyżby wiedziała więcej, niż przypuszczał? Może wie o Bedfordzie. Po chwili odrzucił tę myśl. To niemożliwe, skąd mogłaby się dowiedzieć? Tym bardziej nie może znać historii Sandry.

Nicole znała się na ludziach. Raz tylko popełniła

błąd: pomyliła się co do Rogera. Od razu spostrzegła, że Max bardzo uważnie dobiera słowa, jakby się bał z czymś zdradzić. Nie dociekając, dlaczego tak robi, skierowała samochód w stronę kępy drzew; zjechali nad rzekę i wysiedli. Spojrzała na duży kosz ustawiony z tyłu.

- Wezmę sprzęt, a ty jedzenie.

Max rozejrzał się. Nigdy nie łowił w takim miejscu. W niczym nie przypominało łowisk, które dotąd widział. Nawet goście Dawsona nie mieli czegoś takiego do swojej dyspozycji. Nicole postanowiła pokazać mu swe ulubione miejsce. Szedł za nią przez las, słysząc obok szum rzeki. Kiedy wyszli z gęstwiny, przystanął olśniony.

Miał przed sobą wodospad, spływający po skałach wprost do szmaragdowego basenu. Cienie ryb przesuwały się w smugach światła.

Poczuł delikatne tchnienie wiatru, w tafli wody spostrzegł odbijające się korony drzew. Poczuł się wolny i swobodny jak wiatr. Odstawił kosz z jedzeniem i razem z Nicole zeszli nad wodę.

Stojąc w rzece z wędką w ręku, czuła jedynie jedwabiste muśnięcia wody na skórze. Po chwili poczuła jeszcze coś innego. Pustka w żołądku przypomniła jej, że stoją tak już od dwóch godzin. Zwinęła sprzęt i odwróciła się w stronę Maxa.

- Umieram z głodu, panie Nowy Jork.

Spojrzał na nią, zdumiony, że słyszy ludzki głos.

- San...

Urwał. Własny wzrok płata mu figle. Twarz Nicole w słońcu była twarzą Sandry.

- Skończyłaś już?

Nicole skinęła głową i uśmiechnęła się. Znała ten nieobecny wyraz twarzy.

- Idę zająrzeć, co tam przygotowaliście do jedzenia.

Brodząc w wodzie, skierowała się w stronę brzegu. Odłożyła wędkę i przemyła twarz zimną wodą, po czym wytarła się rąbkiem koszulki. Max podszedł do niej i zrobił to samo.

- Mógłbym z tobą łowić ryby zawsze i wszędzie, pod każdą szerokością geograficzną.

Przyjęła komplement w milczeniu. Łowili już razem pierwszego dnia, ale wtedy czuł się spięty, zdenerwowany i rozkojarzony. Dzisiaj był w znakomitej formie i musiała bardzo się starać, żeby mu dorównać. Prawdziwy wędkarz wie, jak ważną rolę odgrywa nastój i skupienie. Wędkowanie nie polega na moczeniu kija w wodzie i wyciąganiu ryb. To najmniej ważne.

Wędkowanie to sztuka, to rytuał. Człowiek, który zbliża się do rzeki, musi mieć odpowiedni stosunek do natury. Musi znać jej język i umieć w niej czytać. Powinien rozumieć każdy szmer i sposób, w jaki owady poruszają się po powierzchni wody. Znać obyczaje ryb. Nicole widziała w życiu zaledwie kilku prawdziwych wędkarzy. Tylko bardzo nieliczni rozmawiali w czasie obrzędu zwanego wędkowaniem. Max do nich nie należał.

Rozłożył na trawie obrus, który dała mu Penny. Poprosił Nicole, żeby usiadła, i zajął miejsce naprze-

ciw niej. Wyjął z kosza talerze, widelce i serwetki. Na końcu wydobyl pojemniki z jedzeniem.

- Mam nadzieję, że do kurczaka napijesz się czerwonego wina.

- Z przyjemnością.

Ciekawie zerknęła do kosza.

- Będziemy jeść kurczaka?

- Tak, piezonego, a do tego specjalną kartoflaną sałatkę według przepisu Warnera.

- Ty ją zrobiłeś czy Penny?

- Musisz wiedzieć, że sam wszystko przygotowałem. Sam upiekłem kurczaka, tak jak mnie nauczyła moja droga babcia z Teksasu.

Roześmiał się, widząc zdziwienie w jej oczach.

- Chyba nie myślisz, że jestem rodowitym nowojorkczykiem?

- Sama nie wiem. Masz dziwny akcent, trudno powiedzieć, skąd pochodzisz. Jesteś z Teksasu? Skąd? Z Houston? Dallas? Z jakiegoś innego dużego miasta?

- Raczej z małej dziury. Urodziłem się i wychowałem w miasteczku takim jak wasze Bartlet. Potem poszedłem do wojska i trochę się otrząsałem w świecie. Akcent zgubiłem gdzieś po drodze.

Zaczął nakładać sałatkę na jej talerz.

- A ty? Dużo podróżowałaś?

Była tak głodna, że myślała tylko o jedzeniu, które miała przed sobą.

- Oprócz Montany byłem tylko w Kalifornii, w Berkeley i w kilku innych miastach.

- Sądząc z twojego tonu, niezbyt cię one zachwyciły.

- To prawda. Zrozumiałam, że jestem dziewczyną z prowincji i najlepiej zrobię, jeśli wrócę tam, skąd przyszedłam.

- Nonsens.

Nicole wzięła kawałek kurczaka i oblizała się.

- Doskonały, lepszy niż to, co robi Penny. Dałeś jej przepis?

- Nie musiałem. Patrzyła na mnie tak jak kot na mysz, śledziła każdy mój ruch. Wszystko zapamiętała.

Sięgając po sałatkę, uświadomił sobie, co mu tak przeszkadza w rozmowie z Nicole. Ona nigdy nie mówi o sobie. Zawsze tylko pyta.

Dotąd o tym nie pomyślał. Zbyt dobrze znał każdy szczegół z życia Sandry. Swoją wiedzę o Sandrze przenosił na Nicole. Dopiero teraz zrozumiał, że nic o niej nie wie. Postanowił zastosować metodę inwigilacji bezpośredniej.

- Penny wspominała, że masz za sobą nieudane małżeństwo. Nazwała twój byłego męża łajdakiem. Gdzie go poznałaś? Na studiach?

Nicole wypła łyk wina.

- Nie. Przyjechał tutaj z kolegami. Na kilka dni. Tak jak ty.

Mówiła dalej bardziej do siebie niż do Maxa.

- Uwiódł mnie. Był bardzo przystojny, wygadany. Zobaczył nasze ranczo, posiadłość w górach i pomyślał, że jestem bardzo dobrą partią. Zawiedliśmy się oboje.

Mniej baczny obserwator mógłby pomyśleć, że to wszystko. Ona dała się oszukać pozorom, a on zawiódł się, bo spodziewał się większych pieniędzy. Max wyczuwał jednak, że za banalną opowieścią o zawiedzionej dziewczynie kryje się coś więcej. Coś gorszego i bardziej bolesnego dla osoby takiej jak Nicole.

- I co się stało, kiedy się zorientowałaś, że tylko o to mu chodziło?

Nicole odstawiła pusty talerz i znowu napiła się wina. Przez chwilę milczała, a potem powiedziała coś, co zaskoczyło nawet ją samą. Nigdy tego tak nie formułowała, nawet przed samą sobą.

- Zrozumiałam, że jestem dla niego nieodpowiednią osobą. Nie pasowałam do jego stylu życia i jego przyjaciół. Czułam się źle w tym tak bardzo kulturalnym środowisku.

W jej głosie nie było ironii; była tylko gorzka świadomość prawdziwego stanu rzeczy.

Max odwrócił wzrok, nie mogąc ścierpieć bólu malującego się na jej twarzy.

- Tym gorzej dla nich - powiedział ze ściśniętym gardłem. - Chyba nieczęsto zdarza im się spotkać kogoś z twoim wyglądem i z twoją inteligencją.

Roześmiała się.

- Chciałeś chyba powiedzieć: podobne dziwadło? Owszem, dostarczyłam im sporo rozrywki.

- Widzę, że cię zranili, i bardzo mi przykro.

- Dzięki.

Wytarła usta serwetką. Czuła się z nim tak lekka

i radosna, że mogła mówić o wszystkim, nawet o tym, co dotąd nie chciało jej przejść przez gardło.

- Zresztą to musiało być bardzo zabawne. Ja w tych swoich spodniach, podkoszulkach i długich butach, rozprawiająca o łowieniu ryb i tropieniu zwierzyny, a dokoła damy zastanawiające się bez przerwy, jakie podjąć działania, żeby mąż szybciej zrobił karierę i dostał etat na uczelni. Lubiły również mówić o ubraniach, sklepach, dzieciach i kupnie nowego domu, że nie wspomnę o samochodach. Sam widzisz, byłam tam zupełnie nie na miejscu.

Max starannie zebrał resztki jedzenia, a potem złożył obrus.

- Sam byłem w takiej sytuacji, stąd wiem, jak to smakuje.

- Kto? Ty?

Mimo woli przysunęła się do niego.

- Myślisz, że zawsze byłem taki przystojny, uroczy, swobodny i dowcipny jak teraz?

Roześmiała się wesoło. Z jej głosu zniknęła gorycz. Max mówił dalej, nie zmieniając zamyślonego wyrazu twarzy.

- Chłopak z małego miasteczka nosi na sobie znamię prowincjonalności. Jest napiętnowany. Dużo czasu minęło, zanim zmieniłem osobowość.

Nicole spojrzała na zegarek.

- Gdzieś się śpieszysz, czy cię nudzę?

- Nie, nie, po prostu zastanawiam się, jak Reed i Ash dają sobie radę z tymi czterema strasznymi facetami.

Max spojrział na nią z niedowierzaniem.

- Chyba nie zostawiłaś tych dzieciaków sam na sam z tą bandą w górach?

- Jeszcze nie zwariowałam. Chłopcy mieli tylko sprowadzić ich trochę niżej nad rzekę, gdzie czeka ich przeprawa łodziami. Tam już ich przejmą nasi wytrawni przewodnicy, Joe i Bobby Carlson.

- A co z Larrym? Kiedy chcesz po niego wrócić?

- Larry bardzo zaprzyjaźnił się z JD. Nasz nadworny kucharz postanowił zabrać go na ryby w swoje ulubione miejsce. - Urwała na chwilę. - Dlaczego pytasz?

- Chciałem wiedzieć, jak długo możemy tu zostać. Mrugnęła do niego porozumiewawczo.

- Chcesz wiedzieć, ile jeszcze ryb masz szansę wyciągnąć z wody?

Zrobił skruszoną minę.

- Moja wina.

Uśmiechnęła się.

- Wystarczy mieć oczy szeroko otwarte, a nie pożałujesz.

- Nawet nie wiesz, co widzę, kiedy mam oczy szczelnie zamknięte. Też się nie skarżę.

Nicole wzruszyła ramionami.

- Nawet nie pytam, co wtedy widzisz. Nie jestem ciekawa.

- Szkoda. Mógłbym ci o tym długo opowiadać.

- Najwyraźniej masz chorą wyobraźnię.

Atmosfera uległa zmianie. Powstało między nimi lekkie napięcie. Byli zbyt rozleniwieni, żeby mu zapobiec, zresztą było bardzo przyjemne.

Nicole poczuła, że oczy same jej się zamykają. Nie miała siły walczyć z sennością. Po raz pierwszy od wielu miesięcy czuła się dobrze w towarzystwie mężczyzny.

- Pamiętaj, żeby schować jedzenie do samochodu
- powiedziała sennym głosem.

Nie usłyszała jego odpowiedzi.

Nie wiedziała, co ją obudziło.

Może cienie przygotowujące nadejście zachodu słońca, może lekki chłód zbliżającego się wieczoru? A może niepokój, który się pojawia wraz z jakąś pozornie niedostrzegalną zmianą...

Wyraźnie czuła obejmujące ją ramiona mężczyzny. Przez ułamek sekundy zastanawiała się, kto to może być. Sen natychmiast gdzieś ulotnił.

Szeroko otworzyła oczy. Max leżał obok i patrzył na nią takim wzrokiem, że nie mogła się powstrzymać i wybuchnęła śmiechem. Na twarzy wyraźnie miał napisane, o czym myśli.

- Uważasz, że moja sytuacja jest tak bardzo śmieszna?

Obudził się właśnie ze snu, w którym namiętnie kochał się z Sandrą, przermemającą się w jego ramionach w Nicole. Potem nagle zorientował się, że ma do czynienia z dwiema kobietami i zrozumiał, że musi sprostać ich wymaganiom. I już był gotów sprostać...

Nicole, chichocząc, ukryła twarz na jego ramieniu.

- Uważam, że twoja sytuacja jest niezwykle inte-

resująca. Czy zawsze budzisz się w stanie pełnej gotowości?

Zgrzytnął zębami.

- Nie, nie zawsze, odkąd wyszedłem z okresu dojrzewania.

Kiedy na nią patrzył, widział przed sobą Sandrę. Tak żywą jak nigdy. Delikatnie pocałował ją w usta. Nie chciał jej spłoszyć. Usta Nicole natychmiast otworzyły się pod jego dotknięciem, tak jakby tylko czekały, żeby odpowiedzieć na jego wezwanie. Dotknął ręką jej piersi.

Czuła, że porywają wir, któremu nie zamierza się opierać. Tak jakby od bardzo dawna czekała na tę chwilę. Czuła tylko usta Maxa i jego dłoń na swojej piersi. Wsunęła dłonie pod jego koszulę i zaczęła pieścić jego plecy. Skóra Maxa była gładka i gorąca. Silniej przyciągnęła go do siebie.

Max, zaskoczony zachowaniem Nicole, całym sobą poddał się jej aktywności. W burzy, która ich ogarniała, nie było miejsca na subtelności wstępnej gry.

Nie spostrzegła nawet, kiedy zdjął jej koszulkę i stanik; czuła tylko palący dotyk jego rąk i swoje bezgraniczne podniecenie. Całe jej ciało mówiło, że go pragnie. Rozpięła mu spodnie i nagle zatrzymała się. Oderwała usta od jego warg.

Zrozumiał, o co jej chodzi.

- Zastanawiasz się, co zrobić, żeby rozwiązać ten drobny problem?

- Właśnie, jeśli ty nic przy sobie nie masz...

- Przykro mi, ale nie. Może ty?

Pokręciła przecząco głową. Spojrzeli na swoje rozczarowane twarze i wybuchnęli śmiechem.

Max przekręcił się na plecy, zakrył oczy dłonią.

- To moja wina - powiedział, nie przestając się śmiać. - Mama zawsze mi mówiła, że trzeba być na wszystko przygotowanym, a może to nie mama, tylko zastępowy w harcerstwie... Nie pamiętam. Tak czy owak, nic z sobą nie wziąłem. Nie przypuszczałem, że kiedy się jedzie na męską wyprawę, trzeba wziąć prezerwatywy.

Zerknął na Nicole, żeby sprawdzić, czy się czasem nie obraziła. Leżała obok niego na plecach. Blask słońca igrał na jej obnażonym ciele. Była niezwykle piękna. Drobne, kształtne piersi, płaski brzuch, szczupłe biodra...

Tak właśnie wyglądała Sandra. Tylko że Sandra była samą delikatnością, a Nicole, nawet kiedy leżała, była stanowcza i pełna energii.

Jego sen o uwiedzeniu Sandry skończył się jawą, w której Nicole uwiodła jego. Wizja subtelnych zalotów skończyła się wybuchem niepohamowanej namiętności. Wszystko było inaczej. Nigdy nie przypuszczał, że w podobnej sytuacji można być tak szczerze rozbawionym.

Nicole nie ukrywała stanu, w jakim się znajduje. Poderwała się z trawy.

- Nie wiem, jak tobie, ale mnie się przyda teraz zimny przysnec.

Zrzuciła z siebie resztę rzeczy.

- Idziemy?

Nie czekając na powtórne zaproszenie, pobiegł za

nią w stronę rzeki. Pod stopami czuł miękką trawę, łagodny wietrzyk łagodził gorączkę ciała. Biegąca przed nim Nicole wyglądała jak leśna nimfa. Swoboda, z jaką przyznawała się do swych pragnień i brak skrępowania własną nagością fascynowały go.

Zatrzymała się nad brzegiem rzeki i odwróciła w jego stronę. Wydał jej się jeszcze bardziej podniecający niż przedtem. Szybko wskoczyła do rzeki. Już w wodzie poczuła jego ramiona na swoich udach. Był szybki, a do tego miał poczucie humoru. Nie każdy mężczyzna wycofałby się tak swobodnie, jak on przed chwilą. Przekreśliła się w jego ramionach, przylegając do niego całym ciałem.

- Mamy problem, i to duży - powiedziała.
- Doskonale pamiętam, Montana, ale jeśli nie przestaniesz tak się do mnie przytulać, to jeszcze go-tów jestem zapomnieć.

Objęła go za szyję i zaczęli płynąć, starając nie dotykać się ciałami. Głębiej woda była chłodniejsza. Nicole wzdrygnęła się. Spostrzegła wzrok, jakim Max spojrzał na jej twardniejące sutki. Wiedziała, jak to na niego działa.

Spojrzała na Maxa przekornie.

- Problem jest poważniejszy, niż przypuszczasz. W domu również nic nie mam.

Odchyliła głowę i roześmiała się głośno.

- Jeśli ty nic z sobą nie zabrałeś, to leżymy. Masz jakiś pomysł?

Nie mogła się powstrzymać; delikatnie pocałowała go w usta.

- Chciałabym się z tobą kochać. Mam na to straszną ochotę, bardzo cię pragnę. Chcę zobaczyć, jak to jest być z tobą.

Odrzuciła z czoła wilgotne włosy.

- Mamy straszny kłopot.

Max przełknął ślinę. Był tak podniecony, że z trudem wydobył z siebie głos.

- Kompletnie mnie zatkało. Potrafisz tak zrobić, że człowiek nie może złapać tchu, Montana.

Szybkim ruchem wciągnął ich oboje pod wodę. Kiedy się wynurzyli, spojrzała na niego śmiejącymi się oczami. Widać było, że nurkowanie niewiele pomogło.

- Chyba będziemy musieli wziąć sprawę w swoje ręce, i to dosłownie.

Podpłynął z nią do sterczącej z wody skały i oparł na niej nogę.

- Rób to samo, co ja - szepnął jej we włosy.

Przesunął dłoń w dół po jej brzuchu. Objęła go mocno i zrobiła to samo. Potem ich usta spotkały się.

Zaspokojenie przyszło błyskawicznie. Jeszcze silniej przywarła ustami do jego warg, ich ciała wyprężyły się, a potem oboje zsunęli się do wody.

Max opanował się pierwszy i spojrzał na twarz Nicole. Roześmiał się.

- A to niespodzianka.

- Cudowna.

Przeciagnęła się w wodzie kocim ruchem.

- Chyba rozumiesz, że to była tylko zakąska i z niecierpliwością czekam na danie główne - powiedziała z szelmowskim uśmiechem.

- Wiem, wiem.

Powoli, objęci, podpłynęli do brzegu.

Doskonale wiedział, że tej nocy musi się z nią kochać; nie zmruży oka pod tym samym dachem, znając drogę do jej sypialni.

- Zdaje się, że znalazłem rozwiązanie. Któryś z tych facetów musi coś z sobą mieć. Na przykład Hal. Ktoś taki jak on nie rusza się z domu bez prezerwatywy. Trzeba będzie do niego zajrzeć.

- Włamiesz się do cudzego pokoju, naprawdę? Zrobisz to dla mnie? - zapytała niewinnym głosem.

Dopiero po chwili zrozumiał, że się z nim przekomarza.

- Zrobię dla ciebie wszystko, Nicole. Dla ciebie jestem gotów nawet zabić.

8

Burza hormonów; zupełnie jak u nastolatka. Max rozmawiał, dowcipkował i udawał zainteresowanie opowieściami przy stole, myślami przebywając zupełnie gdzie indziej.

Nie mógł przestać myśleć o Nicole. To, że nie może się oderwać od obsesyjnej myśli, że tej nocy będą się kochać - bawiło go i przerażało. Nigdy nie przypuszczał, że seks może odgrywać w jego życiu tak wielką rolę.

Starał się być ostrożny: wiedział, że mężczyźni z daleka wyczuwają najłżejszą aluzję erotyczną. Każde spojrzenie, każdy gest może go zdradzić. Nie powinien pozwolić, żeby ktoś zauważył, co się dzieje między nim a Nicole. Gdyby ktoś z obecnych pozwolił sobie na najbardziej niewinny żart, chyba by go udusił.

Nie mógł i nie chciał stawiać Nicole w niezręcznej sytuacji.

Jemu samemu też nie było łatwo. Za każdym razem, kiedy na nią patrzył, czuł, że z jego ciałem dzieje się coś dziwnego. Oczekiwanie stawało się torturą. Po raz któryś ukradkiem spojrzął na zegarek.

Nicole nie starała się dociec, co Max czuje. Miała wystarczające kłopoty z samą sobą. Ponadto pełniła w chacie rolę gospodyni. Musiała z wdziękiem i zainteresowaniem wysłuchiwać nie kończących się opowieści o przeprawie przez rwącą rzekę. Dobrze chociaż, że goście byli zachwyceni i nie szczędzili pochwał pod adresem Reeda i Asha.

Jak zwykle wspaniała, kolacja przygotowana przez JD przebiegała przy wtórze głośnych rozmów i entuzjastycznych wykrzykników. Potem wszyscy przeszli na taras napić się kawy. Byli zbyt podekscytowani, żeby oglądać zachód słońca; Nicole jednym uchem słuchała relacji Hala, Prestona i George'a, po raz któryś próbujących jej przekazać swoje wrażenia z porannej przeprawy.

Zerknęła na Maxa; jego twarz skrywał cień i trudno było dostrzec jej wyraz, Nicole nie miała jednak wątpliwości, że Max tak samo niecierpliwie jak ona czeka na dokończenie tego, co zaczęli przed południem.

Wsparta o kolumnę udawała, że słucha Prestona, próbując ukryć znużenie i nudę. Po powrocie znad wodospadu nie miała okazji zamienić z Maxem słowa. Goście zaraz wrócili znad rzeki i trzeba było siadać do kolacji. Zauważyła tylko, że Max zjawił się przy stole nieco później niż inni. Ciekawe, czy się zdecydo-

wał na przeszukanie cudzych pokojów, ze specjalnym uwzględnieniem pokoju Hala, i jak się zakończył jego złodziejski wypad...

Max znowu spojrzął na zegarek i omal głośno nie jęknął. Strasznie wcześnie. Mógł tylko beczynn timer siedzieć i modlić się w duchu, żeby wreszcie sobie poszli. Czy oni nigdy nie skończą i nie pójda spać? Był mistrzem w skrywaniu uczuć; Douglas nazywał go nawet Kamienną Twarzą, ale teraz wolał siedzieć w półmroku. Nawet najbardziej nieuważny obserwator mógł się zorientować, jaka jest natura jego cierpienia. W świecie zwierząt jest lepiej, pomyślał melancholijnie. Samiec w razie potrzeby może sobie powyc, pomiauczeć, pobiegać w kółko albo nawet powalić łbem o drzewo, a człowiek...

Nie można powiedzieć, wpadł na całego. Nicole złapała go jak pstrąga. Szybko i pewnie. Do tego wcale nie ukrywała, o co jej chodzi. Nie udawała, że jest zaskoczona tym, co się stało. Nie utrzymywała, że to pierwszy raz wywozi kogoś z gości w swoje ulubione miejsce i kocha się z nim. Uświadomił sobie nagle, że Nicole nigdy nie udaje. Jest szczerą aż do bólu. Nie kłamie, nie kryje uczuć, nikogo nie zwodzi.

Jest zupełnie inna niż Sandra. Ta myśl pojawiła się tak nagle, że zastygł ze szklanką w dłoni. Może i lepiej... Ktoś tak wrażliwy i subtelny jak Sandra nigdy nie zaakceptowałby jego planu.

Postanowił o tym nie myśleć; porównywanie obu kobiet może go zaprowadzić za daleko.

- Hej, gdzie jesteś?!

Poczuł na ramieniu dłoń Nicole.

Rozejrzył się i z westchnieniem ulgi zauważył, że na tarasie nikogo już nie ma.

- Z tobą w łóżku. - Ściszył głos. - Gdzie oni się podziali?

- W końcu poszli spać. JD, Penny i chłopcy zrobili to samo. - Rozejrzała się z komicznym zdumieniem.

- Wygląda na to, że zostaliśmy tylko my.

Max spojrzął na zegarek i ziewnął teatralnie.

- Też się chyba położę.

- Ja też.

- Poczekam, aż wszyscy zasną i przyjdę do ciebie.

Skinęła głową.

- Powiedz tylko - powiedziała, tłumiac śmiech - jak ci się udała rewizja? Znalazłeś coś?

Uśmiechnął się szeroko jak kot z „Alicji w krainie czarów”.

- Pełen sukces. Kochany Hal, złoty chłopak, nie zawiodłem się na nim. Jest tylko małe „ale”.

Nicole pochyliła się tak, że musnęła włosami jego policzek.

- Nie chcę słyszeć o żadnym „ale”. Masz to czy nie masz?

- Mam.

Zrobił minę szpiega z sensacyjnego filmu.

- W takim razie o tej porze, co wiesz, w ustalonym miejscu. - Nicole przejęła jego styl.

- Masz na myśli swoją sypialnię?

- Tak jest. Do zobaczenia - odparła w tej samej konwencji.

Ruszyła w stronę drzwi, kołysząc biodrami. Powiódł za nią wzrokiem.

- O rany! Ale kobieta! - szepnął, ale tak, żeby go słyszała.

A potem dodał w duchu:

- Mam nadzieję, że sprostam jej wymaganiom.

Była to najdłuższa godzina w życiu Nicole.

Wykapała się, upudrowała, wyperfumowała i wystroїła. Kilka razy zmieniała uczesanie, aby w końcu po prostu potargać włosy palcami. Wypróbowała trzy różne kolory szminek, a potem wszystkie starła. Była tak zdenerwowana, jak nastolatka przed pierwszą randką. Co ma mu powiedzieć? O czym z nim rozmawiać?

Roześmiała się. Przecież nie będą tracić czasu na rozmowy! Po raz setny spojrzała na zegar nad kominkiem. Kiedy usłyszała ciche stukanie, rzuciła się ku drzwiom jak lwica. Max zjawił się o kwadrans za wcześnie. Z uśmiechem otworzyła mu drzwi.

Pod Maxem ugięły się nogi. Nicole w obszernej koszulce sportowej wyglądała przepięknie. Nawet w jedwabnej, wymyślnej koszuli nocnej nie wyglądałaby ponętniej.

- Dlaczego się śmiejesz?

Starannie zamknęła drzwi.

- Śmieję się z siebie. Najpierw pomyślałam, że przyszedłś piętnaście minut przed czasem, a potem uświadomiłam sobie, że czekam na ciebie od pół godziny.

Pocałował ją w kark. Pachniała cudownie,

- To bardzo miło.

Nie wypuszczając Nicole z objęć, sięgnął do kieszeni koszuli.

- Mam wiadomości dobre i złe.

Wyjął celofanowe opakowanie.

- Jest, ale tylko jedna. Więcej nie było.

- W takim razie musimy ją dobrze wykorzystać.

Nie chcę przez cały jutrzejszy dzień męczyć się tak jak dzisiaj wieczorem.

Przytuliła się do niego całym ciałem i dotknęła ustami jego warg. Oparła dłonie na jego biodrach i przyciągnęła go do siebie.

Jej ręce były zręczne i pewne. Po chwili spodnie i koszula Maxa znalazły się na ziemi.

Pragnął całować całe jej ciało, ale nie mógł odebrać ust od jej warg. Czuł się, jakby czerpał z nich życiodajny napój. Nicole zarzuciła mu ręce na szyję, nogami objęła jego biodra. Nie przestając dziewczyny całować, zaniósł ją do sypialni. Na łóżku ściągnął jej przez głowę koszulkę i rzucił ją na podłogę.

- Chciałem się z tobą kochać przez całą noc, ale tak bardzo cię pragnę, że dłużej nie wytrzymam.

Zobaczył jej rozszerzone źrenice.

- Zbyt zaufaliśmy naszej silnej woli. Musisz to włożyć teraz, zaraz! Zrobiłabym to sama, ale jestem w takim stanie, że jeszcze mogłabym coś zepsuć, a to przecież jedyna, którą mamy.

- Tego bym ci nigdy nie darował!

W jego oczach widziała pożądanie, czuła jego silne ręce i gwałtowne bicie własnego serca. Nie minęło

kilka minut, gdy ich ciała wyprężyły się, wszystko dokoła zastygło, a potem rozjarzyło się nagłym, potężnym wybuchem.

Potem przez chwilę leżała nieruchomo, bezpieczna i szczęśliwa pod jego ciężarem. Czuła się lekka i szczęśliwa. Nigdy dotąd nie miała w sobie tyle spokoju i zadowolenia. Tak jakby rozświetliło ją jakieś wewnętrzne światło.

Od bardzo dawna, od czasu, kiedy została zraniona i zdradzona, Nicole nie zaznała podobnego uczucia. Nie była nawet pewna, czy znała je kiedykolwiek. Zamknęła oczy, żeby Max nie dostrzegł przepełniającej ją czułości.

Patrzył na Nicole. Była niezwykle piękna. Zapra-
gnął znowu się z nią kochać.

- Chyba straciliśmy całą naszą długą noc za jed-
nym strzałem.

- Ale co to był za strzał... - szepnęła z żartobli-
wym rozmarzeniem.

Leżał bez ruchu, próbując przedłużyć chwilę bło-
gostanu. Potem nagle zasnął. Nie wiedział, jak długo
spał.

Obudził się w jej ramionach.

- Przepraszam, zasnąłem...

Uprzedziła jego gest.

- Już to zrobiłam.

Max zmieszał się i zerknął pod prześcieradła. Nigdy
dotąd żadna kobieta nie robiła tego za niego, ale tym
razem wszystko było inaczej. Nie zwracając uwagi na
jego zażenowanie, Nicole ciągnęła rozbawionym tonem:

- Mój były mąż zawsze utrzymywał, że liczy się nie ilość, tylko jakość. Wiedział, co mówi. Ilość zawsze łatwiej sprawdzić!

Roześmiała się. Mogłaby przysiąc, że Max się zarumienił!

Położyła się na plecach.

- Nigdy nie przypuszczałam, że kiedy człowiek zrobi coś złego, to tak dobrze się czuje.

Od biedy można to było uznać za coś w rodzaju usprawiedliwienia. Uniosła się na łokciu i spojrzała na Maxa.

- Przejrzałeś tylko rzeczy Hala? Do innych nie zaglądałeś?

- Tak. Tak było logicznie. Clarence i George są szczęśliwymi mężami i na pewno nie wożą ze sobą prezerwatyw. To nie ten styl życia. Lany... Lany nie myśli o seksie, a Preston nie wygląda na kogoś, kto często obcuje z kobietami. Jedynie Hal zaprzęta sobie tym głowę. Nie przeglądałem wszystkich jego rzeczy. Zajrzałem do portfela, a kiedy tam nic nie znalazłem, zajrzałem do nesesera. Zdziwiło mnie jednak, że ma tylko jedną.

- Co w takim razie proponujesz na resztę wieczoru? Może obejrzymy jakiś stary film?

Max zamknął oczy i pokręcił głową.

- Nie będę mógł się skoncentrować, jesteś za blisko. Może byśmy tak na przykład porozmawiali?

- O czym?

- O mnie, o tobie. Chciałbym się czegoś o tobie dowiedzieć.

- Po co? Niedługo wyjedziesz i twój pobyt tutaj będzie tylko wspomnieniem.

- Może tak, a może nie. Powiedz mi, Nicky, ile lat temu się rozwiodłaś?

Sprawiło jej przyjemność, że nazwał ją Nicky, a nie Nicole. Tak było mniej oficjalnie.

- Prawie dwa lata temu. Dlaczego pytasz?

- Nie zmieniaj tematu. Brnij dalej, może ci to pomoże. Ciekawi mnie twoje życie. Wydajesz się taka oderwana od wszystkiego.

- Od czego?

Położyła się na boku i podparła ręką.

- Masz na myśli mężczyzn? Rzeczywiście, ostatnio jakoś mało mnie interesują. Ale jeśli sądzisz, iż brak mi możliwości tylko dlatego, że żyję na ranczo, i to w Montanie, to grubo się mylisz.

- Wolnego, nie o to mi chodzi. Myślałem o oderwaniu innego rodzaju... Zachowujesz się tak, jakby od wszystkich oddzielała cię niewidzialna zasłona. Nie potrafisz ci tego wyjaśnić.

- Nie od wszystkich, dzięki Bogu.

- Masz na myśli tamtego faceta, który wtedy na ranczo próbował się z tobą umówić. Tego Sama?

Nicole parsknęła śmiechem.

- Jestem dla niego miła, nic więcej, ponieważ jest dyrektorem szkoły, w której pracuję i w której chcę zostać na stałe. Jego głos bardzo się liczy, co nie znaczy, że może o wszystkim decydować. Jest jeszcze Rada, rozmawiałam już ze wszystkimi jej członkami.

- I wszystkich przekabaciłaś.

- Dziękuję za komplement.

Max objął ją mocniej i przytulił do siebie. Pragnął zasnąć i obudzić się przy niej, lecz wiedział, że to niemożliwe. Niedługo będzie musiał wrócić do swojego pokoju. Nie wolno mu kompromitować Nicole.

- A ty? - zapytała Nicole, układając się wygodnie w jego ramionach. - Na razie wiem tylko, że mieszkasz w Nowym Jorku i razem z przyjacielem prowadzisz agencję detektywistyczną.

- Co jeszcze chcesz wiedzieć?

- Jak to co? Wszystko. Kto teraz jest małomówny, no, kto?

W świetle księżycy wyglądała jak srebrny posąg. Tak bardzo chciał znowu się z nią kochać...

- Ja też jestem rozwiedziony.

Zawahała się, a po chwili spytała, przybierając żartobliwy, inkwizytorski, surowy ton.

- Dalej, proszę. Jak długo byłeś żonaty? Dlaczego twoje małżeństwo się rozpadło? Strasznie trudno coś z ciebie wyciągnąć, panie Nowy Jork.

Dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, jak niechętnie mówi o sobie. Nie jest do tego przyzwyczajony. Zwykle to on zadawał pytania.

- Rozwiodłem się po dwóch latach małżeństwa. Od pięciu lat jestem sam.

- Ku swojej wielkiej radości, sądząc z tonu.

- Sam nie wiem. Do niedawna chyba tak myślałem. Gdyby moja żona była inna, wszystko byłoby inaczej, ale tak... Do niedawna byłem zagorzałym przeciwnikiem wszelkich trwałych związków.

Pogładziła go delikatnie.

- Do niedawna? Coś się wydarzyło?

W porę ugryzł się w język, żeby nie wspomnieć o Sandrze.

- Doszedłem do wniosku, że takie życie jak moje nie ma sensu. Nie ma na co czekać. Samo nic się nie stanie. Jeśli człowiek nie poszuka własnego szczęścia, to ono samo nie przyjdzie. Tylko traci się czas.

Uśmiechnął się smutno.

- Robię się nudny, przepraszam.

Nicole milczała. Nie mogła mu powiedzieć, że często myśli tak samo. Może nieco inaczej to formułuje, ale sens jest identyczny.

- Dlaczego przyjechałeś do Montany?

- Chciałem się oderwać od codzienności.

- Dość drogi kaprys.

Max wzruszył ramionami. Widać było, że pieniądze nie stanowią dla niego problemu. Było w tym coś przygnębiającego i zrobiło jej się go żal. Człowiek bez pragnień i bez potrzeb. Smutny bilans w przypadku kogoś, kto ma dopiero trzydzieści dwa lata.

- Przecież pracujesz z jakimiś ludźmi. Masz pracowników, kolegów... Spotykasz się z kimś.

Uniósł się i spojrzał na nią.

- Jestem zmęczony życiem. Jestem znużony samotnością i beznadzieją.

- Może to kryzys wieku średniego?

- Dosyć wcześnie... ale może.

Pocałował ją w policzek, a potem w usta, i usiadł

na łóżku. Siedział przez chwilę z zamkniętymi oczami, jakby zbierając siły.

- Muszę iść. Nie mogę z tobą zostać. Znowu zaczniemy się kochać, więc lepiej wrócę do siebie.

Nicole również usiadła. Uśmiechnęła się, widząc, jakim spojrzeniem obrzucił jej ciało.

- Przecież to ostatni raz - rzekła spokojnym głosem. - Jeszcze tylko jeden dzień i wracamy na ranczo.

Spojrzała na zegar. Było po pierwszej.

- Jeden cały dzień i czeka nas powrót do domu. Ty wrócisz do swojego życia, a ja do swojego.

Max wstał i zaczął się ubierać.

- Nigdy nic nie wiadomo, Nicky, nigdy nic nie wiadomo. Różne rzeczy się zdarzają.

- Co masz na myśli?

Podał jej szlafrok, jedną ręką zasłaniając sobie oczy.

- Zrzucić to. Jestem tylko słabym człowiekiem, nie kuś mnie.

Pochylił się, szybko ją pocałował, odwrócił się i wyszedł.

Drzwi zamknęły się cicho. Usiadła na łóżku. Co on chciał powiedzieć? Chyba nie myśli, że...

Cięzka, poranna mgła zasnuła rzekę niemal całkowicie, ukrywając ją przed ludzkim wzrokiem. Wyglądało to pięknie i tajemniczo, ale wędkarzom brak widoczności nie wróżył nic dobrego. Stali na tarasie, pijąc kawę i niespokojnie wypatrywali oznak poprawy pogody. Jeep załadowany sprzętem

stał przed domem. Nadszedł ostatni dzień pobytu w górach i wszyscy jak najszybciej pragnęli wyruszyć nad rzekę.

Wszyscy prócz Maxa. Stał odwrócony tyłem do rzeki i wszystkich wspaniałości przyrody i wpatrywał się w Nicole.

Ranek był chłodny i Nicole miała na sobie obcisłe dzinsy i flanelową koszulę w żółto-białą kratę. Nie był pewien, czy panuje nad sobą do tego stopnia, by ukryć wrażenie, jakie na nim robi. Nie był w stanie oderwać oczu od jej smukłej sylwetki, krążącej od jednego uczestnika wyprawy do drugiego.

Wreszcie podeszła do niego.

- Wiatr zaraz rozpędzi mgłę i będziemy mogli wyruszyć.

- Dzięki, Montana. Ile razy już to powtarzałaś dziś rano?

- Pięć, z tobą sześć. Ale to prawda.

Wyglądała tak ślicznie, że nie mógł wykrztusić słowa. Mógł tylko patrzeć na Nicole i pożerać ją wzrokiem. Już miała odejść, kiedy odzyskał mowę.

- Może byśmy dzisiaj powędkowali trochę razem? Rozstawisz ich wszystkich i gdzieś pojedziemy.

- Dobrze. Poproszę JD, żeby dał ci coś specjalnego na lunch.

- Jesteś cudowna.

Odeszła szybkim krokiem, unosząc z sobą jego spojrzenie. Sposób, w jaki na nią patrzył, rozbierając wzrokiem i pieszcząc każdy szczegół jej ciała, wyprowadzał ją z równowagi.

Odetchnęła głęboko i weszła do kuchni. JD spojrział na nią podejrzliwie.

- Po co przyszłaś? Wyglądasz jakoś dziwnie. Masz wypieki.

- Wszystko w porządku, JD.

Penny wzrokiem nakazała mu milczenie.

- A ty co się tak patrzysz, kobieto?

- Są gdzieś jeszcze te świeże truskawki? - spytała Nicole niecierpliwie.

JD i Penny przerwali kuchenne zajęcia i oboje na nią spojrzeli.

- Może i są - odparł JD. - Dlaczego pytasz?

Bardzo ich lubiła i wiedziała, że umierają z ciekawości, żeby się dowiedzieć, co zaszło między nią a Maxem, ale nie zamierzała z nikim o tym rozmawiać.

- Pytam, bo chcę je wziąć.

- Nie mów do mnie takim stanowczym tonem - zaprotestował JD gderliwie, po czym otworzył lodówkę i wyjął z niej owoce.

- A ty za dużo się mądrzysz - zganiła go Henny-Penny.

Zgrabnie przełożyła truskawki do plastikowego pojemnika i schowała do lodówki turystycznej.

- Już jesteś tak stary, że nie pamiętasz, co się z człowiekiem dzieje, kiedy jest zakochany?

- Wcale nie jestem zakochana - słabo zaprzeczyła Nicole.

JD spojrział na nią z aprobatą.

- Dobrze mówisz, tak trzymać.

Pocałował Henny-Penny w policzek.

- Moja stara zawsze coś wymyśli, zobaczy coś, usłyszysz i już wszystko wie najlepiej. Takie tam sobie gadanie.

Nicole złapała pojemnik z truskawkami, wykręciła się na pięcie i już miała wypaść z kuchni, kiedy JD ją zatrzymał.

- Uważaj, pogadam o tym z twoim tatą.

Spostrzegła w jego oczach iskierki rozbawienia.

- Doskonały pomysł, JD.

Parsknął śmiechem i zaraz spoważniał.

- Jest jeszcze coś. Myśleliśmy dużo o Lanym. Poprosiłem go, żeby został tu z nami jeszcze na parę dni, jako nasz gość. Charlie się zgodził, Larry zamieszka u nas w domu. Co ty na to?

Wiedziała, że od kilku dni łowili razem i doskonale się ze sobą zgadzali.

- Świetny pomysł. Wiesz, że on jest bardzo chory, prawda?

- Powiedział nam.

JD nie patrzył Nicole w oczy. Miał bardzo dobre serce, ale lubił uchodzić za twardziela.

- Pomyśleliśmy sobie z Henny-Penny, że kilka dodatkowych dni tutaj dobrze mu zrobi. Moja kuchnia i towarzystwo na pewno mu nie zaszkodzą.

- Zgoda.

Szybko pocałowała go w policzek.

- Lecę. Do zobaczenia, w razie czego zadzwoń.

- Uważaj na siebie, dziecinko.

W jego głosie było coś, co ją zatrzymało. Spojrzała na niego, potem na Penny.

- Wiesz coś, o czym powinnam także wiedzieć?
Penny nie dopuściła męża do głosu.
- Po prostu pamiętaj, że on jutro wyjeżdża.
- Bardzo was kocham, ale niepotrzebnie się tak o mnie martwicie. Już nigdy nie dam się skrzywdzić, przyrzekam.

scandalous

9

Kiedy zostawili Hala i Prestona nad rzeką, a potem zawieźli Clarence'a i George'a na ich ulubione miejsce, Max uniósł się na tylnym siedzeniu i pocałował ją w kark. Nicole zawsze sądziła, że zna ten teren tak dobrze, że może prowadzić z zamkniętymi oczami, ale tym razem wołała zahamować.

Kiedy zatrzymała samochód, Max nie poruszył się.

- Nie spałem dobrze tej nocy - powiedział i uśmiechnął się do siebie.

- A ja spałam znakomicie! - oznajmiła, nie odwracając głowy.

- Kłamiesz.

- Niech ci będzie - zgodziła się łaskawie. - Trochę męczył mnie kaszel.

Czuła na sobie spojrzenie jego niebieskich oczu

i wiedziała, co się w nich kryje. Odwróciła się w jego stronę.

- Chcesz jechać łowić ryby przy wodospadzie czy masz ochotę zobaczyć coś innego?

- Mam ogromną ochotę na coś innego. Potrzebne mi nowe podniety.

Nie dociekając, co dokładnie ma na myśli, włączyła silnik.

- Jedziemy, ale nie patrz tak na mnie, Max.

- Dlaczego? Wyobraźnia to lepsze niż nic.

Przez chwilę jechali w milczeniu. Ścieżka prowadziła ostro pod górę, jeep mozolnie piął się wśród gęstych krzewów. Wreszcie wyjechał na niewielką polankę.

- W tym miejscu rzeka zbiera topniejące śniegi. Jesteśmy bardzo wysoko.

Nicole wysiadła z samochodu, zabierając z sobą turystyczną lodówkę.

- Bardzo dawno tu nie byłam. Mam nadzieję... Chodź, nie bój się, drzewa cię nie zjedzą.

Myślał właśnie o tym, że to doskonałe miejsce, żeby się kochać. Ciche, odosobnione, bezpieczne... Jego wyobraźnia od pewnego czasu podsuwała mu stale te same obrazy.

- Dokąd mnie ciagniesz, Montana?

- Idź za mną i niczego się nie bój.

Wiodła go za sobą w góry ku małej przecince w głębi lasu. Postanowił o nic nie pytać; stapał ostrożnie, starając się iść dokładnie po jej śladach.

W pewnej chwili odwróciła się i bez słowa wzięła

go za rękę. Za ostrym, skalnym zakrętem zobaczył łąkę wielkości tenisowego kortu. Wysoka, soczysta trawa i polne, różnokolorowe kwiaty - zupełnie jak na obrazie Moneta. Strużki wody ściekające po skałach tworzyły pośrodku łąki mały staw o krystalicznie czystej wodzie. Powietrze było tu znacznie chłodniejsze niż w okolicy chaty.

Wyżej, w górach, widniały łąchy śniegu.

- Jak długo leży tu śnieg?

Nie odpowiedziała. Przysiadła na brzegu jeziora, ściągnęła buty i skarpetki, podwinęła nogawki spodni.

- Chodź, panie Nowy Jork. Zobaczymy, czy się wykąpiesz w górskim stawie.

Usiadł obok niej i wzdrygnął się:

- Woda pewnie jest lodowata. Nie planowałem dzisiaj pobytu w lodówce!

- Tchórz z ciebie!

Położyła się na plecach, z rękami pod głową. Jedną stopę wsunęła do wody.

- Nie przypuszczałam, że taki jesteś.

- Nie pozwolę narażać na szwank mojego honoru. Jestem mężczyzną w każdym calu.

Z determinacją zdjął buty i skarpetki, podwinął nogawki spodni, zacisnął zęby i wsunął nogę do wody-

- Nikomu nie pozwolę...

Przerwał. Woda była przyjemnie ciepła.

- Nic nie rozumiem. Przecież jesteśmy wyso-ko w górach, tam leży śnieg. Myślałem, że będzie lodowata.

- Ja też tego nie rozumiem. Kiedyś mieliśmy

wśród gości geologa i opowiedziałam mu o tym miejscu. Powiedział, że to musi być ciepłe źródło. Wspominał coś o termicznym ciepłe skał czy czymś takim, dokładnie nie wiem. Mówił, że to są wybryki natury. Niczego właściwie nie wyjaśnił. Postanowiłam traktować to jako podarunek od „góry Dawsona”.

Przeciągnęła się w słońcu, zamknęła oczy i odprężyła.

- Nigdzie nie odpoczywam tak jak tutaj. Zawsze, kiedy jestem zdenerwowana albo mam jakiś kłopot, przychodzę tutaj.

- Byłaś tu kiedyś w zimie?

- W zimie nikt tu nie dotrze, wszystko zawiane.

W jej wzroku dostrzegł bezmiar pogardy dla kogoś, kto nie ma pojęcia o górach Montany.

- Nieraz nawet na ranczu nie można wyjść z domu. Do chaty wcale nie można dojść. W zimie talca wspinaczka byłaby samobójstwem.

Pokręciła głową i znowu pograżyła się we własnych myślach. Max nie dał za wygraną.

- Ale ty tu byłaś w zimie, prawda?

Ciekawe, jak to odgadł. Nieźle ją zna.

- Tak. Bardzo dawno temu. Tamtego roku pogoda była inna niż zwykle, zupełnie jakby nagle nadeszła wiosna. Cała łąka była pokryta śniegiem, ale świeciło słońce. To było niesamowite. Potem rozszalała się burza śnieżna.

Nie wspomniała, że Charlie próbował ją odwieść od zimowej wyprawy w góry, ale ona i tak postawiła

na swoim. Poszła i o mało nie została w górach na zawsze.

- Nigdy tak się nie bałam jak wtedy.

- Lubisz ryzyko. Pewnego dnia znowu zrobisz coś takiego.

Bardzo dobrze. Nicole umie stawić czoło niebezpieczeństwu. Lubi ryzyko i potrafi zachować się właściwie w każdej sytuacji. Właśnie kogoś takiego mu trzeba.

Otworzyła lodówkę i wyjęła pojemnik ze świeżymi truskawkami.

- JD zwykle dodaje do nich trochę koniaku, cukru pudru i czekolady.

- A ty wolisz takie jak te. Ja też.

Starannie wybrała jedną z truskawek.

- Chciałam wziąć butelkę szampana, ale wiem, że za tym nie przepadasz.

Włożyła owoc do ust, przymknęła oczy.

Max sięgnął do pojemnika. Jest bardzo spostrzegawcza, to dobrze. Jego plan ma coraz większe szanse powodzenia. Im bardziej Nicole różni się od Sandry, tym lepiej.

- Jesteś strasznie zamyślony - usłyszał.

- Rozmarzyłem się. To ta sceneria, ciepła woda, słońce, świeże truskawki, ty obok mnie. Zmagam się z pokusą.

- Tylko o tym myślałeś?

Oblizła palce.

- Kiedy jestem przy tobie... Nie rób tego, mogę przecież sam.

Zlizał sok z jej palców.

Nicole przymknęła oczy.

- Lepiej przestań. Zaczynasz robić coś, Czego nie będziesz mógł dokończyć.

Pocałował wewnątrz jej dłoni.

- Potraktuj to jak wyzwanie, zaproszenie do poszukiwania nowych dróg...

Przerwał im huk wystrzału.

Nicole zerwała się, zanim Max zdołał uczynić najmniejszy ruch.

- Ktoś strzela.

Stał już obok niej.

- Strzelił dwa razy.

- Trzy. Dwa strzały padły równocześnie. Chodź.

Błyskawicznie włożyła buty i pobiegła do jeepa.

- To niedaleko stąd. Chyba wiem gdzie.

- Nicole...

Max niezgrabnie zaczął zbierać rozrzucone skarpetki.

- Poczekaj...

Była już przy samochodzie, gdy dobiegł do niej.

- Co zamierzasz zrobić?

Z tyłu samochodu wyciągnęła strzelbę i naładowała ją, po czym sięgnęła po telefon komórkowy i spojrzała na Maxa.

- W górach nie wolno polować. Wszyscy o tym wiedzą.

- To mogą być kłusownicy, bardzo niebezpieczni.

- Masz niewątpliwie rację.

Niezupełnie zrozumiał, lecz odetchnął z ulgą.

- Zaczekaj przy samochodzie, a ja zobaczę, co tam się dzieje.

Nicole mocniej ujęła strzelbę.

- Co takiego?

- Wezmę walkie-talkie i powiem ci, co tam słyszeć.

Chwycił ją za ramię.

- Czekaj! Nigdzie sama nie pójdziesz!

Spojrzała na niego z politowaniem.

- Nie przypuszczałam, że należysz do tych, co stale muszą się sprawdzać. Jak już koniecznie chcesz, możesz wziąć to.

Wyjęła z samochodu potężne magnum kaliber 9 milimetrów.

- Jest naładowany. Umiesz się z tym obchodzić?

- Jasne.

Miała sprzęt gotowy powalić niedźwiedzia. Max dawno nie trzymał w ręku broni podobnego kalibru. Nie miał wątpliwości, że Nicole poradziłaby sobie z magnum nie gorzej od niego.

- Nie przejmuj się - rzuciła. - Potrafię obronić nas oboje. Ty możesz się zjawić, jak będzie po wszystkim.

- Co? Ja...

Przerwał. Nie ma sensu dyskutować z kobietą, która trzyma w ręku strzelbę. Zwłaszcza jeśli tą kobietą jest Nicole.

Sprawdził, czy magnum jest naładowane, i ruszył za Nicole.

Wspinała się prędko i zręcznie jak łasica. Trzymając oburącz strzelbę, szybko przenosiła się z jednego

występu skalnego na drugi. Max robił wszystko, żeby dotrzeć jej kroku.

Kiedy wreszcie na chwilę przystanąła, obrzuciła go zdziwionym spojrzeniem, jakby myślała, że został daleko w tyle.

- Gdzie się nauczyłeś tak chodzić po górach, panie Nowy Jork?

Próbował oddychać regularnie, żeby nie spostrzegła, jak bardzo się zasapał.

- Byłem w marynarce.

Komizm odpowiedzi nie był zamierzony. O mało nie wybuchnął śmiechem na widok jej miny. Nie było czasu na dodatkowe wyjaśnienia.

- Muszą być gdzieś niedaleko. Wiem, gdzie padły strzały.

Już miała pomknąć dalej, kiedy Max chwycił ją za ramię.

- Nie sądzisz, że byłoby lepiej, gdybyśmy ich zaszli po kryjomu?

Spojrzała na niego z pogardą.

- Ja nigdy nie robię niczego „po kryjomu”, panie Nowy Jork - powiedziała wyniośle.

Jej zielone oczy gniewnie zabłyśły. Potem ogień zgasł.

- Posłuchaj, Max. Znam te góry jak nikt. Idź za mną, rób, co mówię i nie przeszkadzaj.

Nie był zachwycony. Wyraźnie dała mu do zrozumienia, że wątpi w jego przydatność. Schował dumę do kieszeni i poszedł za swoją przewodniczką, próbując naśladować jej lekki, ostrożny chód. Szła szybko

i pewnie, starając się nie nadebrać na żadną gałązkę, zgrabnie omijając śliskie kamienie.

W końcu jednak przystanęła i położyła palec na ustach. Widać było, że nadśłuchuje. Max wysilił słuch; poprzez szum lasu doszły go jakieś głosy. Męskie głosy.

Nabita broń i kłusownicy to nie jest najlepsze połączenie, pomyślał.

Nicole bezszelestnie zrobiła kilka kroków do przodu. Głosy stały się bardziej wyraźne. Mężczyzn było dwóch. Max szedł za Nicole nieodłączny jak cień. Widocznie wiedziała o tym, bo nawet się nie obejrzała. Tak jakby była pewna, że idzie za nią.

Rozsunęła gałęzie łufą strzelby. Pochyliła się.

- Jest ich dwóch - szepnęła. - Patrzą na coś, co leży na ziemi.

Max nie zdążył nic powiedzieć, nie zdążył jej ostrzec ani przeszkodzić. Uniosła broń, padły dwa błyskawiczne strzały.

- Odłóż broń! Już! Bo strzelam w nogi!

Jak na filmie zobaczył, że rzucają strzelby i unoszą ręce do góry.

Wszystko stało się w mgnieniu oka. Przerazenie, jakie go ogarnęło w chwili strzału, natychmiast ustąpiło, kiedy spostrzegł, że Nicole celowała w ziemię.

Podeszli do kłusowników.

Nicole obrzuciła ich złym wzrokiem, a potem spojrzała na martwego, szarego wilka leżącego u ich stóp.

- Ach, to wy. Znam was.

Widać było, że z trudem hamuje wściekłość.

- Wiem, skąd jesteście. Od pewnego czasu włóczyście się tam, gdzie nie wolno.

Max spostrzegł, że mimo zarośniętych twarzy i brudnych kurtek, obaj mężczyźni buty i strzelby mają w doskonałym gatunku.

- Nie wiem, o czym pani mówi - odezwał się jeden z nich. - Szukaliśmy zagubionej sztuki bydła. Myśleliśmy, że to pies. - Wskazał martwego wilka.

Nicole uniosła strzelbę.

- Nie gadaj tyle, ręce wysoko nad głową.

: - Niech pani posłucha - przemówił młodszy z mężczyzn. - Nic się nie stało, pomyliliśmy się. Przecież to tylko wilk.

Lufa strzelby drgnęła nagle i kłusownik zamarł w bezruchu.

- Tylko wilk! - powtórzyła Nicole przez zaciśnięte zęby. - Zabiliście, łobuzy, zwierzę pod ścisłą ochroną. Dostaniecie za to co najmniej pół roku więzienia. I nie zawracajcie mi głowy jakimś bydłem, którego podobno szukaliście w górach. Nie jesteście u siebie. Jesteście na moim terenie. Szeryf od kilku tygodni poszukuje was, bo już kiedyś wtargnęliście na prywatny teren Dawsona.

Jej głos był pełen nienawiści. Nie opuszczając strzelby, sięgnęła do kieszeni po telefon komórkowy.

- Jeff, tu Nicky, przyjeżdżaj zaraz. Złapałam dwóch facetów od Bedforda obok ciepłego źródła. Zabili szarego wilka.

Przez chwilę słuchała, nie spuszczając kłusowników z oka.

Usłyszawszy nazwisko Bedforda, Max omal nie podskoczył. Przez ułamek sekundy myślał, że to oznacza koniec wszystkich jego planów, ale szybko się opanował: przecież nikt w Montanie nie wie, że obaj z Douglasem pracują dla Bedforda.

Nicole schowała telefon do kieszeni. Wyglądała na zadowoloną z siebie. Max odetchnął z ulgą.

- O co tu chodzi? - zapytał. - Znasz tych facetów? Kto to jest Bedford?

- Leżycie, chłopaki. - Nicole powiedziała to takim tonem, że Max się uśmiechnął. - Szeryf będzie tu za piętnaście minut.

Spojrzała na wilka i ze smutkiem pokręciła głową.

- Ci dwaj - wyjaśniła Maxowi - pracują dla Bedforda. To taki tutejszy potentat. Bedford myśli, że jak ma władzę i pieniądze, to może wszystko kupić. Według niego to tylko kwestia ceny. Chce kupić nas^e rancho i górę, zupełnie jakby osiem tysięcy hektarów ziemi, które posiada, mu nie wystarczało.

- Jak rozumiem, ty i Charlie nie chcecie mu sprzedać ranca i góry?

- Zgadłeś. Bedford, kiedy nie może czegoś zdobyć, zaczyna grać nieuczciwie. Tak robi i tym razem. Ostatnio zdarzają się u nas dziwne rzeczy. Już raz przyłapałam tych dwóch drani na naszym terenie.

- Zabłądziliśmy...

- Zamknij się - rzucił Max w stronę kłusownika.
- Mów dalej, Nicky.

- Przyłapałam ich na gorącym uczynku i wezwałam szeryfa.

- W jaki sposób on się tutaj dostanie w ciągu piętnastu minut?

- Przyleci helikopterem Bartleta.

Ani na chwilę nie spuszczała bandziorów z oka.

- Jeff aresztował ich wtedy za wtargnięcie na teren prywatny, ale Bedford przy pomocy swoich prawników wyciągnął ich z więzienia w ciągu godziny. Potem, jakieś trzy tygodnie temu, nasze bydło zaczęło chorować. Znaleźliśmy coś w paszy, a za naszym ogrodzeniem były ślady prowadzące na teren Bedforda. Potem Bedford wynajął kilku facetów, żeby zagrali z tatą w pokera i ograli go, i inne takie numery.

Nie powiedziała, ile przy tej okazji Charlie przegrał. Sama nie wiedziała i wolała tego nie wiedzieć. Na samą myśl o tym robiło jej się słabo. Wiedziała, że ojciec starał się wszystko przed nią ukryć, a była zbyt przerażona, żeby go pytać wprost.

- Bedford to skończony łajdak. Nienawidzę go.

Młodszy z kłusowników chrząknął.

- Panno Dawson - powiedział. - Pan Bedford mówi, że...

- Zamknij się, Andy - powstrzymał go starszy.

Max znacząco spojrział na Nicole.

- Oni chyba myślą, że Bedford jest wszechmocny. Muszę was zmartwić, chłopcy, prawo jest nieubłagane dla tych, co zabijają zwierzęta będące pod ochroną. Ostatnio wiele się zmieniło, przepisy się zaostrzyły. Mógłbym się założyć - mrugnął w stronę Nicole - że dostaniecie najmarniej jakiś rok więzienia. Oczywiście, możecie liczyć na łagodniejszy wyrok, jeśli po-

wiecie, że ktoś was do tego namówił albo zmusił. Sądzę zwykle bierze pod uwagę takie okoliczności.

Nicole przygryzła wargi, żeby się nie roześmiać. Doskonały pomysł, może ich to zmusi do sypnięcia Bedforda. Spojrzała na Maxa z wdzięcznością i uniosła głowę, słysząc dźwięk nadlatującego helikoptera,

Wielka, biała maszyna ozdobiona literą „B” podeszła do lądowania. Oczekali chwilę, aż nagły powiew ustanie. Z helikoptera wysiadł mężczyzna rozmiarów sporego niedźwiedzia. W jego ruchach również było coś z ruchów wielkiego zwierzęcia. Nie miał przy sobie broni. Nie miał munduru. Ubrany był w dżinsy i płócienną koszulę. Jedyne srebrna gwiazda na jego koszuli świadczyła o tym, że jest przedstawicielem prawa. Jeff Hall w niczym nie przypominał szeryfa z małego miasteczka. Nie potrzebował broni.

Kiedy podszedł bliżej, Max zauważył szramy na jego policzku. Ciekawe, kto się odważył go zaatakować. Sam wygląd szeryfa z Bartlet i spojrzenie jego ciemnych oczu wystarczyło, żeby lew wziął ogon pod siebie i uciekał, gdzie pieprz rośnie.

Nicole pocałowała olbrzyma w policzek i przedstawiła mu Maxa. Szeryf zmierzył go wzrokiem.

- To pański kolega włączy się ostatnio z Charliem po knajpach - stwierdził raczej, niż zapytał.

- Owszem, czy coś nabroił?

Jeff pochylił się nad martwym wilkiem, nawet nie spojrzawszy na kłusowników.

- Ma kłopoty, bo nie bardzo nadaża za Charliem. Charlie to twardy zawodnik, zawsze taki był. Pański

kolega jest trochę słabszy, ale i tak nieźle sobie daje radę.

- Czego można oczekiwać po człowieku, który ma trzy żony, a do tego mieszka w Nowym Jorku - powiedział z ubolewaniem Max.

Szeryf parsknął śmiechem. Podniósł oczy na stojących bez ruchu mężczyzn.

- Tym razem, chłopaki, wpadliście na dobre. Przeholowaliście. Nie będzie żadnej kaucji czy czego tam. Wasz szef i ci jego adwokaci mogą sobie schować do kieszeni swoje papiery. Sędzia Harrison jest aktywnym działaczem na rzecz ochrony środowiska, jeśli kapujecie, o czym mówię, a już najbardziej ma ochotę chronić nasze szare wilki. Opracował nawet specjalny program.

Zakuł ich w kajdanki i kopnięciem zmusił, żeby usiedli.

- Może chcecie coś powiedzieć?

Zapanowało milczenie. Szeryf zmarszczył brwi.

- Tak czy owak, macie przechlapane. Teraz wstawajcie i bierzcie tego wilka. Wrzućcie go do helikoptera i włączcie sami.

Podniósł z ziemi porzucone strzelby, jakby zbierał patyki.

- A ty co tu robisz, Nicky?

Spojrzał na Maxa, tak jak brat patrzy na chłopaka siostry. Groźnie i podejrzliwie.

- Chciałam pokazać Maxowi ciepłe źródło. A jak tam twoja żona i dzieciaki, Jeff?

- Jeri w porządku, ale dziewczynki mają świnkę.

Szeryf na chwilę zawahał się.

- Chcesz, żebym go zabrał z sobą?

Max nastroszył się, ale nie zareagował; nawet zmusił się do uśmiechu. Nie był zachwycony: nadopiektńczy szeryf wtykający nos w nie swoje sprawy nie był mu zbyt potrzebny. Zwłaszcza jeśli te sprawy dotyczą jego, Douglasa i Bedforda. Brakuje tylko, żeby Carl Bedford powiedział szeryfowi, który najwyraźniej jest serdecznie zaprzyjaźniony z Dawsonami, że pracują dla niego...

Nicole pokręciła głową.

- Możesz go zostawić. Pan z Nowego Jorku bardzo dobrze sobie radzi w górach.

- Jak na faceta z miasta - podsumował szeryf takim tonem, jakby jego zainteresowanie Maxem nagle zmałało.

- Właśnie.

Stali i patrzyli, jak szeryf ładuje się do helikoptera i zatrzaskuje drzwiczki. Zanim biała maszyna zniknęła za górami, ruszyli w powrotną drogę.

Schodzenie było łatwiejsze niż wspinaczka. Max szedł szybko, nie bacząc na to, gdzie stawia stopę, pograżony w niespokojnych myślach.

Sprawy mogą się skomplikować. Szeryf nie jest głupcem: natychmiast zauważył, że coś jest między nim a Nicole. Max wiedział z własnego doświadczenia, że dla detektywa nie ma nic gorszego niż przyjaciele i znajomi osoby, której dotyczy śledztwo. Z dobrej woli albo z głupoty wtrącają się do wszystkiego, niepotrzebnie utrudniając i tak już niełatwe sprawy.

Szeryf ma dostęp do informacji niedostępnych dla zwykłego śmiertelnika. Szybko może coś wywęszyć. Trzeba zaraz zadzwonić do Douglasa i uprzedzić go o niebezpieczeństwie. Dotąd był zbyt zainteresowany Nicole, żeby myśleć o przyjacielu. Natychmiast trzeba się z nim skontaktować.

Mimowolnie przyśpieszył kroku. Po kilku minutach byli już przy ciepłym źródle. Nicole nie napomknęła, że mogliby chwilę zostać; podobnie jak Max, jak naszybciej chciała dotrzeć do chaty i wszystko opowiedzieć Charliemu. Z ulgą zobaczył, że rozsypuje na trawie truskawki dla zwierząt i chowa rzeczy do jeepa.

- Nie masz nic przeciwko temu, że już wracamy na ranczo? Chciałabym wszystko opowiedzieć JD i zadzwonić do taty.

- Oczywiście. To zrozumiałe.

Mało brakowało, a odetchnąby z ulgą. Jemu też. Zależało na czasie. Nicole umieściła obie sztuki broni w samochodzie. Wsiedli.

- Od jak dawna ten łobuz Bedford was nęka? - zapytał Max, kiedy zapaliła silnik.

Wyjechali na drogę.

- Od zawsze, a tak naprawdę to od jakiegoś roku. Ostatnie sześć miesięcy były najgorsze.

Przez chwilę milczała, jakby się zastanawiała, czy może mu zaufać. W końcu się zdecydowała; przecież on nazajutrz wyjeżdża i nigdy więcej go nie zobaczy.

- Nie o wszystkim mówiłam tacie...

- Na przykład?

- Sam Wooten...-zaczęła.

- Ten dyrektor szkoły?

Chciałby kiedyś dorwać tego typu.

- Tak. Sam Wooten powiedział mi, że Bedford chce przeznaczyć sporą sumę na potrzeby szkoły; na książki i komputery.

- I stawia warunki - skrzywił się Max.

- Zwykle tak bywa. Chce wejść do Rady i z innymi jej członkami decydować o sprawach szkoły. Na szczęście, szkoła w Bartlet stale jeszcze należy do porządnych ludzi, którzy mieszkają tu od pokoleń, nie lubią obcych, nie potrzebują ich pieniędzy i sami o wszystkim decydują. Na przykład rodzice Asha i Reeda, Bartletowie.

Max zdążył się już zorientować w sytuacji finansowej rodziny Bartletów, widząc helikopter, którym przyleciał szeryf.

- Do nich należy helikopter Jeffa?

- Tak. Zresztą Jeff jest szwagrem Asha Bartleta, ojca małego Asha. Takie rodzinne historie. Sporo o tym usłyszysz w miasteczku. Jedno jest pewne, Jeff Hall i Bartletowie to tutaj władza i pieniądze.

- Pieniądze nieraz mogą skłócić ludzi... Zwłaszcza w przypadku takiej niewielkiej społeczności.

- Bartletowie są bogatsi od tego całego Bedforda, ale to są inne pieniądze, stare, dobre pieniądze wielkich posiadaczy ziemskich. To ludzie z Montany.

Max słuchał uważnie, mając wrażenie, że czegoś z Douglasem nie dopatrzyli. Zbyt łatwo i szybko przyjęli tę pracę. Nie zrobili żadnego wywiadu. Trzeba było

najpierw porozmawiać z ludźmi, rozejrzeć się i zorientować, co i jak. Pobyt Douglasa na rancho doprowadził go pewnie do tych samych wniosków.

Dotarli do chaty i skierowali się w stronę kuchennych drzwi. Max na chwilę przystanął.

- Powiedz mi, Nicky, skoro Bartlet tyle tu znaczy i tak bardzo się przyjaźnicie, dlaczego go nie poprosisz, żeby ci załatwił tę posadę w szkole?

Spojrzała na niego, jakby zwariował.

- Żeby mi załatwił posadę?! Nikt nigdy nie będzie mi niczego „załatwiał”! Przecież to... nieuczciwe!

Poczuł, że nogi się pod nim uginają. Słowa powiedziały mu więcej o jej charakterze niż tygodnie drobiazgowego śledztwa. Jak on wytłumaczy Nicole swoją rolę? Jak może przypuszczać, że ona zrozumie jego postępowanie?

10

Wkrótce po powrocie do chaty w drzwiach kuchennych natknęli się na JD. Miał minę człowieka, który od rana spodziewa się złych wiadomości. Rzut oka na twarz Nicole upewnił go, że ma rację.

- Mów, co się stało - mruknął.

W kuchni byli już Penny, Ash i Reed. Nicole usiadła za stołem, Max stanął za jej plecami. Wzięła chipsa z talerza Reeda i w skrócie opowiedziała im całą historię. Obaj chłopcy nie spuszczaali jej z oczu, chciwie chłonąc każdy szczegół opowieści.

- Mój tatuś też tam był? Z wujkiem Jeffem? Co oni robili? - zapytał podniecony Ash, podskakując na krześle.

Reed coś mu odpowiedział i mały się uspokoił.

Penny i JD zasypali Nicole gradem pytań. Max postanowił skorzystać z okazji i wycofać się do siebie, żeby zadzwonić do Douglasa. Dotknął ramienia Nicole.

- Mam coś do załatwienia. Zaraz wrócę.

Nawet na niego nie spojrzała; machnęła tylko ręką, pogrążona w rozmowie. Po jego wyjściu urwała nagle, wstała i odsunęła krzesło.

- Muszę zadzwonić do Charliego i wszystko mu opowiedzieć, zanim Jeff to zrobi. Tata musi wcześniej znać szczegóły.

Max zamknął drzwi do pokoju i wyjął z nocnego stolika telefon komórkowy. Wystukał numer Douglasa. Ku jego zdziwieniu, współnik zgłosił się natychmiast.

- Dlaczego do mnie nie dzwoniłeś, Doug?

Przyjaciel nie pozostał mu dłużny.

- A ty gdzie się podziewałeś?

- Cały czas byłem tutaj. A ty gdzie się włóczyłeś?

- Nie rób tego więcej, Max. Próbowiałem się do ciebie dodzwonić wczoraj w nocy i dziś przed południem. Nie odpowiadałeś.

Max uświadomił sobie, że wyłączył telefon.

- Przepraszam. Zaszły pewne komplikacje, Doug.

- U mnie też. Max, słuchaj, musisz wiedzieć, że Sandra też była adoptowanym dzieckiem.

- To nic nowego, żadna sensacja. Przecież przypuszczaliśmy, że tak właśnie jest.

Nie zwracał uwagi na słowa przyjaciela; był zbyt zaaferowany tym, co go spotkało w górach. Musi mu natychmiast powiedzieć, czego dowiedział się o Bed-

fordzie. Douglas jednak nie dopuścił go do głosu. On również miał mu coś ważnego do zakomunikowania. Max ledwo go słyszał, na linię wdarły się zakłócenia. W telefonie rozległ się jakiś szum, głos Douglasa znikł, a po chwili wypłynął znowu, stłumiony i niewyraźny.

- Helen powiedziała mi, że wcześniej nam o tym nie mówiła, bo zawsze uważała Sandrę za swoje własne dziecko. Kiedy zapytałem, czy Sandra miała siostrę, automatycznie zaprzeczyła. Wspomniałem jej o Nicole, o identycznej dacie urodzin, o tym, że też ma znanie, i tak dalej.

W telefonie coś zaskrzeczało.

- Słyszysz mnie, Max? Jesteś tam?

- Jestem. Ledwo cię słyszę, ale mów dalej.

- Helen była zszokowana. Zaczęła mnie wypytywać, chciała się wszystkiego dowiedzieć o Nicole. Potem nagle się uspokoiła i powiedziała, że skontaktuje się z prawnikiem, który dla nich przed laty załatwiał tę adopcję. To jakiś stary przyjaciel jej męża. Miała zaraz po tej rozmowie do mnie zadzwonić, ale...

Max przerwał mu.

- Bardzo dobrze, Doug. Gdyby zatelefonowała jeszcze dzisiaj, zaraz do mnie dzwoń. Zresztą już jutro spotkamy się na ranczu. Jest jeszcze coś, posłuchaj...

Opowiedział mu o spotkaniu z ludźmi Bedforda w górach.

- Mam pewien plan, ale on nigdy nie dojdzie do skutku, jeśli Dawsonowie dowiedzą się, że pracujemy dla Bedforda.

Douglas coś odpowiedział, ale szum i trzask w aparacie uniemożliwiły Maxowi zrozumienie.

- Doug, nic nie słyszę. Spotkamy się jutro w południe na ranczu. Wszystko ci opowiem.

Wyłączył telefon i schował go do torby. Uporządkował swoje rzeczy przed czekającą go nazajutrz podróżą.

Rozmowa z Dougiem bardzo mu pomogła. Znacznie się uspokoił, tak jakby część winy przerzucił na współnika. Nicole jest rozsądna i opanowana. Po powrocie na ranczo spokojnie wszystko jej wyjaśni, a ona na pewno go zrozumie. Douglas go poprze, poświadczy jego wersję wydarzeń. Kiedy Nicole dowie się o Sandrze i pozna jego plany, zaraz się do nich zapali i uzna, że to genialne. Na pewno mu pomoże.

Wyszedł z pokoju. Na schodach dobiegł go hałas gwałtownie zatrzasowanych drzwi. Grzmot echem rozniósł się po domu. Nie zwalniając kroku, Max wszedł do kuchni.

Powitało go milczenie. Rozmowy ucichły; poczuł utkwione w siebie cztery pary oczu. Gdyby wzrok mógł zabijać...

- Gdzie jest Nicky?

Cisza. JD odwrócił się plecami.

Reed i Ash spuścili oczy.

Odezwała się tylko Penny:

- Nicky wyszła, tu jej nie ma.

Kiedy ruszył ku drzwiom, zatrzymała go.

- Nie wiem, co zrobiłeś, młody człowieku, ale

Nicky jest na ciebie bardzo zła. Dobrze ci radzę, zejdź jej z oczu.

- Jest zła? Na mnie?

- Tak. Nic nie mówiła, ale nazwała cię pospolitym łajdakiem, i nie tylko.

- Nie mam pojęcia...

- To się dowiedz. - JD z tasakiem w rękę odwrócił się w jego stronę. -I wszystko wyjaśnij, bo nie pozwolimy skrzywdzić naszej Nicky.

Zrozumiał, że nie żartują, i poczuł się niewyraźnie.

- Naprawdę nie wiem, o co chodzi. Nic takiego nie zrobiłem. Przysięgam.

Odnalazł ją po piętnastu minutach.

Przedtem sprawdził biegiem parking, garaż, podwórze, zajrzał do stajni i na podjazd. W końcu zobaczył Nicky na tarasie; siedziała w wiklinowym fotelu na biegunach.

- Wszędzie cię szukam...

Szybko pokonał schody.

- JD powiedział mi, że...

Na widok telefonu komórkowego w jej ręce poczuł, że robi mu się słabo.

- Nicky...

Nawet nie spojrzała w jego stronę.

- Powiedz mi, Max, uwiodłeś mnie dla dobra sprawy, którą prowadzisz, tak?

- Posłuchaj, wiem, że to paskudnie wygląda, ale...

Zachował się jak idiota. On, profesjonalista, skompromitował się jak pierwszy lepszy nowicjusz. Przecież wie, że telefon komórkowy bardzo łatwo można

niechęący podsłuchać. Wystarczy próbować uzyskać połączenie w tym samym czasie. Będąc w mieście, zawsze o tym pamiętał. Teraz w górach wyleciało mu to z głowy. Nie pomyślał...

Zgubiła go lekkomyślność i nadmierny pośpiech.

Nicole zwróciła głowę w jego stronę; w jej oczach spostrzegł pogardę.

- Jeśli wymyśliliście sobie, że skandal obyczajowy zaszkodzi mnie i Charliemu, to muszę wam przypomnieć, że jestem dorosłą kobietą i mogę iść do łóżka, z kim chcę i kiedy chcę. Niepotrzebnie pytam, ale powiedz: pracujecie dla Bedforda, prawda?

- To nie jest tak, jak myślisz, to tylko tak wygląda. Uśmiechnęła się ironicznie.

- Zrobiłeś to z wyrachowania... Zauważyłeś, że mi się podobasz i postanowiłeś to wykorzystać.

- Nicole, przysięgam, ja nigdy...

Przerwała mu. Nie musiał nic mówić, jego słowa nie miały żadnego znaczenia.

- Zaplanowałeś sobie wszystko. Twój plan pokrzyżował fakt, że dowiedziałam się, że pracujesz dla Bedforda.

- Tak.

Podszedł do niej, ale błyskawicznie zerwała się z fotela. Max cofnął się w obawie, że ucieknie.

- Nie zbliżaj się do mnie.

Przystanął.

- Zamierzałem dla niego pracować, ale kiedy poznałem ciebie, zrozumiałem, że to niemożliwe.

Słyszał swoje słowa i wiedział, że nie są w stanie

przekonać Nicole. Bezradnie rozłożył ręce; teraz musi jej powiedzieć o Sandrze.

Nicole jednak nie dopuściła go do głosu.

- Nie wysilaj się. Teraz wszystko rozumiem. Jesteś naprawdę wspaniałą. Znałeś Bedforda, wszystko o nim wiedziałeś, dzisiaj sam mogłeś zobaczyć, do czego on i jego ludzie są zdolni, i nic. Stałeś tam i patrzyłeś jak... jak jakiś... A ja ciebie naprawdę polubiłam. Sama nie wiem dlaczego, ale nawet ci zaufałam, rozmawiałam z tobą jak z kimś bliskim. Jesteś człowiekiem bez skrupułów, jesteś...

Splunęła i odwróciła się.

Chwycił ją za ramię.

- Nie chciałem cię zranić. Posłuchaj mnie, między nami naprawdę coś było, Nicky.

Wyrwała się i spojrzała mu w oczy. Nie chciał nigdy zobaczyć takiego spojrzenia.

- Owszem, było. Seks.

Odsunęła się i wycelowała w niego palec.

- Nie próbuj nazywać tego inaczej. Ty byłeś sprytny, a ja głupia. Tak było, koniec, kropka. Przystań oszukiwać i więcej nie kłam.

W jego oczach zamigotał gniew.

- Zejdź mi z drogi, Max - rzuciła jeszcze. - Nie chcę cię widzieć ani słyszeć, ciebie ani tego twojego przyjaciela, który teraz szpieguje mojego ojca.

Patrzył, jak odchodzi i znika za drzwiami. Potem ciężko osunął się na fotel. Nieraz już przyszło mu rozmawiać z obrażoną kobietą, ale cierpienie, jakie dostrzegł w oczach Nicole, zabolowało go do żywego.

No to, stary, dograłeś się, tym razem naprawdę.
Pomyślał o Sandrze. Może nie wszystko stracone.

Droga powrotna jest w górach zawsze szybsza niż podejście. Następnego dnia Nicole zapowiedziała, że dotrą na ranczo w południe i będą mieli dość czasu, żeby spokojnie zjeść lunch i przygotować się do jazdy na lotnisko w Bartlet, skąd odlecą samolotami do domów.

Ranek był cudowny i ciepły. Słońce wyszło zza gór, blaskiem obejmując ludzi i przyrodę. Nicole nie była w odpowiednim nastroju, żeby to docenić. Była niewyspana i przygnębiona. Głowa bolała ją tak, jakby ktoś uderzał w nią młotkiem.

W czasie pożegnalnej kolacji trochę przesadziła. Chciała zagłuszyć w sobie wyrzuty sumienia i poczucie winy. Max nie może zauważyć, do jakiego stanu ją doprowadził. Śmiała się, rozmawiała, piła dużo szampana, pozornie świetnie się bawiła.

Wszyscy byli w doskonałym nastroju i nikt nie zwrócił uwagi na Maxa, z wysiłkiem uczestniczącego w ogólnej radości. Nikt również nie zauważył, że Nicole prawie nic nie je i od czasu do czasu zerka na wysokiego mężczyznę, który siedzi naprzeciw niej.

Szła ścieżką jak automat, słysząc za sobą kroki pozostałych. Gdyby tak można było zatrzymać czas i wszystko odmienić...

Czy naprawdę zachowałaby się inaczej?

Znowu dała się wyprowadzić w pole. Nie wiadomo dlaczego, tym razem bolało ją to jeszcze bardziej. Po

tym, co ją spotkało ze strony Rogera, powinna być mądrzejsza. Okazało się, że w dalszym ciągu niczego się nie nauczyła i nic nie rozumie.

Z każdym krokiem coraz głębiej pograżała się w rozmyślaniach. Na czym właściwie polegał jej błąd? Była zbyt impulsywna i szczerą, wtedy i teraz. Ale przecież szczerść to nie jest wada. Max od razu jej się spodobał, więc tego nie kryła. Nie kłamała. To nie ona kłamała.

W takim razie to jego wina. Wykorzystał to, co w niej najlepsze. Teraz najważniejsze, żeby jak najszybciej zniknął z jej życia. Na zawsze.

- Nicole...

Hal zrównał się z nią i zwolniła.

- Jesteś zmęczony? Możemy chwilę odpocząć, jeśli chcesz.

- Nie. Po prostu chciałem ci powiedzieć, że bardzo dziękuję. To był cudowny tydzień. To miejsce...

- Powiódł wzrokiem dokoła. - Jest w tym jakaś magia.

Nicole lekko się uśmiechnęła. Znała podobne reakcje. Już nieraz to słyszała, może nie te same słowa, ale ten sam zachwyty. Ludzie, którzy stąd wyjeżdżali, zabierali z sobą coś więcej niż sprzęt i ubrania. Góry i rzeka czyniły cuda, potrafiły odmienić każdego.

- I chciałem cię przeprosić za moje początkowe zachowanie.

Naprawdę ją wzruszył. Hal nie należał do mężczyzn łatwo przyznających się do popełnionych błędów. Roześmiała się.

- Mów, co chcesz, ale i tak nie oddam ci pistoletu. Oddam go szeryfowi do depozytu.

- Ja nie dlatego... - zająknął się. - To miejsce ja-
koś tak na mnie podziałało, że chyba się zmieniłem.
W przyszłym roku znowu tu przyjadę. - Uśmiechnął
się lekko. - Może znowu mnie weźmiesz w góry.

Oboje roześmieli się głośno.

Max słyszał ich śmiech. Zamykał pochód, przed
nim szedł Reed z mułem. Nie spuszczał oczu z Nicole
i nie omieszkął zauważyć, że wesoło rozmawia z Ha-
lem. Zmarszczył brwi i przyspieszył kroku. Już miał
do niej podejść, kiedy Reed go powstrzymał.

- Tata zawsze mówi - wyjaśnił - że jak kobieta
jest zła, to najlepiej poczekać, aż jej przejdzie, i dopie-
ro wtedy z nią pogadać.

Max popatrzył na chłopca z rozbawieniem.

- Twój tata jest bardzo mądrym człowiekiem. Czę-
sto kłóca się z mamą? - zapytał, żeby coś powiedzieć,
wpatrzony w parę na przodzie pochodu.

Reed skinął głową z bardzo poważną miną.

- Często, ale mama zwykle nie dopuszcza go do
głosu. Nawet jak uda mu się wtrącić słowo, słono za to
musi płacić. Dlatego tatuś mówi, że z kobietą nie wol-
no dyskutować. Niech sobie myśli, że ma rację. Ona się
uspokoi, a człowiek się nie zdenerwuje.

Klepnął muła.

- JD powiedział, że pan skrzywdził Nicole. To
prawda?

- Tak, ale nie chciałem tego.

Max spróbował się uśmiechnąć, ale mu się nie udało.

- Chyba zastosuję się do rady twojego ojca i trochę
poczekam. Potem jej wszystko wytłumaczę.

- To dobry pomysł. Widziałem kiedyś, jak zareagowała, kiedy stajenny uderzył jej konia. Nie daj Boże. .. Myślałem, że go zabije.

Chciał jeszcze coś dodać, ale Max nie podtrzymał rozmowy. Musiał przemyśleć sobie wiele spraw.

W miarę, jak oddalali się od chaty, malała szansa na rozmowę z Nicole. Próbował jeszcze raz przeanalizować wydarzenia ostatniego tygodnia. Góry, rzeka, ludzie. Wszystko, czego doznał, nieodmiennie sprowadzało się do Nicole. Jej wspomnienie prześladowało go; obraz, jaki teraz miał przed sobą, stawał się źródłem nieustannej udręki. Była dla niego czymś więcej niż jednym ze składników sprawy, którą zamierzał rozwiązać; była rozwiązaniem i konkluzją.

Kiedy zza wzgórz wyłoniło się ranczo, wiedział już, co dręczy go najbardziej. Poczucie winy. Wbrew zaleceniom Reeda postanowił wyjaśnić sytuację. Zanim dojdą do domu, Nicole musi się dowiedzieć, jak wygląda prawda.

Minął kolejnych uczestników marszu; Clarence, George i Preston zostali z tyłu. Zrównał się z nią dopiero na dróżce prowadzącej do domu. Począł, aż Hal się wycofa.

- Nicky, mogłabyś na chwilę zwolnić i wysłuchać mnie?

- Po co?

W jej oczach dostrzegł determinację. Wysunęła podbródek.

Przepuściła kolejno wszystkich uczestników wyprawy.

- Po co? - powtórzyła.
- Chciałbym ci wszystko wyjaśnić.
- Nie ma nic do wyjaśniania. Wszystko jest jasne: ty jesteś łajdakiem, a ja idiotką. Przecież to proste.

Spojrzał w stronę werandy. Chciał coś odpowiedzieć, ale na widok zgromadzonych tam osób słowa uwięzły mu w gardle. W drzwiach stał Charlie; obok niego Douglas rozmawiał z jakąś wytworną, starszą panią.

Max zamknął oczy. Chciał zostać sam z Nicole i wszystko jej wytłumaczyć. Obecność Helen Applewhite oznaczała ruinę wszystkich jego planów.

Nicole wyczuła jego zdenerwowanie. Zrozumiała, że ma ono związek z osobami stojącymi na tle domu. Nic jej to nie obchodzi. Przyśpieszyła kroku. Nareszcie będzie mogła się ukryć w swoim pokoju. Wchodząc po schodach, spostrzegła pełną napięcia twarz swego ojca i Douglasa. Zupełnie jakby udzielił im się niepokój Maxa. Tak jakby wszyscy nagle wstrzymali oddech. Spojrzała na jedyną osobę, której nie знаła, i przystanąła.

Kobieta uniosła rękę dziwnym, spowolnionym ruchem i Nicole zastygła. Było w tej scenie coś niesamowitego. Było coś przedziwnego w pobladłej nagle twarzy kobiety, oświetlonej migotaniem wielkiego brylantu, który miała na palcu.

Kobieta była mniej więcej w wieku ojca Nicole; miała siwe, krótko obcięte włosy i wytworny kostium z białego płótna.

Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale nie wy-

szedł z nich żaden dźwięk. Twarz kobiety skrzywiła się boleśnie i rozległ się cichy szept:

- Sandra... Sandra...

Potem jej oczy zamknęły się i osunęłyby się na ziemię, gdyby Douglas jej nie podtrzymał.

Zapanowało zamieszanie. Nicole postąpiła krok do tyłu i poczuła dłoń Maxa na swoim ramieniu. Kobieta otworzyła oczy.

- To jest Helen Applewhite - szepnął Max.

Helen powoli odzyskiwała siły. Oczy miała wbite w twarz Nicole.

- Charlie pokazał mi wiele zdjęć, ale nie byłam przygotowana na to, że jesteś... identyczna... - Helen Applewhite z trudem się opanowała. - Przepraszam, że tak cię zaskoczyliśmy, Sandra... Nicole...

Głośno wymówione imię córki spowodowało, że łzy popłynęły jej po policzkach.

- Nazywam się Helen Applewhite. Jestem matką twojej siostry - powiedziała po krótkiej chwili opanowanym już głosem.

Nicole ze zdumieniem popatrzyła na ojca.

- Mojej siostry? Tatusiu, o czym ona mówi?

Charlie chrząknął.

- Słoneczko - powiedział schrypniętym głosem.

- My tutaj... właśnie... Helen przyjechała wczoraj i Douglas opowiedział mi całą historię. To bardzo skomplikowane. Oni chcą, żebym to ja wszystko ci wyjaśnił. O Boże, jakie to trudne... Ja nigdy... Jednym słowem, skarbie, masz siostrę bliźniaczkę, a ta pani jest jej matką.

Rozejrzał się, jakby szukał ratunku.

- Chłopcy niech pomogą Prissy przy lunchu, a my chodźmy do salonu i porozmawiajmy.

- Siostrę bliźniaczkę? - powtórzyła Nicole, jakby nie do końca zrozumiała słowa ojca.

Pozwoliła, żeby Max wprowadził ją do salonu. Po-tem nagle odsunęła się od niego. Skoro Douglas bierze udział w tym, co się tutaj dzieje, to Max, jego współ-nik, też macza w tym palce.

- Tatusiu, oni - oczami wskazała Douglasa i Maxa - pracują dla Bedforda. Cały czas kłamali.

- Nie przejmuj się, skarbie, słoneczko, moja ty maleńka. Wiem o tym, wszystko już jest w porządku.

Bardziej niż zachowanie ojca zaniepokoiła ją lawi-na pieśczętliwych określeń. I to, że unikał jej wzroku. Pewnie znowu ma kłopoty, a ona nie może go o nic zapytać przy tych ludziach.

Helen posadziła ją obok siebie na kanapie.

- Usiądź tu, proszę, odpowiem na wszystkie twoje pytania. Musisz być potwornie zaskoczona. Boże, gdy-byś wiedziała, co czuję, kiedy na ciebie patrzę.

Nicole wzrokiem poprosiła ojca o ratunek. Charlie właśnie skradał się ku drzwiom. Nie grzeszył nadmia-rem cywilnej odwagi.

- Tatusiu!

- Ja już to słyszałem. Teraz muszę iść do gości, maleńka.

Z westchnieniem ulgi zniknął za drzwiami. Nicole spojrzęła na Helen.

- Przepraszam, co pani powiedziała?

Max i Douglas usiedli na krzesłach obok. Douglas próbował uśmiechem dodać jej otuchy, ale Nicole ominęła go wzrokiem. Nic z tego wszystkiego nie pojmowała.

- Rozumiem, w jakim jesteś stanie, ale pozwól, że ci coś pokażę.

Helen Appelewhite sięgnęła po jeden z leżących na stoliku albumów.

Nicole nie spojrzała w tamtą stronę. Zawsze wiedziała, że jest adoptowanym dzieckiem i nigdy nie dociekała, kim byli jej prawdziwi rodzice. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że może mieć rodzeństwo. Teraz dowiadywała się, że ma siostrę, do tego bliźniaczkę.

- Proszę pani...

- Mam na imię Helen. A to jest twoja siostra.

Nicole nawet nie drgnęła. Czuła, że w tej chwili, w tej sekundzie, ważą się jej losy. Patrzyła na Helen Applewhite, jakby od niej oczekiwała znaku. Potem z wolna przeniosła wzrok na zdjęcie. Twarz na fotografii była jej twarzą. Te same zielone oczy, usta, uśmiech. Te same rysy i dołeczek w prawym policzku. »

Z trudem zaczerpnęła powietrza. Miała przed sobą samą siebie, ale wiedziała, że to ktoś inny.

- Ma trochę inne włosy, jaśniejsze, długie i proste - powiedziała bezmyślnie, żeby coś powiedzieć.

Helen czule pogładziła zdjęcie.

- Sandra nie lubiła krótkich, kręconych włosów i robiła wszystko, żeby je wyprostować. Fryzjer lekko je rozjaśniał. ,

Helen uniosła dłoń i takim samym ruchem pogłodziła Nicole po głowie.

Nicole skamieniała. Znała dobrze ten gest. Matka zawsze tak robiła, kiedy kładła ją spać. Z czasem o nim zapomniała; teraz powrócił jego sens i ból, że matki już nie ma.

Gwałtownym ruchem cofnęła głowę. W oczach Helen dostrzegła, że ją zraniła.

- Przepraszam, ale mama zawsze tak robiła na dobranoc.

Helen przytknęła chusteczkę do ust, powstrzymując płacz.

- Tak samo głaskałam Sandrę, zwłaszcza kiedy źle się czuła albo była smutna.

Nicole uśmiechnęła się.

- Śpiewałaś jej też kołysanki?

- Nie, nigdy. Zupełnie nie umiem śpiewać.

- Mama też nie umiała, ale dla mnie śpiewała.

Nicole poczuła się pewniej i wróciła do albumu. Właśnie miała przewrócić stronę, kiedy Helen położyła rękę na jej dłoni.

- Zrozum, musiałam tutaj przyjechać. Kiedy Douglas mi o tobie powiedział, nie mogłam się powstrzymać. Gdybym wiedziała o twoim istnieniu, adoptowałabym również ciebie, przysięgam. Nigdy, przenigdy nie zgodziłabym się na to, żeby was rozdzielono. Wybacz mi, proszę.

- Wiesz, dlaczego tak się stało?

Musiała o to zapytać.

I Helen musiała jej odpowiedzieć.

- Zechciej zrozumieć. Harry, mój mąż, nie bardzo chciał mieć dzieci. Miał swoją pracę, wiele podróżyowaliśmy po świecie. Bał się, że dziecko zmieni nasze życie na gorsze, ale bardzo mnie kochał i wiedział, jak pragnę mieć dziecko. Potem uwielbiał Sandrę.

Wytarła oczy i ciągnęła:

- Kiedy Douglas zadzwonił i zapytał, czy Sandra miała siostrę bliźniaczkę, poszłam do naszego adwokata. Dowiedziałam się, że i on, i Harry wiedzieli o istnieniu siostry bliźniaczki. Harry chciał mieć tylko jedno dziecko, dlatego przeprowadzono wszystko w taki sposób, że trafiłyście do dwóch różnych rodzin. Zrozum, Harry miał już swoje lata; chciał, żebym była szczęśliwa, ale był bardzo zazdrosny o mnie, o mój czas, i bał się zmian. Dwoje dzieci, nawet w domu pełnym opiekunek i nianie, to było dla niego zbyt wiele. Bardzo go kochałam, ale nie wiem, czy nawet teraz, po jego śmierci, będę w stanie mu przebaczyć, że was rozdzielił.

Głęboko westchnęła.

- Wszystko potoczyłoby się inaczej, gdybyś z nami była.

W jej głosie było tyle bólu, że Nicole ujęła jej rękę.

- Kiedy będę mogła zobaczyć swoją siostrę?

Zapadła głucha cisza. Nicole spostrzegła, że Max i Douglas wymieniają znaczące spojrzenia. Ciekawe, jaką rolę grają w całej tej historii. Przecież oni muszą wszystko wiedzieć.

Helen kurczowo ścisnęła rękę Nicole. Tak tonący chwytła się rzuconej mu liny.

- Nigdy. Sandra nie żyje. Zabił ją jej mąż.

Nicole ziemia usunęła się spod nóg. Teraz nie rozumiała już nic. Pytająco spojrzała na Maxa.

- Co to ma wspólnego z tobą? I z Bedfordem?

Zawsze lubił dramatyczne rozwiązania. Poczł się jak ryba w wodzie. Teraz należało wyjaśnić wszystko do końca.

- To nie ma nic wspólnego z Bedfordem.

scandalous

11

Zawieszona w dziwnej pustce, między czasem a przestrzenią, słuchała opowieści Helen o życiu Sandry. W pokoju panowała ciężka, pełna napięcia atmosfera; Nicole czuła się tak, jakby odjęto jej zdolność logicznego myślenia.

Słuchała opowieści o kimś obcym, oglądając własne zdjęcia, ilustrujące cudze życie. Od czasu do czasu, paradoksalnie, starała się sobie przypomnieć, gdzie poznała ludzi, których w rzeczywistości nigdy nie widziała, i kiedy odwiedzała miejsca, w których nigdy nie była.

Kiedy odwracała ostatnią stronę albumu, była wyczerpana i rozbita. Kilkakrotnie próbowała dowiedzieć się czegoś o małżeństwie i śmierci Sandry, ale Helen natychmiast zmieniała temat rozmowy.

- Musisz być potwornie zmęczona, Nicole - powiedziała w końcu Helen, zamykając album.

Miała świadomość, że im więcej opowiada, tym mniej z tego, co mówi, dociera do młodej kobiety. Postanowiła się wycofać.

- Mnie to też strasznie wyczerpało. Spotkanie z tobą i to wszystko. Muszę odetchnąć. Pójdę do siebie położyć się na chwilę.

Nicole powiodła za nią wzrokiem pełnym współczucia i mimowolnej winy. Helen robiła wrażenie osoby dzielnej i opanowanej, ale widać było, że bardzo cierpi. Nicole położyła głowę na oparciu kanapy i zamknęła oczy.

Zamyśliła się głęboko.

Dlaczego nigdy, przez całe życie, niczego nie przeżuwała? Dlaczego nigdy nie przyszło jej na myśl, że gdzieś daleko żyje jej siostra? Przecież powinna była mieć jakieś poczucie wspólnoty z Sandrą; w końcu były bliźniaczkami. Słyszała, że pomiędzy bliźniętami istnieje coś więcej niż tylko fizyczna więź: coś na kształt duchowej wspólnoty, pozwalającej na poczucie bliskości, nawet w sytuacji rozdzielenia.

Wiedziała to wszystko, ale tylko teoretycznie; praktyka była zupełnie inna. Nigdy nie miała poczucia, że jest ktoś, z kim łączy ją tak wiele: tajemnicze więzi, przeczucia, metafizyczne skojarzenia. Nigdy tego nie doświadczyła, a teraz czuła się tylko pusta i rozkojarzona, jakby wydrążona w środku. Metafizyka nie była jej najsilniejszą stroną. Nicole zawsze mocno stała na ziemi; tym razem też tak będzie.

Postanowiła się otrząsnąć i parsknęła nerwowym śmiechem. Brakuje tylko, żeby nagle zaczęła rozpałmiętywać własną przeszłość pod kątem znaków i przeczuć! Wyprostowała się, zdegustowana własnym zachowaniem; są jeszcze inne kłopoty, znacznie poważniejsze. Max na szczęście zaraz wyjedzie i zniknie z jej życia. Będzie mogła zająć się ojcem, który znowu napisał sobie biedy.

Zerwała się na równe nogi. Zupełnie zapomniała o swoich obowiązkach! Przecież trzeba iść do gości!

Pozostawiwszy panie w salonie, Max i Douglas wyszli na taras. Goście zostali w jadalni i można było spokojnie porozmawiać.

Max oparł się o poręcz i przymknął oczy. Natychmiast przypłynął do niego obraz Nicole w srebrnej poświacie księżyca, tak jak ją widział tamtej nocy.

- Musimy porozmawiać, Doug.
- Owszem. Sądząc po twojej minie, wróciły stare problemy, Max. Wyglądasz jak wtedy, kiedy śniłeś o Sandrze.
- To nie był sen.
- Sądząc po sposobie, w jaki Nicole na ciebie patrzyła, zdażyłeś wykorzystać już swój nieodparty urok w czasie wycieczki w góry.
- Jest gorzej, niż myślisz. Ona uważa mnie za łajdaka.
- I słusznie.
- Dowiedziała się, że pracujemy dla Bedforda, i nie chce ze mną rozmawiać.

Douglas oparł się o kolumnę, skrzyżował ramiona na piersi i przyjrzał się koledze. Max wyglądał równie źle jak on sam, ale nie miał na swoje usprawiedliwienie stałego towarzystwa Charliego.

- Ty, taki zwykle dyskretny, dałeś sobie wyrwać tajemnicę? Jak jej się to udało? Nie, nie odpowiadaj, przecież ty nigdy nie rozmawiasz w łóżku o zawodowych sprawach! Masz zasady...

Przestał żartować; rzut oka na Maxa przypomniał mu, że nie wolno kopać leżącego.

- Nie zamierzam ci odpowiadać i zamknij się.

Douglas nie posłuchał.

- Wiesz przecież, że pod żadnym pozorem nie wolno łączyć życia prywatnego...

- Przestań, Doug, proszę.

- Dlaczego jej wszystkiego nie wyjaśniłeś?

- Powiedziałem ci już, że ona nie dopuszcza mnie do głosu.

- Tak czy inaczej, nie ma sprawy. Byłem wczoraj u Bedforda i powiedziałem, że rezygnujemy. Nie podobają mi się jego metody i nie zamierzam dla niego pracować. Wszystko ma swoje granice.

Max spojrział na niego spod oka.

- Od kiedy to jesteś taki delikatny?

- Daj spokój, nie odgrywaj się na mnie tylko dlatego, że nie masz na kim.

- Przepraszam. I jak Bedford na to zareagował?

Max chciał jak najszybciej skończyć rozmowę o Bedfordzie i zająć się wprowadzaniem w życie swojego planu. Plan jest doskonały, ale wymaga sporo

pracy. Czeka ich jeszcze mnóstwo rozmów i wiele przygotowań.

Douglas nerwowym ruchem zdjął okulary i włożył je z powrotem.

- Nie był zachwycony. Prawdę powiedziawszy, wyrzucił mnie z domu.

Ciekawe, to zupełnie coś nowego. Douglas ostatnio musiał bardzo się zmienić. Rezygnacja z tak bogatego klienta zupełnie nie pasowała do stylu pracy agencji „Warner i Hart”.

- Nie interesuje cię, dlaczego tak postąpiłem?

- Po prostu zaniemówiłem ze zdumienia.

- Lubię Charliego. Wiesz, jego nie można nie lubić. Co prawda jest lekkomyślny, ale to bardzo malownicza postać. Robi głupstwa, opowiada niestworzone rzeczy, za dużo pije, gra w karty na pieniądze, ale ma klasę. Na swój sposób jest uczciwy. Trochę za bardzo lubi kobiety... Jest jak dziecko, co może nie brzmi zbyt pochlebnie dla człowieka w jego wieku, ale bardzo dobrze go charakteryzuje. Nie masz pojęcia, co to za model.

Douglas roześmiał się.

- Ledwo z tego wszystkiego uszedłem z życiem, ale ubawiłem się jak nigdy. Bardzo mi się tu podoba. To dopiero jest prawdziwe życie!

Max spojrzał na niego spod oka.

- Nie powiesz mi, że zamierzasz kupić farmę i przenieść się do Montany?

Douglas nie od razu odpowiedział; zamyślił się.

- Chyba nie, żona by mnie rzuciła. Chociaż

sam nie wiem. Charlie pokazał mi jedno takie miejsce... Może kiedyś, w przyszłości... To teraz nieważne, ale ostatnio myślę, że my chyba za dużo pracujemy, Max. Co my tak naprawdę mamy z życia? Nic.

- Całkowicie podzielam twoje zdanie.

Douglas spojrział na niego podejrzliwie. Spodziewał się raczej kpiny i ironii, Max tymczasem był poważny i zadumany.

- Helen Applewhite zjawiła się tutaj zupełnie niespodziewanie - mówił dalej Douglas. - Zaskoczyła mnie. Nie wiedziałem, co robić, więc doszedłem do wniosku, że trzeba Charliego we wszystko wprowadzić. Musiałem mu powiedzieć, że pracowaliśmy dla Bedforda i że właśnie przestaliśmy dla niego pracować. Powiedziałem też, że zrobimy wszystko, żeby mu pomóc, bo on ma kłopoty, Max. Przegrał kupę pieniędzy. Bedford ma go w garści i chce go załatwić. Jak tak dalej pójdzie, to mu się uda. Dawsonowie będą musieli sprzedać tę ziemię.

- Wiem, Nicky coś mi wspominała.

Douglas parsknął śmiechem.

- Musi bardzo cię lubić, skoro ci się zwierza.

Max nie uśmiechnął się.

- Powiedziała mi to, zanim się dowiedziała o nas i Bedfordzie.

- Nieważne. Charlie ma poważne kłopoty finansowe. Zadłużył się na trzydzieści tysięcy dolarów i nie ma skąd ich wziąć. Zasięgnąłem informacji i dowiedziałem się, że jedna z korporacji Bedforda wykupiła

jego weksle. Charlie zastawił całą swoją posiadłość. Zlicytują go i Bedford wszystko przejmie. Ma w banku swoich ludzi, zrobi to bez problemu.

Max nerwowo przeczesał włosy. Tylko tego jeszcze brakowało.

- Nicky o niczym nie może się dowiedzieć - ciągnął Douglas. - Sprawdźmy najpierw, co możemy zrobić. Potem się jej o wszystkim powie.

- Ciekawe, kto to zrobi? Posłaniec może zginąć na miejscu.

Próbował żartować, ale szybko spoważniał.

- Doug, zostawmy to na chwilę, omówimy to później. Muszę ci coś opowiedzieć. Wymyśliłem, jak załatwić Gillmana. Plan jest prosty i może się okazać bardzo skuteczny.

Spojrzał na drzwi wiodące do jadalni. Odeszli kawałek dalej.

- Ty stale o tym? - Douglas spojrzał na niego ze zdziwieniem. - Przecież wiesz, że nic mu nie zrobimy. Nie mamy żadnych dowodów. Myślałem, że to już do ciebie dotarło.

Max przez chwilę milczał, zwlekając z odpowiedzią. Lubił takie sytuacje i nagłe zaskoczenie w oczach rozmówcy.

- Jesteś tego pewien? Nawet po tym, jak zobaczyłeś Nicole?

Udało mu się. Reakcja Douglasa go nie zawiodła.

- Czy ty...

- Stary, przecież to proste. Sandra zmartwychwstanie w osobie Nicole.

- Chyba zwariowałeś - powiedział Douglas niepewnym głosem.

Zrobił kilka kroków i zaraz zawrócił. Swoim zwykłym gestem zdjął okulary i założył je z powrotem.

- Masz jakiś konkretny pomysł?

Max spojrzał na niego spod oka. Wiedział, że jego wspólnik lubi podobne wyzwania. Dla zwiększenia efektu chwilę odczekał.

- Mam cały plan, stary, świetny plan.

Doug starał się ukryć ogarniające go podniecenie.

- Przecież to morderca - szepnął, zupełnie jakby Giłłman, będący setki kilometrów stąd, mógł go usłyszeć. - Może zamordować Nicky, tak jak zamordował Sandrę.

- Nie. Nic jej się nie stanie. Będę przy niej cały czas, nie opuszczę jej nawet na sekundę. Ty też tam będziesz, a do tego profesjonalna ochrona z naszej agencji. Weźmiemy najlepszych ludzi. Pełna gotowość bojowa. Złapiemy Gillmana przy pomocy Nicky. Będzie przekonany, że to Sandra. Są identyczne, Nicky ma nawet takie samo znamię.

- Chcecie ożywić Sandrę? Chyba musicie opowiedzieć mi wszystko z najdrobniejszymi szczegółami...

Podsłuchali. W drzwiach wiodących na taras stała Helen Applewhite. Postąpiła krok w ich stronę.

- Chciałabym poznać ten plan.

Z uśmiechem powiodła wzrokiem po ich twarzach. Wyglądali jak dwaj mali chłopcy przyłapani na przeglądaniu „Playboya”.

- Mam doskonały słuch, a w moim wieku podsłu-

chiwanie to jedna z niewielu przyjemności, które pozostały.

Rozejrzeli się niespokojnie.

- Gdzie Nicky?

- Ostatnio widziałam ją, jak wychodziła z ojcem z salonu. Wyglądało na to, że ma mu coś ważnego do powiedzenia. Poszli do jej pokoju. Pewnie ma do niego sporo pytań.

Douglas jęknął i pokręcił głową.

- Nie tylko. Biedny Charlie, córeczka nieźle zmyje mu głowę. Mówił mi, że ona na odległość wyczuwa, kiedy on ma kłopoty, a tym razem Charlie naprawdę ma kłopoty, i to wielkie. Biedak.

Nicole starannie zamknęła za sobą drzwi i spojrzała na ojca.

- Powiedz mi, tato, co zrobiłeś i ile nas to będzie kosztowało? - spytała wprost.

- Słoneczko moje, kruszynko, teraz jestem strasznie zajęty. Mamy gości, muszę ich odprowadzić i wygłosić pożegnalne przemówienie. O wszystkim porozmawiamy później.

Sięgnął do klamki, ale Nicole była szybsza.

- Tato, proszę.

Charlie westchnął i z rezygnacją usiadł na brzegu łóżka.

- Pamiętasz Bena Jessopa? - spytał zmęczonym głosem. - Był tu u nas miesiąc temu. Jest chemikiem, opowiadał o swoich zakładach i laboratorium?

Nicole przymknęła oczy. Zapowiada się niedobrze.

Ben Jessop od razu jej się nie spodobał. Podejrzany jakiś typ.

- Co dalej?

- Powiedział, że eksperymentuje z nowym gatunkiem trawy. Coś zupełnie nadzwyczajnego. Trawa, która rośnie nawet w zimie, nieustanna rezerwa paszy dla bydła, zabezpieczenie na całą zimę. To miała być rewelacja.

Czas przeszły, którego użył, zabrzmiał jak dzwonek alarmowy.

- Ile na tym straciłeś?

- Oszukał mnie, zabeńko, wyprowadził w pole. Doug dowiedział się, że to był podstęp Bedforda. Doug przyrzekł, że nam pomoże.

Zadrzała na myśl, że może oczekiwać pomocy od wspólnika Maxa. Nigdy do tego nie dopuści.

- Tatusiu, powiedz: ile?

Charlie wsparł dłonie na lasce i utkwiał wzrok w podłodze.

- Tatusiu, jeśli mi nie powiesz, nie będę mogła ci pomóc!

- Trzydzieści tysięcy.

Przez chwilę miała nadzieję, że się przesłyszała, ale porzuciła ją, widząc wyraz oczu ojca. Kolana ugięły się pod nią i przysiadła na łóżku obok niego.

- Tatusiu...

Nie mogła powiedzieć nic więcej.

- Trzydzieści tysięcy dolarów... - powtórzyła w osłupieniu.

- To nie wszystko, maleńka, zostawiłem nasze

ranczo. Doug uważa, że Bedford ma dyrektora banku w kieszeni. Spokojnie poczekają, aż minie termin zapłaty, i wtedy mnie zlicytują. Bedford dostanie nasze ranczo i górę.

Nicole z niedowierzaniem pokręciła głową.

- Trzydzieści tysięcy dolarów...

- To sporo, wiem - przytaknął skwapliwie.

- Sporo? Tato, przecież to więcej, niż posiadamy.

- Może gdyby tak wszystko zebrać... Można by na przykład sprzedać Missy i Polo. Shannon Bartlet zawsze bardzo lubiła te konie.

- Te konie są moje, tato - przypomniała surowo Nicole.

Charlie przesadził. Nigdy nie pozwoli mu sprzedać koni, które sama wyhodowała i wytrenowała. Spojrzała na niego z wyrzutem.

Siedział obok niej blady i kruchy, jakby w ciągu kilku minut postarzał się o dziesięć lat. Miała ochotę objąć go, przytulić i zapewnić, że jakoś sobie poradzą, tak jak radzili sobie dotąd.

Nie zrobiła tego jednak. Charlie wydał jej się nagle jakiś daleki i obcy, tak jakby, po raz pierwszy, sam zdał sobie sprawę z powagi sytuacji, w jakiej się z jego winy znaleźli.

- Możemy stracić dom, Nicky, trzeba jakoś się ratować. Ash Bartlet da nam dobrą cenę za konie.

W jego głosie brzmiała rozpacz.

- To nie wystarczy, tatusiu...

- Ile to może być. Połowa?

- Najwyżej.

Charlie uniósł głowę.

- A gdybyśmy tak wytoczyli proces temu łobuzowi? Może byśmy wtedy wszystkiego nie stracili. Możemy nawet wygrać!

Widać było, że zapala się do własnego pomysłu.

-. Tatusiu, najpierw trzeba spłacić długi. Zresztą taki proces strasznie dużo kosztuje, a my nie mamy pieniędzy.

Z litości nie dodała, że prawnicy Bedforda zjedliby ich na surowo.

Charlie wstał. Widać było, że postanowił nie tracić ducha,

- Wymyślimy coś, tym razem też coś wymyślimy.

Oparł się na lasce.

- Kocham cię bardzo, maleńka moja. Matka też bardzo cię kochała. Strasznie mi przykro, że nie wiedzieliśmy o tym, że masz siostrę. Przecież byśmy ją wzięli.

Wolnym krokiem poszedł ku drzwiom. W progu odwrócił się z ręką na klamce.

- A teraz musimy iść do gości pożegnać się.

Nicole wstała. Wszystko zostało powiedziane. Jej życie zaczyna płynąć w zupełnie nowym, nie przewidzianym kierunku. Ojciec ma rację. Trzeba najpierw wyprowadzić gości i dopiero wtedy spokojnie usiąść i nad wszystkim się zastanowić. Przemyśleć, co zrobić w obliczu nadciągającej katastrofy.

Wstała i podeszła do niego.

- Masz rację. Trzeba pożegnać się z gośćmi. I niech lepiej już jada.

Wolnym krokiem zeszła za nim do jadalni.

Mężczyźni pili strzemiennego. Nicole siłą powstrzymała się od myśli o Maksie, i z uśmiechem przyklepionym do twarzy podeszła do stołu. Podczas serdecznego pożegnania, jakie potem nastąpiło, nie zastanawiała się, co dzieje się z Maxem i Douglasem, pewna, że szykują się do drogi. Im szybciej opuszczą farmę, tym lepiej.

Dopiero kiedy pożegnała się z Halem, który wychodził jako ostatni, spostrzegła, że obaj stoją na ganku wraz z Helen Applewhite. Zastanowiło ją to, ale postanowiła na razie o nic nie pytać. Razem z ojcem odprowadziła gości do samochodów i potem stali chwilę, patrząc, jak odjeżdżają.

Max czekał na nich na schodach.

- Chcielibyśmy z wami porozmawiać. Możemy jeszcze na chwilę iść do salonu?

Nicole przez ułamek sekundy zobaczyła siebie z Maxem w łóżku i niemal poczuła jego usta na swoich wargach. Odpędziła wspomnienie i posłusznie ruszyła za ojcem do salonu. Charlie natychmiast się ożywił; zupełnie jakby przypuszczał, że Max i jego wspólnik wymyślili coś, co go uratuje.

Nicole przygryzła wargi; świetny pomysł, pacholek Bedforda w roli zbawcy Dawsonów, też coś.

Nie potrzebuje niczyjej pomocy, sama coś wymyśli. Siedząc na kanapie między ojcem a Helen zaczęła się zastanawiać, jaką sumę może dostać za swoje dwie złote plomby i pierścionek zaręczynowy od Rogera, którego mu nie oddała, mimo że jej to jednoznacznie sugerował.

Nawet gdyby dodała do tego konie, bydło i kilka starych cennych przedmiotów, jakie mieli, nigdy nie uda jej się pokryć trzydziestotysięcznego długu.

Myśl o plombach wprawiła ją nagle w doskonały humor i Nicole uśmiechnęła się do siebie.

Max wziął to za dobrą monetę.

Trzeba kuć żelazo póki gorące.

- Nicky, wiesz już, dlaczego tu z Dougiem jesteśmy, i że pracowaliśmy dla Bedforda. Chce kupić waszą górę i rancho i zaangażował nas, żebyśmy mu dostarczyli potrzebnych informacji. Musisz wiedzieć, że przyjęliśmy tę pracę zupełnie przypadkowo. Przez ostatnie półtora roku zajmowaliśmy się sprawą morderstwa Sandry. Byliśmy wykończeni i skusiła nas wizja pobytu w górach. Chyba sobie wyobrażasz, co przeżyliśmy na twój widok. To był kompletny szok. Nie mieliśmy pojęcia, że Sandra miała siostrę bliźniaczkę. Byłem pewien, że jesteś Sandra, a znam ją tak jak nikt.

Max wziął krzesło sprzed kominka i usiadł obok Douglasa, naprzeciwko Nicole.

- Nie mogliśmy zrozumieć, dlaczego Sandra ukrywa się tutaj pod zmienionym nazwiskiem. Zastanawialiśmy się, skąd się tu wzięła? Dlaczego nie skontaktowała się z matką? Dlaczego się ukrywa? Gubiliśmy się w domysłach i niczego nie mogliśmy ustalić.

Była zdumiona łatwością, z jaką wierzyła w każde jego słowo. Wystarczy, że Max coś powie, a ona już bierze to za dobrą monetę. Myśl, że jest pod jego wpływem, sprawiła jej przykrość.

- A co z Bedfordem? - spytała rzeczowo. - Jest jeszcze sprawa Bedforda.

- Problem Bedforda ogranicza się do długu twojego ojca. Bedford podłożył mu świnię. Zajmiemy się tym z Dougiem i jakoś to załatwimy. Pomożemy wam.

- Za jaką cenę? - wyrwało się Nicole. - Ciekawe, z kim mam iść za to do łóżka? A może mam kogoś zamordować? Powiedz.

Charlie nagle zbladł i spojrzał na córkę z naganą w oczach.

- Nicky! - zawołał.

- Takich pieniędzy nie daje się w podarunku, tatu-siu. Wszyscy o tym wiedzą, ty też.

Wzruszyła ramionami. Nie miała zamiaru przeproszać za swoje słowa. Może przesadziła, ale ma chyba prawo czuć się trochę... zdenerwowana. Za dużo emocji, jak na jeden dzień. Zresztą już chyba najwyższy czas, żeby ojciec się opamiętał i zrozumiał, że nie może nieustannie żyć na kredyt.

- Nicole ma rację, Charlie - oznajmił spokojnie Max. - Nikt nic nie daje za darmo, ale tym razem to nie ja będę płacił, tylko Helen.

Wiedział, że ma w ręku silną kartę. Nicole zrobi wszystko, żeby zachować ziemię i ranczo.

- Helen zamierza zapłacić Nicky sto tysięcy dolarów za kilka dni pracy.

Nicky oniemiała. Przez chwilę nie była w stanie zaczerpnąć powietrza. Otworzyła usta. Charlie ją uprzedził.

- Nie - oświadczył stanowczo. - Nie zgadzam się.

Czy myślicie, że nie widzę, do czego zmierzacie? Znam historię Sandry. Helen wszystko mi opowiedziała. Wiem, czego chcecie od Nicky.

- Ale ja nie wiem, tatusiu. Wszyscy wiedzą, tylko nie ja. Mam ci przypomnieć, co nas czeka za kilka dni?

Spojrzała na niego wymownie. Na wspomnienie o terminie spłaty długu Charlie przygasł.

- Helen mi powiedziała - podjął Max - że nie wspomniała ci o okolicznościach śmierci Sandry.

Nie wiedział, jak zareaguje na jego słowa. Wiedział tylko, że chciałby teraz móc ją przytulić, żeby to, co powie, zbytnio jej nie zraniło.

- Najpierw muszę ci powiedzieć coś o jej mężu, Johnie Gillmanie. Jest byłym oficerem marynarki, specjalizuje się w materiałach wybuchowych. Bardzo przystojny, uwodzicielski. Rodzaj playboya, typ, który bardzo się podoba kobietom. Szybko ją oczarował. Sądzę, że głównie tym, iż był inny niż wszyscy mężczyźni z jej środowiska.

Kątem oka spostrzegł wyraz twarzy starszej pani.

- Przykro mi, że musisz tego słuchać, Helen.

Przygryzła wargi i przyzwalająco skinęła głową.

- Uwiódł Sandrę - mówił dalej Max - i szybko stał się jej panem i władcą. Odsunął ją od matki i całym sobie podporządkował. Postępował bardzo umiejętnie, bo nie chciał, żeby Helen ograniczyła Sandrze dostęp do pieniędzy.

John nigdy nie pracował. Sądził, że majątek Sandry wystarczy w zupełności. Miał jednak jedną wadę: zażywał narkotyki, a to dość kosztowne upodobanie. Sandra

próbowała go namówić, żeby znalazł sobie jakąś pracę. Sama pracowała w instytucjach charytatywnych. John nie zamierzał nic robić; to było niezgodne z jego naturą.

Wykorzystywał i manipulował nią. Maltretował psychicznie i poniżał. Pod względem psychicznym była mu całkowicie podporządkowana. Zmierzał do tego, żeby przejąć kontrolę nad jej majątkiem. Miarka jednak się przebrała. Musiał przeholować, bo Sandra w końcu postanowiła się z nim rozwieść.

John nie zamierzał zrezygnować z łatwego życia. Chyba właśnie wtedy wpadł na pomysł morderstwa. W ciągu kilku następnych miesięcy całkowicie się zmienił. Znalazł sobie pracę, zerwał z kochankami i przestał brać narkotyki. Zaczęli chodzić do psychologa i uczęszczać na spotkania terapeutyczne dla małżeństw z problemami. Zupełnie zmienił swoje zachowanie w stosunku do żony; robił wrażenie naprawdę skruszonego. W czasie tego cudownego nawrócenia wykupili polisy ubezpieczeniowe na życie i oboje sporządzili testamenty. John próbował nawet nawiązać stosunki z Helen.

Pani Applewhite drgnęła.

- Nigdy mu nie wierzyłam - oznajmiła - ale co mogłam zrobić? Sandra znowu była szczęśliwa. Trochę przytyła, doskonale wyglądała. Raz po raz wspominała o dziecku, a on uśmiechał się tym swoim uroczym uśmiechem.

Wzdrygnęła się.

- Nieraz już dochodziło między mną a Sandrą do

nieporozumień na jego temat, więc nie chciałam dolewać oliwy do ognia. Dlatego kiedy mi powiedziała, że John planuje drugi miodowy miesiąc, żeby jeszcze bardziej umocnić ich związek, nie protestowałam. Popłynęli jachtem Sandry, „Looking Glass”, na Florydę, a stamtąd na Karaiby. Tak bardzo nie chciałam, żeby tam jechała... Nigdy więcej jej nie zobaczyłam.

- W jaki sposób ją zabił?

Nicole przeniosła wzrok na Maxa.

- Zrzucili kotwicę niedaleko jakiejś wysepki. Łowili ryby, robili wyprawy do miasteczka, trochę zwiedzali. Po kilku dniach John udał się łódką na wyspę po zakupy. Kiedy odpłynął, na jachcie wybuchł pożar. Doszło do eksplozji, cały jacht spłonął. Ciało Sandry nigdy nie odnaleziono. John oczywiście brał udział w poszukiwaniach.

Miejscowe władze przeprowadziły śledztwo. John odgrywał rolę niepokieszonego małżonka i bardzo się do wszystkiego przykładał. Zeznania jego i pary znajomych, która była u nich na obiedzie, odegrały decydującą rolę. John powiedział, że Sandra zawsze zapomniała wyłączyć piecyk. Jego wybuch uznano za przyczynę tragedii. Śledztwo zostało zakończone.

John natychmiast wrócił do domu i pierwszą rzeczą, jaką zrobił, było zrealizowanie polisy ubezpieczeniowej. Przy pomocy prawników Helen na razie udało się powstrzymać spadkobranie, ale za pół roku John dostanie wszystko.

Nicole wzdrygnęła się. Poczowała wstręt do nieznajomego jej Johna Gillmana.

- Co mam zrobić za te sto tysięcy?
- Odegrać Sandrę.

Charlie wstał, podszedł do półki z książkami i wyciągnął pudełko cygar ze swego tajnego schowka.

- Przecież to szaleństwo! - powiedział, zapalił cygaro i wypuścił kłęb dymu. - Proponujecie jej, żeby poszła wprost w łapy mordercy. Wolę stracić rancho i górę, wszystko, co posiadam, ale nie córkę.

- To bardzo szlachetne, tatusiu, a teraz przestań kopcić, bo zaraz stracisz cygaro.

Uśmiechnęła się do niego.

- Wiesz przecież, co mówi doktor Shotwell.

Poczekaj, aż ojciec zastosuje się do jej polecenia.

- A teraz usiądź tu, obok mnie, i pozwól Maxowi skończyć. On potrafi tak wspaniale kłamać, że jego opowieść może być fascynująca.

Max z Douglasem wymienili znaczące spojrzenia.

- Mój plan jest bardzo prosty - ciągnął Max, niezrażony. - Nie ma żadnych wyszukanych kłamstw. Zawiadomimy Gillmana, że Sandra żyje i przebywa na jednej z wysp na Karaibach. Ranna kobieta mogła się uratować i dopłynąć gdzieś, gdzie udzielono jej pomocy. To bardzo prawdopodobne. Wyspa należy do jednego z naszych przyjaciół; chętnie zgodzi się udostępnić ją nam na jakiś czas. Tajemnicza kobieta z wyspy ma zanik pamięci, dlatego ukrywa się przed ludźmi.

Nicole z niedowierzaniem pokręciła głową. Spodziewała się czegoś bardziej wyszukanego.

- Amnezja? Przecież to żałosne... On nigdy się na to nie nabierze. A nawet jeśli tam przyjedzie, to prze-

cież nie przyzna się do zabójstwa tylko dlatego, że mnie zobaczy. Ktoś, kto dokonał podobnego morderstwa, nie da się tak złapać...

- Wiem.

Max siłą powstrzymał się przed pójściem w ślady Charliego; zresztą nie miał przy sobie papierosów.

- Twój widok wyprowadzi go z równowagi, a wtedy my się trochę z nim zabawimy. Wymyślimy całą historię. Sandra mieszka na wyspie od osiemnastu miesięcy. Od pewnego czasu zaczyna mieć nawroty pamięci. To powinno go poważnie zaniepokoić.

Wstał i zaczął nerwowo krążyć po pokoju.

- Rolę zapalnika odegra fakt, że Sandra zakochała się w innym mężczyźnie. To znaczy we mnie, czyli w doktorze Adairze Gibsonie.

- Właścicielu wyspy?

- Tak. Adair jest naukowcem, który dostał Nagrodę Nobla za osiągnięcia w dziedzinie badań nad rakiem. Jest odludkiem i samotnikiem. Powiemy Johnowi, że wyłowił Sandrę i zaopiekował się nią. Zakochali się w sobie, zamierzają mieć dzieci, ale Sandra, czyli ty, chce się przedtem koniecznie dowiedzieć, kim jest. Dlatego Adair rozpoczął poszukiwania. Doszedł do wniosku, że Sandra może być kobietą, która jakiś czas temu zaginęła po wybuchu na jachcie. Przekonał ją, żeby zadzwoniła do Helen.

Opowiemy ci wszystko, co powinnaś wiedzieć o Sandrze. Nie za dużo jednak; cierpisz przecież na amnezję. Miewasz tylko prześląski wspomnień. John jest chorobliwie zazdrosny, Nicky. Świadomość, że je-

go żona kocha innego, widok Sandry, przytulającej się do innego mężczyzny, sprawi, że popełni błąd. A wtedy wkroczymy my.

- To znaczy kto? Kto oprócz ciebie będzie na wyspie, żeby mnie chronić?

Był przygotowany na to pytanie.

- Wyspa ma kilku stałych mieszkańców, wszyscy pracują dla Adaira. Damy im płatny urlop i zastąpimy naszymi ludźmi z „Warner i Hart”. To profesjonaliści, cała wyspa będzie pod ich kontrolą. Nie chcę cię teraz wprowadzać we wszystkie szczegóły, ale zanim John Gillman zjawi się na wyspie, wszystko zostanie zabezpieczone. Wszędzie zainstalujemy kamery i aparaty podsłuchowe. Każdy gest, każde słowo, zostaną zarejestrowane. Zawsze ktoś przy tobie będzie. Ani na chwilę nie zostaniesz z nim sama.

Przestał chodzić w kółko i zatrzymał się przy Nicole.

- Jest tylko jedna rzecz: nie mamy zbyt wiele czasu. Kiedy John dostanie spadek, ucieknie z pieniędzmi i już nigdy go nie złapiemy.

Zapadło milczenie. Poczowała, że wszyscy na nią patrzą. Zerknęła na ojca i wstała.

- Muszę odetchnąć trochę świeżym powietrzem i wszystko sobie przemyśleć.

Dał jej pół godziny. Potem, zostawiwszy Helen i Douglasa z Charliem w salonie, udał się na poszukiwania.

Nicole siedziała na schodach prowadzących na werandę. Niewidzącym wzrokiem wpatrywała się w kolo-

rową plamę łąki. Usiadł przy niej. Chciał jej wytłumaczyć, że to, co między nimi było, nie ma nic wspólnego z Sandrą, jego pracą i czymkolwiek innym. Czuł jednak, że to nie jest właściwy moment. Nie wolno mu wprowadzać nowych elementów; Nicole tę decyzję musi podjąć w oparciu o fakty, a nie uczucia.

- Nigdy nie chciałem cię zranić - powiedział tylko.

- Może, nie wiem, nie znam cię. Zjawiasz się tutaj i myślisz, że jestem kobietą, która nie żyje, ale udajesz, że wszystko w porządku, że wierzysz, że jestem Nicole Dawson. Dlatego myślę, że wszystko, co mówisz, ma jakiś podtekst. Nic nie jest tak, jak się państwu wydaje... Dziwne to wszystko, panie Nowy Jork.

Uznał za dobry znak, że znowu go tak nazwała.

- Zrozum, nie mogłem pojąć, dlaczego ktoś taki jak Sandra ukrywa się pod przybranym nazwiskiem, po co ta komedia. Byłem tak zszokowany twoim wyglądem, że nie mogłem logicznie myśleć. Potem, po kilku rozmowach z tobą i z Reedem doszedłem do wniosku, że nie możesz być Sandrą.

Zamyśliła się.

- Wracając do tamtej sprawy, muszę ci powiedzieć, że nie jestem przekonana, że to się trzyma kupy. Ktoś tak przebiegły jak Gillman nie pęknie tylko dlatego, że mnie zobaczy.

- Może nie od razu, ale jeśli nad nim popracujemy, zmusimy go do powiedzenia czegoś, co go zdradzi, i wszystko nagramy.

Uwagę Nicole zwróciła zaciętość brzmiąca w jego głosie.

- Bardzo ci zależy na tym, żeby go złapać, prawda? - spytała.

Nawet nie mogła sobie wyobrazić jak bardzo.

- Tak. Zabił twoją siostrę, ale to nie wszystko. John Gillman to urodzony morderca. Zabił raz i zabije powtórnie. Znajdź sobie inną bogatą kobietę i pozbawi ją życia. Chyba warto go powstrzymać.

Nie odpowiedziała. Wstała i wolnym krokiem poszła do salonu. Max mszył za nią. Nicole powiodła wzrokiem po obecnych i zobaczyła ściągniętą bólem twarz Helen. Douglas wyglądał jak ktoś, komu bardzo zależy na sprawnym funkcjonowaniu firmy. Max... Nie bardzo wiedziała, co o nim myśleć. Kłamał, ale miał powody. Nie wspomniał jej o Sandrze, bo dla niego temat Sandry... Właśnie, było w tym coś, czego nie rozumiała. I na razie nie miała na to czasu.

Ojciec. Lekkomysłny i kochany. Może ostatecznie wydarzenia spowodują, że się opamięta i zacznie zachowywać inaczej.

Jest jeszcze sto tysięcy dolarów, suma nie do pogardzenia, zwłaszcza w ich sytuacji...

Byłoby również dobrze, gdyby jej decyzja miała jakieś szlachetniejsze pobudki.

- W takim razie... Kiedy jedziemy na te Karaiby?

12

Raj. Po prostu raj.

Bardzo dobre skojarzenie, jeśli chodzi o miejsce, w którym się przebywa w oczekiwaniu na mordercę.

Nicole rozejrzała się, a potem raz jeszcze krytycznym spojrzeniem obrzuciła swój strój. Miała na sobie niezwykle skromne bikini i krótką, muślinową tunikę. Wzruszyła ramionami. Nigdy nie przypuszczała, że kiedykolwiek może na siebie coś takiego włożyć.

Rozejrzała się z westchnieniem. Była sama, wiedziała jednak, że to tylko złudzenie. Zewsząd obserwują ją kamery, kontrolujące każdy jej gest, każde skrzywienie twarzy. Nie mogła sobie nawet wycisnąć krotki; stale obserwowany ją przynajmniej trzy pary oczu.

Świadomość, że jest nieustannie śledzona, nie przeszkadzała jej docenić piękna wyspy. Soczysta, zie-

łona trawa, przechodząca w złociście białą plażę, wiodła ku szafirowym wodom laguny.

Doktor Adair Gibson żyje i pracuje w niezwykle pięknym miejscu.

Słońce stało jeszcze nisko. Tropikalne drzewa i palmy, od czasu do czasu poruszane delikatnym powiewem bryzy, strzegły laguny niby rząd nieruchomości strażników. Morze było spokojne i ciche. W położonym poniżej patio ogrodzie kwitło mnóstwo różnokolorowych egzotycznych kwiatów i roślin o nieznanym nazwach. Z gamy odurzających zapachów Nicole mogła jedynie odróżnić zapach jaśminu.

Ranek jest naprawdę cudowny.

Przez chwilę stała na patio, rozkoszując się niezwykłą łagodnością powietrza. Było równie czyste i przejrzyste jak w górach Montany. Spojrzała w stronę laguny i zeszła z dywanu trawy na delikatny piasek plaży. Syknęła. Nie spodziewała się, że jest tak bardzo gorący. Wysoko unosząc stopy, dotarła jakoś do drewnianej leżanki, stojącej tuż nad wodą.

Wyciągnęła się wygodnie, przesunęła ciemne okulary na czubek głowy, zamknęła oczy i spróbowała pograżyć się w błogostanie. Przede wszystkim musi odpocząć; musi choć na chwilę zapomnieć, dlaczego i w jakim celu znalazła się w tym niebiańskim miejscu.

Podświadomość natychmiast podsunęła jej wspomnienia ostatnich kilku dni. Były to niezwykle pracowite dni.

Najpierw długie godziny spędzone na ranczu w to-

warzystwie Maxa, Douglasa i Helen, wprowadzających ją w szczegóły z życia Sandry. Starali się przekazać jej wszystko, co mogłoby mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Opowiadali o epizodach z dzieciństwa jej siostry bliźniaczki, o jej latach szkolnych, studiach i działalności charytatywnej. Opisywali stroje, jakie nosiła, i potrawy, które najchętniej jadała. Nie zapomnieli o jej przyjaciółach i zwykłych znajomych.

Nicole czuła się tak, jakby ktoś na siłę próbował jej przekazać informacje, o których zbędności była absolutnie przekonana. Buntowała się przeciwko temu. Oni nic nie rozumieją. Przecież to bez sensu! Po co jej cała ta wiedza, skoro ma być osobą cierpiącą na amnezję? Nie potrzebuje znać upodobań siostry, nie musi wiedzieć, jakie potrawy jadała i w jakich miejscach lubiła przebywać! Miała wypadek, straciła pamięć, a wraz z nią wszystkie wspomnienia z dawnego życia.

Nie musi nic wiedzieć, nie musi się niczego uczyć. Patrzyła z wyrzutem na Helen i z gniewem na Maxa. Byli jednak nieubłagani; w końcu, niechętnie, ustępowała „dla dobra sprawy”.

Kiedy zbytnio narzekała, Max natychmiast przypominał jej o stu tysiącach, jak to nazywał - „powodów” - dla których podjęła się tej pracy. Ustępowała, zgrzytając zębami.

W tym samym czasie Max i Douglas organizowali całą akcję. Nieustannie telefonowali do Nowego Jorku, Los Angeles i Houston, stawiając w stan pogotowia swoich ludzi. Nigdy w życiu nie słyszała tylu rozka-

zów naraz, nigdy w życiu nie przypuszczała, że można wydawać tak szczegółowe polecenia.

Kazali nawet jednej ze swoich pracownic kupić komplet odpowiedniej damskiej garderoby i przed wysłaniem na wyspę wszystko uprać, żeby wyglądało naturalniej!

Ostatniego dnia przed wyjazdem nareszcie dali jej spokój i zostawili ją sam na sam z Charliem i Helen. Douglas wcześniej rano odleciał do Houston, skąd z całą ekipą miał przylecieć prosto na wyspę; Max dyplomatycznie wycofał się do swojego pokoju.

Dopiero wtedy Nicole nagle uświadomiła sobie, jak bardzo ciężko będzie jej rozstać się z Helen. Sama odwiozła ją na lotnisko, żeby jeszcze przez chwilę z nią pobyc. W ciągu tych kilku dni, które spędziły rozmawiając na temat Sandry, dostrzegła w Helen czułą, kochającą, wyrozumiałą matkę, będącą oparciem dla córki w każdej życiowej sytuacji. Po raz pierwszy od wielu lat poczuła żal do losu, że tak wcześniej pozbawił ją matki.

Na wspomnienie pożegnania z Helen łzy napłynęły jej do oczu. Słońce odbiło się w kryształowych kropkach i oślepiło ją. Nicole pociągnęła nosem i przysłoniła oczy okularami. Tak bardzo polubiła Helen i tak bardzo wzruszył ją jej los, że pomogłaby zdemaskować Gillmana nawet za darmo, ale starsza pani nawet nie chciała o tym słyszeć.

Wyznała, że docenia poświęcenie Nicole i chociaż rozumie, że kierują nią racje wyższego rzędu, nie zamierza zmienić zdania i zrezygnować z przekazania

wspomnianej sumy pieniędzy. Nicole wróciła z lotniska nieco uspokojona. To, że Helen dostrzega pozafinansowe powody jej decyzji, bardzo ją pokrzepiło. Po rozmowie ze starszą panią poczuła się silniejsza i bardziej pewna siebie, tak jakby jej szalona decyzja odegrania roli Sandry znalazła nową motywację, szlachetniejszą i bardziej przekonującą.

Słońce zaczęło przypiekać, toteż przewróciła się na brzuch, próbując przegnać niechciane myśli. Koszmar, jakim była podróż z Montany na wyspę, stanął jej przed oczami, kiedy tylko znowu przymknęła powieki.

Douglas przed wyjazdem z Bartlet uprzedził ją, że Max nie jest miłym towarzyszem podróży. Może nawet jest zabawny, ale nieco „trudny”. Dodał, że usiłował przekonać go, żeby wynajęli samolot i bezpośrednio z Montany lecieli na Karaiby, ale Max odmówił. Douglas powiedział, żeby na siebie uważali, i pożegnał się.

Zrozumiała, o co mu chodzi, dopiero w kolejnym samolocie, którym po licznych przesiadkach i zmianach linii przebywali w poprzek kontynent. Max istotnie był nie do wytrzymania. Wystawił jej cierpliwość i sympatię na najwyższą próbę.

Z lotniska w Dallas, gdzie mieli kolejną przesiadkę, zadzwoniła do Douglasa, żeby coś zrobił, bo zwariuje. Przesłał na lotnisko jednego z pracowników firmy, który po pierwszym szoku, jakiego doznał na jej widok - znał przecież podobiznę Sandry - nie był w stanie ukryć rozbawienia stanem, w jakim ujrzał swego szefa.

Potem wcisnęła Nicole do ręki opakowanie tabletek uspokajających w ilości zdolnej uspić tygrysa. Max miotał się tak, że porównanie narzucało się samo.

Teraz mogła się śmiać do łez z ich wariackiej podróży, ale wtedy chciała go zamordować. Robiła w tym celu, co mogła. Kiedy lądowali w Miami, Max był już tak „uspokojony”, że prawie musiała go wynosić z samolotu. Pomogło jej w tym dwóch stewardów, szczęśliwych, że mogą się nareszcie pozbyć uciążliwego pasażera.

Potem był już tylko krótki lot małym samolotem na wyspę świętego Tomasza, wprost w ramiona Douglasa. Co za ulga! Miała nadzieję, że nareszcie choć na chwilę zostanie sama.

Jej złudzenia przysły na widok trzech ochroniarzy rozmiaru sporych goryli, którzy natychmiast ją otoczyli i poprowadzili do samochodu, wzbudzając na lotnisku zrozumiałą sensację. Widok Douglasa, który stał z boku, obserwując całą scenę i udając, że ich nie zna, rozbawił Nicole tak, że zaczęła chichotać.

Z zachowaniem największej dyskrecji dotarli do portu, skąd wynajętym jachtem popłynęli na wyspę doktora Adaira Gibsona. Tę właśnie rajską wyspę, na której się teraz znajdowała.

Jakiś dziwny dźwięk wyrwał ją z zamyślenia. Coś brnęło ku niej przez piasek. Uniosła się na łokciu i spojrzała w kierunku hałasu.

Widok był tak niecodzienny, że przez chwilę miała wrażenie, że śni. Stąpając jak czapla, po rozgrzanym piasku szedł ku niej Douglas w stroju pajaca. O mało

nie roześmiała się na głos. Miał na sobie koszulę malowaną w kolorowe palmy i równie malownicze, długie szorty. Głowę zdobiła mu rozległa panama z wetkniętym za wstążkę ogromnym, czerwonym kwiatem hibiscusa. Zauważył jej zdumienie, zatrzymał się i wykonał taneczny obrót - niczym modelka na wybiegu w czasie pokazu mody.

Potem, ponaglony przez gorący piasek, nagłym skokiem wylądował na leżaku obok.

- Doug, wyglądasz jak...

Zdjął szerokoskrzydły kapelusz, powachlował się nim, i spojrzał na nią z dumą.

- Chciałaś powiedzieć, jak prawdziwy tubylec?

- Bynajmniej. To akurat nie przyszło mi do głowy.

- Może jak nieco zwariowany asystent słynnego naukowca?

- To też nie. Zapomniałaś o gęsim piórze.

Spojrzał na swoje szaty, potem przeniósł wzrok na Nicole.

- Sądysz, że moi doradcy trochę przesadzili?

- Nie, chyba nie, po prostu mnie zaskoczyłaś. Nie wiesz, czy pan Nowy Jork już się wyspał?

- Chyba żartujesz! Śpi jak smok. Całą noc nie zmrużyłem oka, tak chrapał. Ile mu dałaś tych pigułek?

- Nie pamiętam, ale dużo. Byłam tak wściekła, że nie liczyłam. Mogłabym go zabić.

- Wyjdzie z tego żywy, ale to chwilę potrwa.

- A co ja mam teraz robić? Nigdy nie mówiliśmy o tym, co mam zrobić, kiedy znajdziemy się na wyspie.

- Max wszystko opracował.

- Nie wątpię. Tylko nic mi nie powiedział i to właśnie mnie denerwuje.

Douglas wybuchnął śmiechem.

- Zupełnie niepotrzebnie się niepokoisz. Max jest ekspertem.

- Robiliście już takie rzeczy?

- Jasne. Mamy ogromne doświadczenie. Zauważyłaś, jak wszyscy byli wczoraj podnieceni? Robimy takie rzeczy i lubimy je robić, bo zwykle nam wychodzą. Jesteśmy znacznie skuteczniejsi niż policja, bo mamy więcej elastyczności. Możemy nagiąć się do każdej sytuacji i rozegrać ją po swojemu. Nie ma dla nas trudnej sprawy. Nasza firma to gwarancja sprawności.

- Bardzo mnie to cieszy.

- Max to prawdziwy profesjonalista. Wczoraj, zanim padł, powiedział, że masz się rozejrzeć po wyspie. Trzeba cię będzie oprowadzić. Musisz tu znać każdy kąt, czuć się jak u siebie w domu.

- Doskonały pomysł. Wolalabym jednak przede wszystkim wiedzieć, kiedy pojawi się Gillman i co mam wtedy robić. Max mówił mi tylko, że mamy udawać zakochaną w sobie parę.

- Otóż i on. Rychło w czas.

Miała wrażenie, że Douglas wie znacznie więcej, ale nic nie mówi, bo boi się rozgniewać współnika. Zamilkli i zaczęli w milczeniu rozkoszować się słońcem. Po chwili dobiegł ich dźwięk kroków. Nicole nie musiała otwierać oczu; usłyszała, jak Douglas pozdrowia Maxa i powoli odwróciła głowę w kierunku nadchodzącego mężczyzny.

Po piasku sunęła ku nim wysoka postać. Nicole otworzyła oczy i zaraz je zamknęła. Max z daleka wyglądał, jakby był nagi; kiedy podszedł bliżej, dostrzegła, że ma na sobie kąpielówki.

Jęknął, pociągnął łyk kawy z trzymanego w dłoni kubka, i znowu jęknął, po czym wymamrotał słowa powitania:

- Cześć. Jak się macie?

Spojrzała na niego i uświadomiła sobie, że mimo całej intymności ich związku, nigdy dokładnie mu się nie przyjrzała. Był wysoki, długonogi, ogorzały od słońca Montany, ciemnowłosy, bardzo pociągający. Niezwykle, niepokojąco pociągający.

Usiadł obok niej i poczuła jego wzrok na swoim obnażonym ciele. Mogła się założyć, że myśli o tym samym co ona; wspomnienie tamtej nocy spadło na nią gwałtownie i poczuła, że się czerwieni.

Nigdy nie rozmawiali o tym, co między nimi zaszło i sądziła, że tak jest najlepiej. Miała poczucie, że Max zniszczył coś niezwykle cennego, czego nie chciała nazywać ani analizować. Chciała o tym jak najszybciej zapomnieć, ale to nie wszystko.

Było coś jeszcze: za każdym razem, kiedy mówił o Sandrze, wyczuwała w jego słowach dziwny niepokój; początkowo sądziła, że to tylko wytwór jej wybujałej wyobraźni, ale teraz skłonna była sądzić, że to coś więcej. Uniosła ku niemu oczy.

- Jak się czujesz? - zapytała.

- Koszmarnie. Jak po trzydniowym pijaństwie. Co za pigułki we mnie wepchnęłaś?

- Zapytaj Dawida.

- Jakiego Dawida? Ach, rozumiem, naszego pracownika z Houston. - Spojrzał spode łba na Douglasa.

- To tyś go na mnie nasłał?

Douglas z godnością wygładził wzorzystą koszulę.

- Uznaliśmy, że trzeba cię wyciszyć. Byłeś nie do wytrzymania.

Max przecesał ręką włosy i ciężko westchnął.

- To była najgorsza podróż w moim życiu, dlatego byłem może trochę... uciążliwy.

Wyraźnie uznał, że należy im się kilka słów wyjaśnienia.

- Latałem już na dłuższych dystansach; byłem w Australii, w Europie, na Hawajach, w Singapurze, i - nie znoszę tego. Nie przeszkadza mi, że to tak cholernie długo trwa; do szafu doprowadzają mnie te wszystkie lotniska, bramki, okienka, jedzenie, stewardessy, celnicy, ten cały bałagan, tłum i wrzask.

Odczekał chwilę, aż przestaną się śmiać.

- Ile razy właściwie zmienialiśmy samolot?

- Trzy, nie, cztery. Z tym na wyspę cztery.

- Następnym razem musimy wynająć samolot, niech kosztuje ile chce. Gdybym się upierał i nie chciałem tego zrobić, przypomnij mi tę podróż, Doug.

Znowu prześliznął się wzrokiem po ciele Nicole.

W małym żółtym bikini wyglądała tak podniecająco, że postanowił patrzeć jedynie na jej twarz. Tak będzie bezpieczniej. Nie wytrwał jednak zbyt długo w swym postanowieniu i po chwili znowu jego oczy

spoczęły na białym pasemku skóry, wyzierającym zza skąpego staniczka.

Douglas dostrzegł wysiłek, jaki oboje wkładają w to, żeby na siebie nie patrzeć. Znał Maxa bardzo dobrze i wiedział, że jest w stanie uwieść każdą, najbardziej nawet doświadczoną kobietę. Max zawsze wiedział, czego chce, i osiągał to w krótkim czasie.

Teraz było inaczej. Kiedy wrócili z chaty w górach, wyglądało na to, że ją uwiódł. Potem wszystko się skomplikowało. Mas krążył wokół Nicole, jakby na coś czekał albo czegoś się obawiał. Było to tak niezgodne z jego zwykłym sposobem bycia, że Douglas gubił się w domysłach i umierał z ciekawości, ale o nic nie pytał.

Zresztą i tak nie otrzymałby odpowiedzi.

Nicole otuliła się muślinową tuniką. Zawsze to jakaś osłona przed spojrzeniem Maxa.

- Powiedz teraz, czego oczekujesz. Już tu jestem i nigdzie wam nie ucieknę.

Przeniosła wzrok z jednego mężczyzny na drugiego. Spoglądali na nią w milczeniu.

- Słucham, śmiało. Ta historia, którą opowiedzieliście na ranczo, jest może dobra dla mojego taty, ale mnie na to nie nabraliście. Mnie możecie powiedzieć prawdę. Po co właściwie przyjechaliście do Montany?

Max położył rękę na sercu i przybrał komicznie poważną minę.

- Przysięgam, przyjechaliśmy tam jedynie z powodu Bedforda, możesz mi wierzyć. Nie mieliśmy pojęcia o twoim istnieniu. To było przeznaczenie, los, fatum.

- Kismet - dorzucił Douglas.
- Karma - nie pozostał w tyle Max.
- Przypadek.
- Szczęście.
- Fortuna.
- Palec boży.

Spojrzeni na siebie, wyczerpawszy repertuar.

- Nicky chce się dowiedzieć, jak to wszystko ma wyglądać, Max. Powiedziałem, że wprowadzisz ją we wszystkie szczegóły. Ja tymczasem pójdę się przejść, nie jestem wam potrzebny.

Douglas wstał z leżaka, umieścił panamę na głowie, poprawił ją i podreptał w stronę wody.

- Czy on naprawdę jest tak ubrany, czy ja mam halucynacje? - zapytał Max, przecierając oczy.

- Chce wyglądać na tubylca.

Max skończył pić kawę i odstawił kubek na piasek, po czym wykrzywił twarz w niechętnym grymasie.

- Tubylcy mają lepszy gust.

- Dlaczego nikt nie chce mi powiedzieć, czego po mnie oczekujecie? - zwróciła się do niego zniecierpliwionym głosem. - Chyba już najwyższy czas; nie mamy na co czekać.

Twarz Maxa spoważniała.

- Może dlatego, że trudno jest komuś tak po prostu powiedzieć, że naraża się na wielkie ryzyko. Nasza akcja nie jest bezpieczna. To nie będzie piknik, Nicole.

Ugryzł się w język. Nie chciał robić aluzji do ich wspólnej wycieczki w góry Montany; nie chciał przy-

woływać wspomnień, nawet miłych. Nicole udała, że nic nie zauważyła.

- Posłuchaj - mówił dalej - nasi ludzie mają ogromne doświadczenie. Znają swoją pracę, nieraz już uczestniczyli w takich akcjach. Są znakomicie przygotowani i wiedzą, że ich głównym zadaniem jest zapewnienie ci bezpieczeństwa. Na pewno zrobią wszystko, co w ludzkiej mocy. Nie zamierzam jednak cię oszukiwać. Wszystko może się zdarzyć. W tak ryzykownej sytuacji zawsze jest miejsce na błąd człowieka, i o tym trzeba pamiętać. Wystarczy jeden fałszywy krok, jedno zaniedbanie, chwila nieuwagi i grozi ci poważne niebezpieczeństwo. Grozi ci śmiertelne niebezpieczeństwo, Nicole.

- Dziękuję; dobrze, że mi mówisz. Lepiej późno niż wcale.

- Dlatego nie zważając na to, co między nami było, musisz mi przyrzec, że będziesz robiła, co powiem. Będziemy razem pracowali i musisz mieć do mnie zaufanie.

Przez chwilę ważyła w sobie jego słowa.

- W porządku, mów dalej - rzekła po chwili.

- Podstawowa reguła w przypadku tego typu operacji brzmi następująco: nie fantazjować, nie ubarwiać nadmiernie realiów, trzymać się rzeczywistości w maksymalnym zakresie. Masz na imię Nicole i tym imieniem będziemy się posługiwać. Doktor Adair Gibson ma wprawdzie na pierwsze imię Marion, ale ty wolisz nazywać go Max. To znacznie prościej, a Gillmanowi i tak wszystko jedno.

Skinęła głową. Spojrzała na niego pytająco.

- Ale co ja mam właściwie robić? Na czym polega moja rola? Dlaczego ukrywam się na wyspie doktora Gibsona? Dlaczego wcześniej nie zawiadomiłeś policji o tym, że tu jestem? Opowiedz mi coś więcej.

Nagle ogarnął ją niepokój. Nie wiedziała, o co pytać, nie potrafiła określić, czego właściwie chce się od niego dowiedzieć. Poczwała, że nie sprosta zadaniu, którego się podjęła. Wszystko jest takie ulotne i nierzeczywiste; nie wiedziała, od czego zacząć. Chyba zbyt pochopnie podjęła tę decyzję.

- Nie denerwuj się, kochanie, wszystko już się toczy i nic nie można zatrzymać.

Ujął jej rękę i delikatnie uściskał.

- Sandra, czyli ty, ma amnezję i niewiele pamięta. To ja będę mówił i udzielał koniecznych informacji. Ty nie musisz pamiętać żadnych faktów. Oczekuję od ciebie tylko jednego: masz robić wrażenie osoby we mnie zakochanej. To sprawa najważniejsza. W tę właśnie pułapkę ma wpaść Gillman.

- Nie bardzo rozumiem.

- Gillman dokonał zbrodni w swoim mniemaniu doskonałej i za dwa miesiące ma dostać spadek po zmarłej żonie. Wszystko przewidział, o niczym nie zapomniał. Sądzi, że nic mu nie grozi, i pięć milionów, na które liczy, ma już w kieszeni.

- Nieźle.

- Pomyśl, co poczuje, kiedy się dowie, że jego żona żyje, że jego precyzyjny plan nie powiódł się. To będzie dla niego prawdziwy szok. Znamy Gillmana

i wiemy, że jest potwornie zazdrosny o wszystko, co do niego należy, a Sandra była jego własnością. Dlatego musimy pobudzić jego zazdrość i umiejętnie ją wykorzystać. Wtedy się sypnie.

- Nie sądzisz, że zaczniesz coś podejrzewać?

- Oczywiście. Będzie podejrzliwy i niebezpieczny. A kiedy zobaczy nas razem, objętych, zakochanych, syjących w jednym pokoju...

- Co takiego? Powtórz ostatnie słowa.

- Dla niego mamy być zakochaną parą, mężem i żoną. Nie uważasz, że zaczniesz coś podejrzewać, jeśli się dowie, że sypiamy oddzielnie?

- Rozumiem. To znaczy, że jak on przyjedzie, przeprowadzisz się do mojej sypialni?

- Nie. To znaczy, że już to zrobiłem.

Otworzyła usta, zamknęła je, wyswobodziła rękę z jego dłoni. Max skarcił ją wzrokiem.

- Widzisz, co robisz? Nie pozwalasz się dotknąć. Wyraźnie widać, że moja obecność sprawia ci przykrość. Gillman nie jest idiotą, zaraz się zorientuje, że coś nie gra, że to mistyfikacja. Pamiętaj, przez najbliższe kilka dni mamy być razem, dzień i noc. Musisz robić wrażenie kobiety zakochanej i uległej.

- Zaplanowałeś sobie to wszystko jeszcze w Montanie?

- Oczywiście.

- Tak myślałam.

- Nie ma innego wyjścia, kochanie. I nie patrz tak na mnie.

Nicole wstała z leżaka i spojrzała na niego z góry.

- Powiem ci coś. Nigdy nie mów do mnie „kochanie”. Mój były mąż tak mnie nazywał, bo nie pamiętał, jak mam na imię. Nie znoszę tego.

Zerwała z siebie przezroczystą tunikę i pobiegła w stronę morza.

Patrzył za nią, czując, jak krew tętni mu w żyłach. Na opalonym ciele Nicole bikini było tylko skrawkiem żółtego materiału. Widział jej cudownie smukłe nogi, silne łydki, jak u kogoś, kto od dzieciństwa jeździ konno, szczupłą wysportowaną sylwetkę. Przypomnił sobie jej dotyk, sposób, w jaki go obejmowała... Jej dłonie na jego ciele, jej nogi opasujące jego biodra..

Otrząsnął się. Trzeba się wykapać; to powinno ostudzić niewczesne pragnienia i rozjaśnić myśli. Wspomnienie jedwabistej skóry Nicole podziałało na niego jak magnes.

Nicole skoczyła do morza i szybko oddaliła się od brzegu. Nigdy nie pływała w takiej wodzie. Górskie rzeki były zupełnie inne. Kiedyś kapała się w Pacyfiku, ale tam woda była zimna i nieprzyjazna. Teraz czuła się tak, jakby płynęła w płynnym jedwabiu. Wynurzyła głowę, zaczerpnęła powietrza. Tuż obok siebie zobaczyła twarz Maxa.

- Boże, jak tu cudownie...

Max powiódł dokoła wzrokiem. Odwiedzał wyspę doktora Gibsona już nieraz i nigdy nie zauważył jej niezwykłego piękna.

- Tak, ładnie tu, ale nawet w połowie nie tak pięknie jak u ciebie w górach.

Roześmiała się i prysnęła wodą.

- Łatwo ci mówić! Nigdy przecież nie widziałeś naszej zimy.

Odwróciła się i zaczęła płynąć w stronę horyzontu. Widział jej złociste ciało mieniające się w szafirowych załamaniach wody. Ruszył za Nicole, to lekko ją wyprzedzając, to znowu zostając w tyle. Nie wiedział, jak długo płynęli.

Nicole wreszcie zatrzymała się; nagle zdała sobie sprawę, że jest bardzo zmęczona. Max krążył dokoła niej jak delfin, swobodny i wypoczęty.

- Tak właśnie utrzymujesz formę? Pływając całe dni? - zapytała, z trudem łapiąc powietrze.

Położyła się na plecach, żeby odpocząć i wyregulować oddech.

- Tak. Pływanie narzuca pewną dyscyplinę. Po pierwsze, właściwy oddech, spokojny, rytmiczny, dopasowany do ruchów ciała. Ruchy powolne, ale stanowcze. Nie wolno płynąć zbyt szybko i zawsze trzeba myśleć o drodze powrotnej. Doskonale pływasz, ale po prostu nie wzięłaś pod uwagę tego, że słona woda obciąża ciało i człowiek dodatkowo się męczy.

- Nie próbuj mnie usprawiedliwić. Po prostu jesteś silniejszy, sprawniejszy, mocniejszy i lepszy ode mnie.

- Nicky, czy ty zawsze musisz sobie ze mnie kpić?

- Nie rozumiem, o czym mówisz.

Spojrzała w stronę brzegu; znajdowali się bardzo daleko. Palmy nad laguną wydawały się małe i zagubione.

Ruszyła ku nim powoli, płynąc w zgęstniałej nagle wodzie.

Max podążył za nią.

- Zawsze zwracasz się do mnie ironicznym tonem, nigdy nie mówisz inaczej. Dlaczego tak jest?

Wysunął ramię i podtrzymał ją na wodzie.

- Staram się zrozumieć, dlaczego tak mnie traktujesz, Montana. Poznaliśmy się w nieco dziwnych okolicznościach, to prawda. Potem obraziłaś się na mnie, że od razu wszystkiego ci nie powiedziałem. Jest mi bardzo przykro, przepraszam. Ale jak mogłem ci powiedzieć, że myślę, że nie jesteś tym, kim jesteś? Przecież sam nic nie rozumiałem! Potem, gdy już wszystko wiedziałem, nie chciałem robić nic, co mogłoby popsuć to, co zaszło między nami.

Przysunęła się bliżej i objęła go za szyję. Płynęła teraz tuż obok, pozwalając, żeby ją z sobą unosił.

- Nicole, kiedy to wszystko się skończy, możesz się na mnie gniewać, ale teraz dla swojego własnego dobra zapomnij, co złego ci zrobiłem. Musimy współpracować.

- W porządku. A teraz przestań gadać, płyn prosto do brzegu i holuj mnie. Wygląda na to, że nie będę mogła wrócić o własnych siłach.

- Widzisz, czym grozi chęć zwyciężania zawsze, za wszelką cenę?

- Zmęczeniem.

- W najlepszym przypadku, Montana. Czasem nawet śmiercią.

- Przepraszam, ale myślałam, że lepiej płynam. Przeceniałam własne siły, trochę mi wstyd.

- Nie przejmuj się, odpocznij sobie.

Silnymi ruchami ramion zaczął zmniejszać odległość dzielącą ich od brzegu. Płynęła, leżąc na nim i rozkoszując się płynnym jedwabiem muskającym jej ciało.

Kiedy wyczuł stopami grunt, zatrzymał się i zsunął jej ręce z karku. Stali teraz naprzeciw siebie w lazurowej wodzie.

- Przegrałam, poddaję się, panie Nowy Jork. Zrobię wszystko, co każesz, bez szemrania i cienia ironii.

- Dobra, dobra, prędzej uwierzę w duchy, a teraz szybko do brzegu. W tym morzu pełno jest różnych stworzonek, które uwielbiają takie śliczne, małe, białe paluszki.

Nicole podskoczyła, jakby rekin złapał ją za nogę. Potem zrozumiałwszy, że Max zażartował, rzuciła się na niego ze śmiechem, próbując go przytąpić.

13

Poranne żarty i przekomarzania wiele zmieniły. Oczyszczyły atmosferę i pozwoliły Nicole nabrać dystansu do całej tej sprawy. Nagle zrozumiała, że to, co czuje do Maxa, w znacznym stopniu ogranicza jej zdolność logicznego myślenia i tłumi zdrowy rozsądek. Przypisywanie swych uczuć innym osobom musi prowadzić do nieporozumień. Postanowiła trzeźwo ocenić sytuację.

A więc w istocie Max nie powiedział, że uważa ją za kogoś innego. Potem nie wyznał jej, że na początku sądził, iż jest Sandrą. Nic nie mówił, bo nie chciał jej spłoszyć. Wymówka dobra jak każda inna. Podobał jej się i zostali kochankami, co nie znaczy, że Max coś do niej czuje. Cały problem w tym, że ona sama przed sobą nie chce się przyznać,

iz w jej przypadku to coś więcej niż chwilowa fascynacja.

Postanowiła przywołać się do porządku. Myśl, że może między nimi być coś poważniejszego, należy włożyć między bajki.

Maxa i ją dzieli wszystko. Są tak różni jak dzień i noc. Wróci do Montany i zapomni o nim, a przede wszystkim niczego nie będzie żałowała. Nie będzie waliła głową w mur, próbując ustalić, gdzie popełniła błąd, tak jak robiła po rozstaniu z mężem. W tym przypadku wszystko będzie inaczej.

- Słyszysz, co mówię, Nicky?

Spojrzał na nią, rozbawiony roztargnionym wyrazem jej twarzy. Wyglądała zupełnie, jakby przebywała tysiące kilometrów stąd, mimo że szła obok niego.

Chciał jej pokazać wyspę. Musi poznać każdy jej zakątek. Zauważył, że po porannej kąpieli Nicole bardzo się zmieniła; stała się swobodniejsza i bardziej otwarta.

Bawił go sposób, w jaki reagowała na otaczające ją piękno. Zatrzymywała się przy każdym kwiatku, każdy nowy widok wywoływał okrzyki zachwytu.

- Max, to jest raj utracony i my go znaleźliśmy.

Znajdowali się po drugiej stronie wyspy niedaleko portu. Nicole obejrzała się i spojrzała przez ramię na zielone wzgórza i wierzchołki wulkanicznych gór, schodzących wprost do oceanu.

- Cóż za cudowne miejsce! Jak Gibson może stąd wyjeżdżać?

- Musi. Większość czasu spędza w Anglii, gdzie

proceedzi badania nad rakiem. Tam ma szpital i laboratorium. - Max rozejrzał się. - Jest tu rzeczywiście bardzo pięknie, ale w dalszym ciągu uważam, że ta wyspa nie umywa się do twoich gór.

Szła przed nim i dlatego mogła ukryć wrażenie, jakie na niej wywarły jego słowa i fakt, że przedkłada krajobraz Montany nad uroki Karaibów. Kiedy zaczęły schodzić do portu, zrównała się z Maxem i zwróciła do niego:

- Kiedy Helen zadzwoni do Gillmana?

Woda w porcie mieniła się wszelkimi odcieniami błękitu, od jasnego lazuru po ciemny granat. W porcie musi być bardzo głęboko. Uświadomił jej to widok dużego jachtu zakotwiczonego przy nadbrzeżu. Należał do doktora Adaira Gibsona.

- Myśleliśmy, że powinnaś mieć kilka dni, żeby się do wszystkiego przyzwyczaić i wejść w swoją rolę.

Ujął ją za łokieć i ciągnął:

- Helen jest w Miami i czeka na mój sygnał, żeby pojawić się na scenie. Zadzwoni do Gillmana i powiadomi go o cudownym odnalezieniu Sandry. Potem mu powie, że Sandra, niestety, straciła pamięć i nie wie, kim jest.

Gillman przeżyje szok, kiedy to usłyszy. Mam nadzieję, że na twój widok nie dostanie zawału. To byłoby zbyt łatwe i proste.

Helen nie powie mu wiele. Przecież sama nic nie wie, a ponadto jest bardzo przejęta i zdenerwowana. Jej relacja będzie chaotyczna i niepełna. Musi mu tylko przekazać informację, że Sandra znajduje się właś-

nie na tej wyspie. Potem przyleci tu i nasz człowiek się nią zajmie.

- A co będzie, jeśli Gillman nie połknie haczyka?
- spytała Nicole ze wzrokiem utkwionym w, czarnej toni wody.

Dotarli na koniec pomostu i zatrzymali się.

- A jeśli nawet połknie, to skąd będziesz wiedział, kiedy przyjedzie?

- Musi przyjechać zaraz. Natychmiast jak się dowie, znam go. Pamiętaj, że John Gillman jest bardzo przebiegły. Będzie czujny zwłaszcza teraz, kiedy waży się jego losy. Wie, że jest winny, i będzie wietrzył pułapkę. Kiedy ciebie zobaczy, zrozumie, że znalazł się na krawędzi - może stracić spadek i pieniądze, które przyznała mu firma ubezpieczeniowa.

Ponadto żywa Sandra to dla niego bomba zegarowa z opóźnionym zapłonem. W każdej chwili może sobie wszystko przypomnieć, a to oznacza koniec. Będzie musiał skorzystać z okazji, że żona jeszcze nie pamięta przebiegu wydarzeń, i jak najprędzej wywieźć ją z wyspy. Potem, po pewnym czasie, wydarzy się nowy wypadek.

Nicole poczuła, jak zimny dreszcz przebiega jej po plecach. Odkąd znalazła się na wyspie, podświadomie cały czas myślała o Gillmanie. Wywoływał w niej niepokój i uczucie bliskie paniki, zupełnie jakby po raz pierwszy w życiu miała stanąć oko w oko z prawdziwym niebezpieczeństwem.

Ciekawe, że w Montanie o tym nie myślała; dopiero na wyspie wzięły ją we władanie złe przecucia.

Szła zamyślona i zasepiona, z oczami wbitymi w drewniany pomost. Dopiero kiedy Max położył jej dłoń na ramieniu, uniosła głowę. Miała przed sobą smukły maszt białego, dużego jachtu i ciemne, lśniące drewno kadłuba; jakiś mężczyzna zawzięcie szorował pokład. Poznała jednego z ochroniarzy, którzy wyszli po nią na lotnisko.

- On naprawdę pracuje, czy jest tu po to, żeby nas obserwować?

- Nie nas, tylko ciebie, Nicole. Nawet kiedy z tobą jestem, oni i tak cię chronią. Przez cały czas nie spuszczają cię z oka.

- Bardzo dobrze.

Powiedziała to z całkowitym przekonaniem, bez cienia ironii. W chwili, kiedy zdała sobie sprawę z powagi sytuacji, zrozumiała, jak bardzo jest ważne, by wszyscy traktowali poważnie swe obowiązki.

Podeszli do jachtu i Max się zatrzymał.

- Nicky, to jest James Thames, nazywamy go Wielki Jim. Kiedy Gillman się tu zjawi, Jim będzie stale przy tobie. Jest specjalistą od walki wręcz, świetnie zna się na broni i materiałach wybuchowych. Nie daj się zwieść jego posturze; mimo wzrostu jest szybki i zwinny jak kot.

Mężczyzna starannie wytarł rękę w robocze ubranie i przywitał się z Nicole. Odpowiedziała mu uśmiechem. Wielki Jim natychmiast wzbudził jej zaufanie.

- Niczego się nie będę bała, kiedy Jim będzie w pobliżu - rzekła spokojnie.

Mężczyzna odwzajemnił uśmiech i poczuła, że serce Jima wielkością dorównuje jego postaci.

Ruszyli dalej.

- Jakich ludzi masz jeszcze na wyspie? Dotychczas poznałam czterech.

- Razem z Dougiem jest nas osiem osób. Trzech przebywa na wyspie świętego Tomasza. Czekają na Helen i Gillmana, i przyjadą dopiero z nimi. Jeden przywiezie tu Helen zaraz, jak tylko wyląduje, a dwaj inni poczekają na niego.

Zaczął wyliczać na palcach.

- Na lotnisku spotkałaś trzech ochroniarzy, Jima, LeRoya i Elvisa. To twoja osobista ochrona. Zawsze będą przy tobie. Paul i John zapewnią nam obsługę techniczną, kamery, wszelkiego rodzaju aparaturę i tak dalej. Karen, osoba niezwykle zdolna, będzie pełniła rolę kucharki. Umie gotować, a ponadto jest elektroniakiem, poliglotką i doskonale strzela.

Jest jeszcze Andy Harris, już ją widziałaś. Drobna, filigranowa blondyneczka, wygląda jak mała dziewczynka. Jest ekspertem od podsłuchu, a do tego świetnie rzuca nożem. Poproszę, żeby ci dała kilka lekcji.

Nicole spróbowała się uśmiechnąć.

- Nie żartuj, rzucam nożem od dzieciństwa. Kiedy miałam dwanaście lat, wygrywałam wszystkie nagrody na festynach w naszym mieście. Nikt mi nie dorówna. Sama ją mogę nauczyć kilku sztuczek.

Im dłużej mówił, tym bardziej czuła się przerażona. Niebezpieczeństwo musi być ogromne, skoro Max an-

gażuje taki sztab ludzi. Nie może mu pokazać, jak bardzo się boi; nie jest przecież taką przewrażliwioną, delikatną istotą, jaką była jej siostra.

- Cały dzień mam wrażenie, że jesteśmy pod obserwacją - powiedziała sztucznie obojętnym tonem.

- Bo jesteśmy. Wszystkie wnętrza i niektóre miejsca na zewnątrz są monitorowane. Kamery rejestrują każdy twój ruch. Kiedy Gillman się pojawi, oprócz tych kamer, stale ktoś przy tobie będzie.

Nie powiedział nic nowego, ale jej strach jeszcze wzrósł. Zatrzymała się, widząc, że dochodzą już do domu, i spojrzała Maxowi poważnie w oczy.

- Myślisz, że on będzie próbował mnie zabić?

Nadeszła godzina prawdy. Zrozumiał, że musi jej to powiedzieć; sprawy zaszły już za daleko. Nie chciał przestraszyć Nicole, pragnął tylko, żeby zdała sobie sprawę z grożącego jej niebezpieczeństwa i przez cały czas miała się na baczności.

Lepsza nadmierna ostrożność niż jej brak. Świadomość, że jest otoczona agentami ochrony, nie może uśpić jej czujności. W każdej chwili musi spodziewać się ataku, w przeciwnym razie zginie.

- Jeśli Gillman się zorientuje, że to mistyfikacja i że gramy komedię, jego wściekłość skieruje się w pierwszym rzędzie przeciwko tobie. Zabije cię i nic mu nie udowodnimy.

- Przecież będą taśmy, filmy, nagrania...

- To bez znaczenia, jeśli uda mu się uciec. Pamiętaj, że Gillman w swoim czasie służył w jednostkach specjalnych. Potrafi robić rzeczy, o jakich nam się nie

śniło. Może zniknąć, kiedy zechce. Ale ty wtedy już nie będziesz żyła.

- Dzięki, świetna perspektywa.

Usiadła na jednym z leżaków stojących na patio i zapatrzyła się w błękitne wody basenu. Max pochylił się nad nią.

- Myślałaś, że to będzie kaszka z mlekiem? Taka sobie bajeczka? Zagrasz rolę Sandry i dostaniesz za to sto tysięcy dolarów? W życiu tak nie ma, każde dziecko to wie; sama tak powiedziałaś.

- Wiem, wiem, wszystko wiem. Nie wiedziałam tylko, że tak bardzo się przestraszę.

- Ty? Przecież ty się niczego nie boisz! Ani ludzi, ani zwierząt. Tupniesz i niedźwiedź zmyka z podwiniętym ogonem.

Zerknęła na niego spod oka.

- Reed ci powiedział? Co on ci jeszcze naopowiadał? I co za to chciał?

Max przybrał poważny wyraz twarzy.

- Chciał mieć u mnie wikt i opierunek, kiedy ucieknie z Montany i przeniesie się do Nowego Jorku.

Roześmiał się, patrząc na jej osłupiałą minę.

- Co? On? Ty? Nigdy!

Nicole nagle odrzuciła głowę do tyłu i zawtórowała mu śmiechem.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- A ty z czego się śmiejesz?

- Gdyby... gdyby... - wykrztusiła - jego matka dowiedziała się, że go namawiasz do opuszczenia domu. ... miałbyś się z pyszna... Nie znasz jej.

Obserwował ją kątem oka. Dobrze, że się śmieje. Może to pomoże jej się odprężyć i rozluźnić, zmniejszy przerażenie. Bo przed chwilą zaczął już wątpić w słuszność swojego wyboru. Stracił pewność, że Nicole podoła zadaniu, jakie na nią nałożył. Gillman to bardzo poważny przeciwnik, można się po nim spodziewać najgorszego. Nikt nie może przewidzieć, jak się zachowa, kiedy zobaczy swą zmarłą żonę.

Około dziesiątej Nicole była już tak wyczerpana, że miała ochotę płakać. Ekipa kręciła się po domu, zaglądając w każdy kąt, sprawdzając i instruując. Kiedy o coś pytała, patrzyli na Maxa, jakby czekali na jego reakcję. Tak jakby to on kontrolował każdy jej krok, każde posunięcie, całe jej życie.

Po pewnym czasie miała tego dość.

Czuła się zupełnie jak postać ze swego ulubionego filmu, „My Fair Lady”, kiedy to biedna Eliza Doolittle musi znosić uwagi Higginsa. Tylko że ona, Nicole, miała przy sobie pięciu Higginsów, którzy ją pouczali, poprawiali i krytykowali. Chcieli jej wmówić, że powinna chodzić, uśmiechać się, jeść i pić jak Sandra.

Próbowała się bronić: przecież ma amnezję, nie pamięta, jak zachowywała się w poprzednim życiu. Patrzyli na nią z politowaniem i wszystko zaczynało się od początku. W pewnym momencie tak ją zgnębili, że zakryła twarz rękami i uciekła do swojego pokoju.

Zamknęła oczy. Ciepła woda i pachnąca piana nieco ją uspokoiły. Wyciągnęła się wygodnie w wannie, próbując się odprężyć. Na wspomnienie słów Maxa

poderwała się i podciągnęła kolana pod brodę. Przecież wszędzie są kamery...

Zza drzwi łazienki dobiegł ją odgłos kroków.

- Max, to ty?

- Tak.

- Wejź tu na chwilę.

Zastukał.

- A można?

Skuliła się jeszcze bardziej.

- Tak.

Wsunął głowę i nerwowo przełknął ślinę. Nicole wyglądała tak ślicznie, że przez chwilę miał ochotę odwrócić się i uciec. Albo wskoczyć do niej, do wanny.

Przypomniał sobie o czekającej go nocy tortur.

- Co się stało? Podać ci ręcznik?

- Nie. Chciałam cię zapytać, czy tu też są kamery?

- W łazience? Nie. To dlatego tak siedzisz z kolanami pod brodą?

Czuł się jak podniecony nastolatek.

- Nie ma kamer w łazience i w naszej sypialni.

Westchnął i wyszedł z łazienki. Właściwie powinien wziąć zimny prysznic, ale to niemożliwe, dopóki Nicole tam jest...

Nicole z przyjemnością zanurzyła się w ciepłej wodzie. Nagle zapragnęła znaleźć się w domu, w Montanie. Jak najdalej stąd. Jest tu zupełnie nie na miejscu. Im bardziej zbliża się godzina przyjazdu Johna Gillmana, tym bardziej chce uciec.

Nie wiedziała, jak długo siedziała w wannie. Do-

piero kiedy woda już wystygła, wstała i zaczęła się wycierać.

Max, opasawszy ręcznikiem biodra, szukał w szufladzie czegoś, w co mógłby się ubrać. Wyjął niebieską, jedwabną piżamę i właśnie debatował, czy najpierw włożyć górę, czy dół, kiedy do sypialni wtargnęła Nicole.

- Ja mam w tym spać? Przecież to straszne! Skąd wyście wystraszały coś takiego?

Z wyrazem pogardy i obrzydzenia patrzyła na swój strój. Miała na sobie powłóczystrą szatę z białego jedwabiu; cienkie ramiączka opadały jej z ramion, niemal odsłaniając piersi, materiał ściśle opinał ciało, spływając na podłogę rozłożystym trenem. Ze wstrętem dotknęła leżącej się materii.

- Nie ma tu nic... normalnego?

Stała przed nim, zbyt zdeglustowana, żeby zauważyć wyraz jego twarzy. Kiedy wreszcie zauważyła, złapała jedwabistą poję koszuli i zawinęła się w nią zamaszystym ruchem.

Potem wyrwała mu górę od piżamy z ręki i zniknęła za drzwiami łazienki, zostawiając za sobą zapach gardenii i szum jedwabnej materii. Max otarł czoło, głęboko westchnął i włożywszy spodnie od piżamy, szybko wskoczył pod kołdrę.

Wróciła zapięta pod szyję, z miną pensjonarki. Długie, smukłe nogi widoczne spod kusego okrycia dodawały pikanterii nowemu przebraniu. Max nie mógł się zdecydować, kiedy Nicole wygląda bardziej seksownie: nago czy w gorze od męskiej piżamy... Czuł, że ciśnienie mu rośnie.

Nicole położyła się z samego brzegu, po swojej stronie łóżka. Z natury nie była wstydliva, ale przy Maksie zawsze czuła się naga. Podciągnęła kołdrę wysoko pod brodę i przymknęła oczy.

- Dzisiejszy wieczór dowiódł, że mamy jeszcze mnóstwo do zrobienia.

Głos Maxa sprawił, że zwróciła ku niemu twarz.

- Za każdym razem, kiedy cię dotykam albo po prostu się zbliżam, odskakujesz jak oparzona. Robisz to zupełnie nieświadomie, ale efekt jest oczywisty. Musisz nad tym zapanować. Gillman natychmiast zauważy, że gramy komedię, i wszystko przepadnie.

Wsunął się głębiej pod kołdrę, tak że ich głowy znalazły się na tym samym poziomie.

- Wygląda, jakbyśmy nigdy nie byli ze sobą blisko, jakbyśmy byli dwojgiem obcych ludzi. Trzeba to zmienić. Powiedz, czy jeszcze gniewasz się na mnie, że nic ci nie powiedziałem o Sandrze i o Bedfordzie?

- Nie, raczej nie.

- Nie brzmi to zbyt optymistycznie.

Wyczytał z jej twarzy, że coś ją gnębi.

- Co się stało? Chcesz się wycofać?

- Nie, nie o to chodzi. Ja po prostu... Ja tego dłużej nie zniosę, Max. Jestem wykończona, wszyscy bez przerwy mnie pouczają, dręczą, krytykują i mówią, co mam robić. Wiem, że ci twoi ludzie, Karen, Paul i Andy, chcą jak najlepiej, ale ja nie mam zamiaru zmienić swojej osobowości! Nie jestem nieśmiała, wyciszona i wrażliwa. Jestem jaka jestem. Nigdy nie będę mówiła z takim akcentem jak Sandra, bo to jest... takie... bez-

nadziejnie południowe - dokończyła, i uderzyła pięścią w poduszkę.

Po chwili milczenia dodała:

- Wiesz, co Karen powiedziała? Że muszę inaczej chodzić! Powinam sunąć, a nie maszerować tym swoim zamaszystym krokiem! Jak mi dadzą wrotki, to będę sunąć. Każdy człowiek chodzi, jak umie, nie można go zmuszać, żeby to zmieniał. Co jest złego w sposobie, w jaki się poruszam, powiedz?

Nie miał wiele do powiedzenia. Bardzo mu się podobał jej chód. Miała posuwisty, szybki krok, podobały mu się taneczne ruchy jej bioder...

W ciągu dnia był zbyt pochłonięty instalacją aparatury, żeby obserwować działania reszty personelu. Nie wiedział, że aż tak dali się Nicky we znaki.

- Jesteś potwornie zestresowana - rzekł ze współczuciem.

Nie od razu go usłyszała.

- Nic z tego nie będzie. Ja... - Urwała i spojrzała na Maxa. - Co powiedziałaś?

- Jesteś bardzo zmęczona i napięta, musisz się odprężyć. We właściwym czasie wszystko pójdzie dobrze, zobaczysz. Wierzę w ciebie, Montana.

Spojrzała na niego podejrzliwie.

- Mówisz tak, bo chcesz mnie udobruchać i coś z tego mieć dzisiejszej nocy. Zapamiętaj sobie, nic z tego.

- Nawet mi to do głowy nie przyszło - skłamał bez zająknięcia.

- Jasne. To dlatego tak się na mnie gapiłeś, jak

miałam na sobie tamtą jedwabną szmatę? Dlatego tak od razu wskoczyłeś pod kołdrę, dlatego teraz tak się na mnie patrzysz...

- Wolno chyba pomarzyć, prawda? Zresztą, zapomniałem ci powiedzieć, że na lotnisku w St. Louis kupiłem cztery tuziny prezerwatyw.

Roześmiała się.

- Wszystko dlatego, że nic ci nie przyszło do głowy, prawda?

Dłuższa rozmowa na ten temat wróżyła same komplikacje. Max postanowił ją przerwać. Schylił się i podniósł z podłogi album.

- Uświadomiliśmy sobie dzisiaj z Dougiem, że ty nawet nie wiesz, jak Gillman wygląda. Helen na pewno nie nosi z sobą jego zdjęć, a nam dotychczas nie przyszło do głowy, żeby ci go pokazać. Tutaj masz jego fotografie, musisz się im przyjrzeć.

Podał jej album.

Nicole zawahała się. Wiedziała, jakim typem człowieka jest Gillman. To jej wystarczy, nie musi go oglądać. Wiedziała, jak postąpił z jej siostrą, ale fakt, że Sandra była jej siostrą, niewiele zmienia. Nie czuła się związana z Sandrą. Odnosiła wrażenie, że ofiarą Gillmana padł obcy człowiek.

Musiała jednak zajrzeć do albumu. Jeśli tego nie zrobi, Max zacznie pytać. Przygryzła wargi i otworzyła album. Przeszył ją dreszcz. Wstrząs był tak silny, że drgnęła.

Była zdumiona własną reakcją. John Gillman był bardzo przystojny. Ciemne włosy, czarne oczy, silnie

zarysowana szczęka; ciało musi mieć równie idealne jak twarz.

Jego charakter jest zaprzeczeniem wyglądu. Na zewnątrz jest doskonale przystojny, jak filmowy gwiazdor czy model; w środku zaś zły, brutalny i cyniczny.

Jest okrutny.

To słowo, zwykle rezerwowane dla dzikich zwierząt, przyszło jej automatycznie do głowy na widok pierwszego zdjęcia.

Poczuła, że się przeobraża, że zachodzi w niej coś, co odmienia jej stosunek do całej tej historii. Przestała się czuć jak osoba przypadkowo wplątana w sytuację, której może nie sprostać.

Zrozumiała, że ma przed sobą dzikie, okrutne zwierzę, które zabija. Nieznany okaz zwierzęcia, które zabija nie po to, aby przetrwać, ale - dla przyjemności. Takie zwierzę należy unieszkodliwić: wytropić, podejść i zlikwidować.

Wiedziała, że to potrafi; nieraz brała udział w polowaniu i znała jego reguły. Nagle znalazła się na pewnym gruncie.

Max ma rację. Trzeba przeanalizować i przemyśleć całą akcję w najdrobniejszych szczegółach i dobrze przygotować się do polowania. Poznanie obyczajów, zachowań i reakcji przeciwnika jest najważniejsze. Potem pozostaje już tylko celny strzał. W walce na śmierć i życie zwycięzcą pozostaje ten, kto jest bardziej przebiegły, a nie - silniejszy albo szybszy.

- No i co? Jak ci się podoba?
- Może być.

Spodziewał się zupełnie innej odpowiedzi. Kobiety, którym pokazywał zdjęcie Gillmana, zwykle rozchodziły się nad jego wyglądem. Wziął album z rąk Nicole i położył go na podłodze, po czym delikatnie dotknął jej ramienia.

- Dlaczego tak się zamyśliłaś?

Chciała się otrząsnąć, wrócić do równowagi, lecz szok był zbyt głęboki. Z trudem wymawiała słowa.

- Przepraszam, ale... chyba... coś... się stało.

Próbowała się uśmiechnąć, lecz nie mogła. Leżała w łóżku obok mężczyzny, który po raz pierwszy od dwóch lat sprawił, że poczuła się kobietą, i tak była spięta, że nie mogła wykrztusić słowa. Coś z tym trzeba zrobić.

Zebrała się na odwagę i spytała:

- Naprawdę kupiłeś cztery tuziny prezerwatyw, czy tylko tak żartowałeś?

- Tak, nie - odpowiedział na oba pytania naraz.

- Może moglibyśmy troszkę zmniejszyć ich liczbę...

Nie czekając na odpowiedź, objęła go i pocałowała. Mimo zaskoczenia, zareagował natychmiast. Jego usta rozchyliły się, dłonie wsunęły pod piżamę Nicole.

Usłyszał jej szept:

- Co się dzieje, panie Nowy Jork?

- To, co zwykle. Już ci miałem mówić, żebyś nigdy więcej nie wkładała bikini.

Uśmiechnął się i poddał jej pieszczotom. Uwielbiał sposób, w jaki dłonie Nicole wędrowały po jego ciele, pewne i doświadczone, a zarazem czułe i delikatne.

- Jeśli nie przestaniesz, będziesz miała kłopoty.

- Uwielbiam takie kłopoty, ale... Poczekaj!

Próbowała wyswobodzić się z jego objęć, ale jej nie puścił.

- Max, czy tutaj na pewno nie ma kamer?

Przewrócił ją na plecy.

- Zabiłbym ich i oni o tym wiedzą.

Gdy księżyc oświetlił jego twarz, ujrzała ciemne, pełne pożądania oczy.

- Teraz już cię nie wypuszczę. Będziemy się kochać długo i powoli, i tak gorąco, że roztopimy się w sobie, a wszystko, co było dotąd, zniknie i nigdy nie wróci.

Odpowiedziała mu długim pocałunkiem. Czuła, że w miarę jak go całuje, zaciera się obraz Gillmana, a strach blednie, wypalony przez pożądanie. Przytuliła go mocniej, objęła ramionami.

Odsunął się nieco, żeby na nią spojrzeć.

Księżyc perłowym blaskiem podkreślił niezwykłą urodę kobiety, którą trzymał w ramionach. Wyglądała tak, jak w jego wspomnieniu o tamtej nocy, wyglądała właśnie tak, jak chciał, żeby wyglądała zawsze.

Patrzyła na niego, widząc w jego oczach to, co widzieć nade wszystko pragnęła. Zaczęła go całować, zapominając o wszystkim, co się kiedykolwiek wydarzyło.

Max również całował ją w jakimś dziwnym zapamiętaniu. Tak jakby nikogo przedtem nie całował, jakby nigdy dotąd nie całował kobiety. Czuł, jak cała jego

samotność i zniechęcenie roztopiają się w zetknięciu z ciałem tej jednej jedynej istoty.

Nicole objęła jego biodra i przyciągnęła go ku sobie. Stali się jednym ciałem, poruszonym tym samym rytmem zdyszanych oddechów. Pożądanie trawiło ich ciała, aby w końcu wybuchnąć snopem ognia.

Max uniosł się i przykrył ich kołdrą. Nicole leżała bez ruchu w jego ramionach, lekka i bezpieczna. Poczował, że nareszcie znalazł to, czego szukał. Wsparł się na ramieniu i spojrzał na nią; kąciaki ust Nicole uniosły się w uśmiechu.

- Z czego się śmiejesz?

- Jak to się dzieje, że zawsze zaczynamy z zamiarem kochania się przez kilka godzin, a potem wszystko tak szybko się kończy?

Uśmiechnął się.

- Noc jeszcze trwa, a dzisiaj nie muszę uciekać z twojej sypialni.

Spoważniał i dodał:

- Pozwól mi tylko chwilę odpocząć, a potem zobaczysz.

Nie należał do mężczyzn, którzy rzucają słowa na wiatr.

Kiedy po raz trzeci odpoczywali przytuleni do siebie, Nicole nagle uniosła głowę.

- Max...

Otworzył oczy, spodziewając się zwykłego w takich przypadkach pytania, dotyczącego aktualnego stanu męskich uczuć.

- Możesz jutro pogadać z Karen i Andy? Powiedz im, żeby mi nie wyskubywały brwi. I jeszcze jedno: schowały mi spodnie i długie buty... Chcę, żeby mi je zwróciły.

Po prostu zapomniał, że Nicole jest zupełnie inna niż wszystkie kobiety, które dotąd znał.

scandalous

14

W chwili przebudzenia uświadomiła sobie, że leży w ramionach mężczyzny. Nie znała takiego uczucia. Jej były mąż nigdy nie przytulał się do niej we śnie. Mówił, że jest mu za gorąco.

Maxowi też było gorąco, tylko może w nieco innym znaczeniu. Spojrzała na jego nagie ciało i lekko poraszyła nogą, ocierając się o niego; reakcja znowu była natychmiastowa.

- Cóż za urocze przebudzenie - mruknął, otwierając oczy. - I jaka miła zachęta...

- Gotów jesteś przyjąć zaproszenie? Nawet po tak pracowitej nocy?

- Jestem gotów zawsze i na wszystko. Potrzebujesz dowodów?

Nicole nie odpowiedziała.

Wyciągnął ramię spod jej głowy i oparł się na poduszce.

Przesunęła palcem po jego ustach.

- Nie chciałabym się wydać zbyt łakoma...

Ujął jej dłoń i ucałował wewnątrz.

- Uwielbiam kobiety, które mają dobry apetyt.

- Nigdy nie narzekałam na apetyt. Roger, mój były mąż...

Zakrył jej usta dłonią.

- Nic nie mów. Nie chcę słyszeć, co twój były mąż mówił albo robił. Z góry mogę powiedzieć, że umiejętnie tłumił wszelkie twoje zalety.

- Zgadłeś. Uważaj, Max, jeszcze cię naprawdę polubię.

Przesunął palcem po jej karku. Mruknęła jak kotka.

- Marzę o tym.

Drgnęła pod dotknięciem jego ręki.

- Właściwie już cię lubię.

Poczuła rękę Maxa na swojej piersi.

- I chciałbym, żebyś mi ufała.

- Nie przeciągaj struny...

Oboje podskoczyli, słysząc pukanie do drzwi. Było lekkie, ale stanowcze.

- Max! Obudź się, Max! Słyszysz mnie?

Poznali stłumiony głos Douglasa.

Max łakomym wzrokiem obrzucił piersi Nicole i z pełnym zawodu westchnieniem wstał z łóżka. Włożył spodnie od piżamy i niechętnie poszedł otworzyć drzwi.

- Mam nadzieję, że sprowadza cię coś ważnego, Doug.

- Mamy kłopoty, stary. Potrzebujemy twojej rady i pomocy.

Max spojrzął na przegub dłoni i uświadomił sobie, że położył zegarek na nocnym stoliku.

- Która godzina?

Douglas wysunął do przodu głowę, próbując zajrzeć do pokoju. Max zatarasował drzwi.

- Już późno, dochodzi ósma. Zaspałeś.

Max zasłonił sobą widok łóżka.

- Co się stało? Po co ten alarm?

- Pogoda się psuje. Paul powiedział, że będzie wiatr i ma padać deszcz. Warunki mogą być nie sprzyjające.

Było oczywiste, że nie chodzi mu tylko o pogodę. Musiało wydarzyć się coś jeszcze.

- Mów wszystko. Masz jakieś złe wiadomości?

- Właśnie dzwoniła Helen. Tak jak się umówiliśmy była w Miami, gotowa w każdej chwili wsiąść do samolotu, jak tylko damy sygnał. Czekwała na nasz telefon w hotelu przy lotnisku.

Max podskoczył. Czas przeszły użyty przez przyjaciela zelektryzował go.

- Jak to „była”? Chyba stale jeszcze jest w Miami?

Douglas zmarszczył czoło.

- Wybrała się na lotnisko, żeby kupić gazety, i zgadnij, kogo spotkała? Możesz strzelać, trafisz bez pudła.

- Nie powiesz mi, że spotkała Johna Gillmana.

Douglas był zbyt zaniepokojony rozwojem wypadków, żeby się cieszyć z zaskoczenia Maxa.

- Spotkała właśnie Gillmana.

Zapadła pełna napięcia cisza. Po chwili w drzwiach ukazała się Nicole. Wychyliła się zza pleców Maxa, próbując ukryć przed Douglasem swój niekompletny strój.

- Z Helen wszystko w porządku? - spytała przestraszona.

Nie obchodził jej Gillman ani ta ich cała skomplikowana operacja. Dla niej najważniejsza była Helen.

- Nic jej się nie stało? - powtórzyła z rosnącym niepokojem.

- Nie, nic. Helen to szczwany lis i niezła aktorka. Nie można jej zaskoczyć.

Douglas popchnął drzwi, żeby zobaczyć więcej. Nerwowym ruchem zdjął okulary, potem przeczesał włosy.

- Dzień dobry, Nicole - powiedział. - Nie martw się, Helen czuje się świetnie. Nic jej się nie stało.

Max odzyskał głos.

- A co z Gillmanem?

- Helen minęła się z powołaniem. Mogłaby być naprawdę wielką aktorką.

Max skrzywił się.

- Możesz mówić wprost?

- Załatwiła go. Odegrała przed nim piękną scenę. Niby bardzo się zdenerwowała na jego widok, a kiedy zapytał, co robi na lotnisku, zaczęła kręcić i zaraz dostała ataku nerwowego. Gillman musiał się zdziwić, kiedy zobaczył, jak jego teściowa, zwykle tak twarda

i opanowana, płacze jak dziecko. Była bardzo przekonująca.

Gdy przerwał, Max ponaglił go spojrzeniem.

- Dobrze, dobrze, już mówię, tylko mnie nie popędzaj. To szlochając, to histerycznie się śmiejąc, Helen powiedziała Gillmanowi, że Sandra żyje. Potem dodała, że cierpi na amnezję, nic nie pamięta i nie wie, kim jest. Najpierw nie chciał uwierzyć, ale potem wszystko do niego dotarło.

Oczywiście, zaraz wpadł we wściekłość, że o wszystkim nie dowiedział się natychmiast. Helen wytłumaczyła mu, że sama nie była pewna, czy to prawda i najpierw chciała sprawdzić tę wiadomość. Żeby swoją relację uczynić bardziej wiarygodną, dała mu do zrozumienia, że nigdy go nie lubiła, ale kryła się z tym ze względu na dobro córki.

Pod koniec jej występu Gillman zażądał, żeby mu powiedziała, gdzie obecnie przebywa Sandra. Najpierw odmówiła, a potem znowu zaczęła kręcić. Z wielkim trudem wyciągnął z niej w końcu nazwę naszej wyspy. Gdyby to ode mnie zależało, przyznałbym jej Oscara za grę aktorską. Spisała się znakomicie. A najważniejsze, że Gillman połknął przynętę. Chciał lecieć tu do nas z Helen najbliższym samolotem, a ponieważ stanowczo odmówiła, zarezerwował sobie miejsce na następny lot. Niedługo będą tu oboje.

Douglas spojrzął na zegarek.

- Wszystko wskazuje na to, że Helen wylądzuje na wyspie świętego Tomasza za godzinę, a Gillman nieco

później pojawi się na Virgin Gorda. Nasi ludzie zaraz ją tu przywiozą. Gillman będzie musiał sobie wynająć jakąś łódź, co zajmie mu trochę czasu, ale niewiele. Tak czy owak, nasza akcja została przyśpieszona. Ten łobuz niedługo tu będzie.

- Zgodnie z pewnym porzekadłem.

Nicole pytająco spojrzała na Maxa.

- Z jakim porzekadłem?

- Morderca zawsze wraca na miejsce zbrodni. -

W głosie Maxa brzmiał z trudem tłumiony gniew. -

Ten łajdak, jak zwykle, wszystko przewidział. Wyspa świętego Tomasza należy do Stanów Zjednoczonych, Virgin Gorda jest wyspą brytyjską. Amerykańskie prawo tam nie sięga. To właśnie tamtejsze władze prowadziły śledztwo w sprawie śmierci Sandry. Gillman bez trudu dał sobie z nimi radę.

Widać było, że Nicole nie bardzo rozumie.

- Planując zamordowanie Sandry - wyjaśnił Max - wziął pod uwagę fakt, że nie będzie podlegał amerykańskiej jurysdykcji. Zabił ją niedaleko wyspy należącej do Wielkiej Brytanii. Wyprowadził w pole miejscową policję.

- A do kogo należy nasza wyspa? - zapytała niezupełnie żartobliwym tonem Nicole.

Douglas roześmiał się i odetchnął z ulgą.

- Na szczęście, wyspa Adaira Gibsona jest amerykańska. Nasz doktor pracuje w Londynie, ale mieszkać lubi na terytorium amerykańskim.

Max lekko się uśmiechnął.

- Wyobrażacie sobie, jak ten łajdak musiał się

zdziwić, kiedy usłyszał rewelacje Helen? To pewnie dla niego niezły szok. Co wcale nie znaczy, że przestał być czujny. Przeciwnie, natychmiast zaczął planować nowe morderstwo. Jak zwykle, woli zrealizować swoje plany na terytorium brytyjskim. Nic go nie zatrzyma. Doprowadzi sprawy do końca, bo stawka jest zbyt duża, żeby się cofnąć.

- Przejdzie po moim trupie. Tak jak przeszedł po trupie Sandry.

Nicole powiedziała to takim tonem, że obaj spojrzeli na nią z przerażeniem.

- Tylko tak żartowałam - wyjaśniła, widząc ich wzrok.

Douglas poprawił okulary i chrząknął.

- Max nie lubi, jak się żartuje ze śmierci Sandry. To dla niego zbyt poważny temat.

Max lekko wypchnął go za drzwi.

- Na razie cześć, Doug. Mam nadzieję, że zawiadomiłeś wszystkich naszych ludzi?

- Oczywiście.

Max przytrzymał drzwi ręką.

- Ile czasu nam zostało?

- Powinien dotrzeć na naszą wyspę około południa. Po wylądowaniu na Virgin Gorda musi wynająć łódź i dowiedzieć się, jak tutaj dopłynąć. To zajmie mu trochę czasu.

Douglas chętnie jeszcze by coś dodał, ale zamknęło mu drzwi przed nosem.

- Max, posłuchaj...

Nicole powiedziała to bardzo spokojnym tonem.

- Wszystko w porządku, panie Nowy Jork, jestem gotowa jak wy wszyscy. Może tak nawet lepiej.

- Co masz na myśli?

- Nie będziesz musiał mówić Karen i Andy, żeby mi nie wyskubywały brwi, bo po prostu nie będą miały na to czasu. Ale spodnie i długie buty mają mi oddać, i to zaraz.

Objął ją ramieniem.

- Ubierzmy się i chodźmy coś zjeść.

Wiedziała, że teraz będzie obcy, zamknięty w sobie i daleki, tak jakby znajdował się tysiąc kilometrów od niej. Będzie skupiony i dokładny, precyzyjny jak maszyna. Teraz liczyć się będzie tylko praca.

Kiedy Gillman się zjawi, ona, Nicole, stanie się jedynie środkiem prowadzącym do celu. Przynętą w pułapce, w którą wpadnie zbrodniarz. Nagle zrobiło jej się zimno. Max obsesyjnie chce złapać Gillmana, i nie wchodzi tu w grę jedynie pragnienie sprawiedliwości. Przecież to oczywiste. Zdziwiła się, że dotąd nie spostrzegła tego tak bardzo wyraźnie.

Czuła się jak piąte koło u wozu. Nikt jej nie potrzebował. Mogła iść, dokąd chce i robić, co chce. Rzecz w tym, że nie miała dokąd iść i - co robić. Wszyscy przygotowywali się na przyjęcie Gillmana, nie zwracając na nią najmniejszej uwagi. Postanowiła zejść im z drogi i powędrowała na patio.

Douglas siedział na leżaku, grzebiąc w teczce z papierami, którą miał na kolanach. Zdażyła już się zorientować, że praca agencji „Warner i Hart” w głównej

mierze polega na przedzieraniu się przez gąszcz dokumentów i fotografii.

Usiadła obok na ogrodowym krześle. Douglas natychmiast, znanym jej już nerwowym ruchem, zerwał z nosa okulary i przejechał dłonią po włosach.

- Max bez przerwy sprawdza aparaturę - wyjaśniła, widząc, że Douglas szuka wzrokiem jej anioła stróża. - A Wielkiego Jima posłałam po coś do jedzenia.

Douglas zaczął upychać papiery w teczce; kilka zdjęć spadło na ziemię.

Schyliła się, żeby mu pomóc zebrać rozsypane fotografie.

.- Nie powinnaś wydawać mu żadnych poleceń, a on nie powinien cię słuchać. Takie są zasady. Nasi ludzie mają słuchać tylko Maxa.

Nicole wzruszyła ramionami.

- Daj spokój, Doug. Przecież Gillman jeszcze nie przyjechał. A zresztą jestem z tobą, więc nic mi się nie stanie.

Mimochodem rzuciła okiem na trzymane w ręku zdjęcie.

- To jakieś nowe, nigdy tego nie widziałam.

Zdjęcie przedstawiało Sandrę na koniu. Wyprostowana, smukła postać, długie, rozwiane włosy.

Zerknęła na pozostałe fotografie. Na wszystkich była Sandra.

- Myślałam, że już wszystkie widziałam. Skąd masz te zdjęcia?

- Wyjąłem je z teczki Maxa. Dostał je od różnych

organizacji charytatywnych, z którymi Sandra współpracowała.

- Ta tutaj jest ładna.

Podawała mu zdjęcie siostry w skąpym kostiumie kąpielowym. Sandra patrzyła prosto w obiektyw. Długie, proste włosy rozwiewał wiatr. Dotknęła swoich krótkich loków i przygładziła je.

- Strasznie jesteśmy do siebie podobne, prawda?

Wyczuwała, że Douglas jest skrupowany. Zachowywał się jakoś dziwnie, odpowiadał, nie patrząc jej w oczy.

- Tak, rzeczywiście jesteście do siebie bardzo podobne.

- Zresztą nieważne. Ciekawe, po co Maxowi tyle tych zdjęć?

- Gromadził dokumentację na potrzeby śledztwa. Zawsze tak robimy.

Douglas zapatrzył się przed siebie. Teczka znowu ześliznęła mu się z kolan.

Reszta zdjęć rozsypała się przed nimi niczym talia kart.

Nicole przyklęknęła i razem z Douglasem zaczęła je zbierać. Wiedziała, że Douglas nie mówi jej całej prawdy, ale nie rozumiała dlaczego. Podawała mu zdjęcia jedno po drugim, twarz siostry migąła jej przed oczami.

Douglas patrzył na Nicole. Czuła, że na coś czeka. Podniosła ostatnie zdjęcie i spojrzała na nie. Nagła myśl przeszła ją jak błyskawica i nagle wszystko zrozumiała. Poszczególne części układanki ułożyły się

w przerażającą całość. Wolno zwróciła ku Douglasowi głowę. Ich oczy się spotkały.

- Był w niej zakochany, tak? - zapytała szeptem.

- Nie wiem, ja nic nie wiem - zamachał rękami Douglas. - O, idzie Max... Całe szczęście... To ja już pójdę.

Zerwał się z leżaka, wcisnął Maxowi teczkę do rąk, obrzucił go pełnym współczucia spojrzeniem i szybkim krokiem opuścił patio.

Nicole stała bez ruchu, z ostatnim zdjęciem w dłoni. Potem wolno podała je Maxowi.

- Jak długo byliście w sobie zakochani? - zapytała smutnym głosem.

Nie chciała słyszeć odpowiedzi. Nie chciała niczego wiedzieć. Pragnęła uciec stąd jak najdalej.

Max położył teczkę na stoliku, dołączył ostatnie zdjęcie do pozostałych, po czym spojrzał na nią.

- Nigdy nie byliśmy w sobie zakochani, Montana.

Jego odpowiedź powinna ją uspokoić; powinna uznać, że to wyjaśnia sprawę i przestać pytać. Ale wątpliwości pozostały. Raz zasiane podejrzenia rosły i nie mogła ich opanować.

Instykt podpowiadał jej, żeby nie pytała o nic więcej, żeby się wycofała, nie drażyła i milczała. Nie była jednak w stanie oderwać oczu od jego rąk: nie mogła nie dostrzec, jak delikatnie, niemal pieścizotliwie dotyka zdjęć i starannie układa je w teczce, wygładzając i prostując brzegi.

Nicole przypomniała sobie ich pierwsze spotkanie, tam, w górach Montany, i tę natychmiastową fascyna-

cję, to nagłe zauroczenie. Uważała to za naturalne i spontaniczne.

W jej przypadku na pewno tak było; myślała, że Max czuje to samo.

Teraz ta pewność z każdą minutą malała. Z coraz większą ostrością Nicole zaczynała rozumieć, że nigdy nie znała kierujących nim uczuć. Mogła oczywiście wmówić sobie, że to wszystko jest jedynie grą jej wyobraźni, ale nie była na tyle szalona, by w to uwierzyć. Nie należała do osób, które cofają się przed poznaniem prawdy, nawet tej najgorszej, najbardziej bolesnej...

Spojrzała Maxowi odważnie w oczy.

- Nigdy jej nie spotkałeś, ale i tak ją kochałeś, prawda?

Poczuł, że ziemia usuwa mu się spod stóp. Nie mógł ani skłamać, ani powiedzieć prawdy. Jedno i drugie może okazać się katastrofalne w skutkach.

Musi jednak jakoś odpowiedzieć na jej pytanie.

- Chyba tak, to znaczy trochę.

- Trochę? Trójkąty i inne takie erotyczne gry nigdy mnie nie interesowały i nie interesują, zwłaszcza jeśli jedna z osób należących do trójkąta nie żyje. Nie mogę rywalizować z kimś, kto w twoich oczach jest doskonałością.

Max położył album na stoliku i odwrócił się w jej stronę.

- Nie musisz z nikim rywalizować, tylko masz być sobą.

Spojrzała na album, potem na niego.

- Kim ja dla ciebie jestem? Sandra czy Nicole?
Powiedz, Max.

Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, we wnętrzu domu zauważył poruszenie, a po chwili na patio pojawili się ludzie. Szybkim krokiem zbliżała się do nich Helen Applewhite w towarzystwie młodego, wysokiego mężczyzny. Nicole rozpoznała w nim jednego z pracowników agencji „Warner i Hart”.

Helen prawie biegła. Była zarumieniona, jej oczy błyszczały z podniecenia. Serdecznie uściskała Nicole.

- John niedługo tu będzie - oznajmiła triumfalnie.
Potem uważnie przyjrzała się Nicole.

- Wszystko w porządku? Bardzo się boisz?

Twarz Helen rozświetlał uśmiech. Wyglądała jak młoda dziewczyna.

- Gillman padnie, jak cię zobaczy. Boże, jaką on miał minę, kiedy mu powiedziałam, że Sandra żyje! Nicky, on wreszcie za wszystko zapłaci! Zapłaci za to, co zrobił mojemu dziecku!

Nicole, nie mogąc wykrztusić słowa, uśmiechnęła się bezradnie. Gdy uniosła głowę, poczuła na twarzy krople deszczu. Niebieskie dotąd niebo zasnuły gęste, ciemne chmury. Ulewa nadeszła nagle; biegiem rzucili się do domu.

Kobiety usiadły na kanapie w salonie. Mężczyźni stanęli z boku, omawiając ostatnie szczegóły akcji. Helen ujęła rękę Nicole.

- Bardzo ładnie wyglądasz - powiedziała - ale jesteś strasznie spięta. Czuję to. Zupełnie jakby spotkała cię jakaś przykrość. Co się stało?

Wyraźnie coś podejrzewała. Czuła, że jest coś pomiędzy nią a Maxem. Nicole odwróciła wzrok.

- Nic mi nie jest. Trochę się przestraszyłam, to wszystko.

- Nigdy w to nie uwierzę. Nie sędzę, żeby ktoś taki jak John Gillman mógł cię przestraszyć. Nie ciebie. Chodzi o Maxa, prawda? Zrobił ci przykrość?

Nicole słuchała jej jednym uchem, nie spuszczać wzroku z mężczyzn rozmawiających w rogu pokoju. Nie mogła nie odpowiedzieć; zrobiła to, nie patrząc Helen w oczy.

- Max? Skądże! Max zupełnie mnie nie obchodzi.

Helen puściła rękę Nicole i lekko pocałowała ją w policzek.

- Kiedy straciłam Sandrę, zrozumiałam, że trzeba się śpieszyć z kochaniem ludzi, bo potem można nie mieć czasu. Trzeba bardzo się śpieszyć, żeby zdążyć.

Spojrzała w kierunku grupki mężczyzn.

- Nie podoba mi się, że tak nas zostawili.

Podeszła do nich i położyła rękę na ramieniu Maxa.

- My z Nicole też gramy w tej sztuce. Proszę nas wprowadzić w szczegóły.

Wyminął ją i podszedł do Nicole.

- Dostaliśmy wiadomość, że Gillman właśnie wylądował na Virgin Gorda i próbuje wynająć jacht. Tom i Ray śledzą go. Dadzą znać, jak odpłynie.

Skinęła głową, czując, jak serce podchodzi jej do gardła. Wyczuł ogarniające ją napięcie i usiadł przy niej.

- Wszystko się zmieniło. Myśleliśmy, że mamy

jeszcze kilka dni, żeby się przygotować, a tu wszystko potoczyło się o wiele szybciej, niż zakładaliśmy. Nie przeszkadza ci to?

Zauważyła, że nikomu nie przychodzi do głowy odwołać całą akcję. Byli zdeterminowani i zdecydowani na wszystko.

Spojrzała na Helen, a Helen na nią.

- Zupełnie mi to nie przeszkadza. Jestem całkowicie przygotowana na to spotkanie. Możemy zaczynać.

Helen z zadowoleniem pokiwała głową.

- Dziękuję ci - rzekła podnieconym głosem. - Nie pożałujesz tego, przysięgam ci, Nicole,

Rozejrzała się; wiedziała, że wszyscy ją słyszą, ale nie przejęła się tym.

- Chciałabym, żeby moja Sandra była taka jak ty. Bardzo bym chciała.

- Naprawdę? Dlaczego?

- Bo ty jesteś silna. Dopiero teraz zrozumiałam, że źle wychowaliśmy naszą córkę. Uważaliśmy z Harrym, że należy jej strzec i odgradzać od wszelkiego zła, od tego, co niebezpieczne i co może być zagrożeniem dla dorastającego człowieka. Popełniliśmy błąd. Dzięki naszym pieniądzom i pozycji wyhodowaliśmy bezbronną, kruchą roślinkę. Dlatego Gillman tak łatwo mógł ją zniszczyć. Popełniliśmy błąd, za który zapłaciło nasze dziecko.

W ciszy, która zapanowała po jej słowach, rozległ się potworny grzmot. Pogoda się załamała; Nicole nagle poczuła potrzebę kogoś bliskiego. Gdyby Charlie był przy niej...

- Chcę zadzwonić do ojca.
- To niemożliwe. - Doug ze zdenerwowania nie patrzył jej w oczy. - Andy właśnie mi powiedział, że połączenie zostało przerwane. Zbliży się huragan. Kiedy wichura się uspokoi, znowu nawiążemy kontakt z Tomem i Rayem. Na razie jesteśmy odcięci od świata.

Zdławiła krzyk. Czuła, że jej niepokój zmienia się w przerażenie. Podeszła do okna, próbując się opanować, i przygnęła czołem do szyby. Atmosfera z każdą chwilą stawała się coraz bardziej napięta.

Za oknem, za szarą zasłoną deszczu, gięły się od wiatru drzewa. Słońce zniknęło. Poczuła nagle, że bez słońca, bez jego blasku, wszystko będzie jeszcze trudniejsze. Może zanim Gillman przyplynie, niebo się rozjaśni...

Nie rozjaśniło się. Nic się nie zmieniło.

Zamiast tego nadeszła wiadomość od Jima, że jacht Gillmana wchodzi do portu. Odwrotu nie było, wypadki zaczęły toczyć się swoim trybem, lawina wydarzeń ruszyła.

Max przejął dowodzenie.

- W porządku, w takim razie zaczynamy. Zanim zaczniemy wypełniać swoje obowiązki, jeszcze jedna uwaga: musimy wszyscy pamiętać o tym, że mamy do czynienia z zawodowym, wyszkolonym mordercą, człowiekiem bezwzględnym i zdecydowanym na wszystko. Celem akcji jest wydobyć z niego przyznanie się do winy, ale naszym zadaniem numer jeden jest ochrona Nicole. W przypadku niebezpieczeństwa wszyscy ją kryjemy.

Rozeszli się na stanowiska. Odtąd mieli być służbą i współpracownikami doktora Adaira Gibsona. Weszli w swoje role, spektakl się rozpoczynał.

Max podszedł do stojącej bez ruchu Nicole.

- Nie zobaczysz go stąd. Będzie szedł od strony portu.

- Wiem, jak on wygląda. Nie potrzebuję widzieć, jak nadchodzi.

Ujął ją za ramiona i zwrócił twarzą ku sobie.

- Posłuchaj, Nicky. Strasznie mi przykro. Wygląda na to, że zawsze zrobię coś, co cię zrani.

- Pamiętasz, co ci powiedziałam w Montanie?

- W Montanie mówiłaś wiele rzeczy.

Wiedział, o co jej chodzi, ale miał nadzieję, że jeśli uda, że nie pamięta, Nicole tego nie powtórzy.

Mylił się.

- Powiedziałam, że łączy nas tylko seks. Nie możesz zranić kogoś, komu na tobie nie zależy.

Spojrzał jej w oczy, próbując przebić się przez mur, jaki wznosiła, żeby się od niego odgradzić. Ujrzał w nich tylko stanowczość i determinację.

- Kłamiesz - zaprotestował półgłosem. - Zależy ci, zależy ci bardziej, niż myślisz.

Gillman był coraz bliżej. Max czuł, że musi szybko powiedzieć coś, co nie tyle wszystko wyjaśni - wiedział, że to niemożliwe - ale choć trochę rozładuje napięcie. Mają coraz mniej czasu.

- Posłuchaj, Nicole, musisz mnie wysłuchać. Sprawa zabójstwa Sandry była bardzo ważna dla mnie, dla Douga, dla Helen, dla wszystkich ludzi, którzy

pracowali nad nią ponad półtora roku. Najpierw chciałem tylko przyskrzynić Gillmana, złapać mordercę, a potem osobiście zaangażowałem się w śledztwo. Wciągnęło mnie.

- A co z Sandrą? W nią też się osobiście zaangażowałeś?

- Tak. Muszę przyznać, że znalazłem w niej coś, co poruszyło we mnie strunę, której istnienia nawet nie podejrzewałem. Nie potrafię tego określić.

Spojrzała na niego ze smutkiem i rezygnacją.

- Zakochałeś się w kobiecie, która nie żyje?

Z patio dobiegły ich podniesione głosy. Nie mieli dużo czasu.

- Zgadza się. Ale nie tak, jak przypuszczasz.

- Jest tylko jeden sposób, Max.

- To nie tak.

Głos był coraz wyraźniejszy. Ostry, zdenerwowany, gniewny męski głos. Max delikatnie odwrócił Nicole twarzą w stronę drzwi.

- Zaczynamy.

John Gillman wtargnął do pokoju w towarzystwie Jima i LeRoya. Kurtyna poszła w górę. Pierwszą osobą, którą ujrzał, była Nicole. Na jej widok raptownie przystanął, jakby rażony gromem. Jego ogorzała twarz zbladła.

Nicole stała bez ruchu. Sądziła, że po obejrzeniu zdjęcia jest gotowa na spotkanie Gillmana. Spodziewała się, że pierwszym wrażeniem, jakiego dozna na widok tego człowieka, będzie wstręt, a nawet strach.

Zaskoczył ją. Mężczyzna, którego przed sobą wi-

działa, był przede wszystkim niezwykle przystojny. Przemknęło jej przez myśl, że zdjęcia ani w połowie nie oddają jego urody. W oczy rzucała się jego podniecająca drapieżność; widać było, że kobiety go uwielbiają. Nic dziwnego, że nie miał problemów z uwiedzeniem jej siostry.

- Sandra? Sandra, to ty?

John podszedł do niej szybkim krokiem. Zlustrował spojrzeniem stojącego obok niej mężczyznę, potem utkwiał wzrok w jej twarzy.

- Sandra? To naprawdę ty? Ty żyjesz?

15

John Gillman był niebezpieczny. Nigdy w to nie wątpiła. Wykorzystywał kobiety, manipulował nimi, niszczył je. Jej siostra musiała wiele wycierpieć. Upokarzał ją, poniżał, pozbawiał wiary w siebie. Nicole o tym wszystkim wiedziała.

Nie przypuszczała jednak, że ta wiedza doda jej sił. Nagle zdała sobie sprawę, że ruchome piaski, na których dotychczas stała, tężeją w litą skałę. Miała wrażenie, jakby wyszła poza siebie i stała teraz obok, uważnie i chłodno obserwując całą scenę.

Nie wolno jej ulegać emocjom. Musi całkowicie nad sobą panować. Poczwała się silna i spokojna.

Wokół panował półmrok, jakby całe światło dnia skupiło się na głównej postaci, która pojawiła się na scenie. Nicole poczuła, że serce wali jej młotem; sprę-

żyła się jak do skoku. Miała przed sobą dzikie zwierzę, które trzeba unieszkodliwić. Umiała to robić.

Nikt nic nie mówił. Cisza w pokoju podkreślała dramatyczne napięcie pierwszej odsłony.

Tylko Helen, jak zwykle, bezbłędnie wyczuła, jak należy się zachować. Przybrała minę matki, której łaskawy los niespodziewanie zwrócił córkę. Spojrzała na Gillmana z triumfem w oczach.

Gillman na nią nie patrzył. Jego czujne spojrzenie ślizgało się po sprzętach, ścianach, nie pomijając żadnego szczegółu. Kiedy podszedł bliżej, Nicole poczuła, że jest nie tylko wściekły: emanował z niego strach.

Gillman zaczyna się bać...

Siłą powstrzymała uśmiech na myśl, że ten człowiek boi się tak samo jak ona. Pomyślała o siostrze. Sandra zginęła i nigdy jej nie spotka. Ten mężczyzna ją zabił. Musi za to zapłacić.

Gillman przerwał wreszcie milczenie.

- Sandra? To nie do wiary.

Kurtyna poszła w górę i wszyscy obecni musieli zacząć wypowiadać swoje kwestie. Nicole odezwała się pierwsza:

- Przykro mi. Wiem, kim pan jest i za kogo mnie pan uważa, ale ja nic nie pamiętam.

Powiedziała to cudzym głosem; delikatnym, łagodnym, z wyraźnie „południowym” akcentem! Melodyjnym głosem Sandry. Poczuła, że wszyscy drgnęli.

John podszedł bliżej.

Widziała jego oczy badające każdy milimetr jej twarzy. W pewnej chwili, jak zahipnotyzowany, uniósł

rękę i delikatnie dotknął palcem jej policzka, jakby chciał sprawdzić, czy nie jest duchem, tylko człowiekiem z krwi i kości.

Nicole cofnęła się i mimo woli instynktownie przytuliła do Maxa. W ciemnych oczach Johna błysnął gniew. Zrozumiała, że uwierzył, iż ma przed sobą Sandrę. Teraz wpadnie w panikę.

Max uspokajająco objął ją ramieniem.

- To jest Nicky- powiedział.

Wyciągnął rękę do Gillmana.

- Nazywam się Gibson, doktor Max Gibson.

Gillman skinął głową, ale nie podał mu ręki. Nie spuszczał wzroku z Nicole.

- Sandra miała znamię za lewym uchem. Czy mogę... zobaczyć?

Popisowy numer, gwóźdź do trumny, pomyślała Nicole. To rozwieje wszystkie jego wątpliwości, ostatecznie przekona go, że ma do czynienia z Sandrą.

Podszedł bliżej z wahaniem, jakby nie miał odwagi spojrzeć jej w oczy. Poczowała bijącą od niego siłę, zapach deszczu i morskiej wody. Zniknął gdzieś teatralny kostium i w jednej chwili stała się Sandra.

Już nikogo nie musi udawać.

Tylko że „jej” Sandra była silniejsza, mądrzejsza, opanowana i... przygotowana na spotkanie z bestią. Jej Sandra miała świadomość czyhającego na nią niebezpieczeństwa i była gotowa w razie potrzeby ratować się ucieczką.

Spojrzała na Maxa pytająco, tak jak na jej miejscu zrobiłaby siostra bliźniaczka. Drżącą dłonią Sandry

odsunęła powoli włosy, odsłaniając ucho. Słyszała przyspieszony oddech Gillmana i czuła, że modli się, aby znamienia nie było.

Potem ujrzała jego oczy; puste, ślepe spojrzenie człowieka, którego ogarnia śmiertelny strach. John ciężko oparł się o fotel i osunął na niego.

- To niemożliwe. Nic nie rozumiem.

- Czego nie rozumiesz, John? - spytała Helen niewinnym tonem.

W obawie, że Helen z emocji może wypaść z roli, Max postanowił przejąć inicjatywę. Podprowadził Nicole do kanapy.

- Strasznie zdenerwowałaś Johna. Pewnie ma do ciebie mnóstwo pytań.

Gillman z wysiłkiem zdławił wściekłość i gniew.

- Owszem, mam kilka pytań.

Rozejrzał się po obecnych, jakby chciał ich wyrzucić z pokoju i zostać sam na sam z Sandrą. Nikt się nie poruszył.

- Co, do cholery, moja żona tu robi? Dlaczego nikt nie raczył mnie zawiadomić, że została odnaleziona? Co się tutaj dzieje? Dlaczego ona mnie nie poznaje? Czekam na wyjaśnienia!

Max zrozumiał, że przeciwnik postanowił bronić się za pomocą ataku. Zupełnie jak przerażone zwierzę. Robi się naprawdę niebezpiecznie.

W tym przedstawieniu stawką jest ludzkie życie.

- Nie zamierzam długo czekać. Jeśli nikt mi nie odpowie, zaraz zawiadamiam policję, zabieram żonę i wyjeżdżam stąd.

Nicole drgnęła. Sandra tak właśnie postąpiłaby w podobnej sytuacji. Przestraszyłaby się. Spłoszona, schowała głowę na ramieniu Maxa.

- Proszę, nie pozwól mu - szepnęła. - Nie chcę, żeby mnie zabrał. Chcę zostać z tobą.

Błagalnym spojrzeniem obrzuciła Helen; dostrzegła w jej oczach łzy. Znowu spojrzała na Johna.

- To nie jest wina Maxa.

Poczuła, że ręka Maxa na jej ramieniu zaciska się, jakby dawał jej znak, żeby nie przeholowała.

- Nie chcę opuszczać tej wyspy, nie chcę opuścić jego.

- Co za bzdury! - parsknął Gillman. - Helen, czy ty wiesz, dlaczego ona tu jest i jak się tu znalazła?

Max po raz kolejny porozumiewawczo ścisnął ramię Nicole.

- Chyba wszystko jest jasne - powiedział. - Sam słyszałeś. Nicky nie chce stąd wyjeżdżać; chce zostać ze mną.

- Ona nazywa się Sandra, Sandra Gillman.

- Mylisz się. Ona już nie jest Sandrą Gillman ani Sandrą Applewhite.

Czuł, że wkłada głowę do paszczy lwa. Pottrzymał ją tam przez chwilę, żeby jeszcze bardziej rozjuszyć przeciwnika. Potem lekko odpuścił.

- Znalazłem Nicky na morzu. Woda unosiła ją na kawałku deski. Wyłowiliśmy ją i przywieźliśmy tutaj.

- Nic nie mówiła? Nie powiedziała, kim jest? Nie zawiozłeś jej do lekarza, do jakiegoś szpitala?!

Gillman dławiał się z wściekłości.

- Sam jestem lekarzem - odparł z godnością Max, przybierając głos prawdziwego doktora Gibsona, który swoim flegmatycznym zachowaniem wyprowadzał otoczenie z równowagi. - Nicky...

- Sandra! - syknął Gillman.

- ...była w strasznym stanie. Poraniona, poparzona, odwodniona; bardzo długo nie mogła odzyskać świadomości. Miała urazy głowy i była nieprzytomna. Stale majaczyła. Wracała do zdrowia przez kilka miesięcy, ale nic nie mówiła. Odezwała się dopiero wówczas, kiedy powiedziałem, że zamierzam przeprowadzić śledztwo, żeby ustalić jej tożsamość. Wpadła w rozpacz. Ilekroć o tym wspominałem, dostawała ataków nerwowych. Przestałem o tym mówić, żeby umożliwić jej powrót do zdrowia i zapewnić wewnętrzny spokój.

- A co ze spokojem jej najbliższych? O tym pan nie pomyślał, doktorze?

- Szczerze mówiąc, nie. Myślałem tylko o Nicole.

- O Sandrze. - John złym wzrokiem obrzucił Helen. - A ty nie masz nic do dodania?

- Nie. Moje dziecko żyje i tylko to się liczy. Doktor Gibson zadzwonił do mnie i wszystko mi opowiedział.

- I nie przyszło ci do głowy, żeby mnie zawiadomić?

- Na razie nie. To moja córka i...

- Ale moja żona! - ryknął John.

- Obecnie to moja żona - wtrącił Max, z perwersyjną przyjemnością obserwując rosnącą wściekłość rywala.

- Jak to? Sandra poślubiła mnie.
- Ale Nicky wyszła za mnie.

Max siłą powstrzymał się od śmiechu. Scena była tak absurdalna, że na sekundę można było zapomnieć o grozie sytuacji. Na swój sposób bawił się całkiem dobrze.

Nicole przeciwnie. Nie dostrzegała w tym, co się dzieje, niczego zabawnego. Od pewnego czasu nie odzywała się, umiejętnie grając przestraszoną, zagubioną Sandrę, i mogła swobodnie obserwować Gillmana. Był nie tylko patologicznie zazdrosny, był również niezdolny do panowania nad własnymi reakcjami, a taki człowiek - nieprzewidywalny - jest podwójnie niebezpieczny. Przypominał wulkan mogący w każdej chwili wybuchnąć.

Nie miała pewności, czy Max i jego ludzie zdają sobie z tego sprawę. Postanowiła zwrócić na siebie uwagę i wzbogacić rozgrywkę o nowe elementy.

- W końcu to ja sama postanowiłam dowiedzieć się czegoś o sobie. Kim jestem, skąd pochodzę i czy mam jakąś rodzinę. Chcemy mieć dzieci, dlatego należy to wszystko ustalić.

John wyglądał teraz jak drapieżnik szykujący się do skoku. Poczwała, że mięśnie Maxa tężeją. John nadludzkim wysiłkiem woli opanował furję.

- Przepraszam. - Uniósł ręce, jakby się poddawał.
- Bardzo przepraszam. - Zwrócił twarz w stronę Nicole. - Nie masz pojęcia, co czuję, kiedy to słyszę. Mówisz o dzieciach, a przecież my też chcieliśmy mieć dzieci. To miał być nasz drugi miesiąc miodowy.

Mieliśmy rozpocząć nowe życie. Musisz pamiętać, nie mogłaś tego zapomnieć.

- Bardzo mi przykro, ale ja nic nie pamiętam. Nie pamiętam tego, co było, zanim Max mnie znalazł. Max jest moim życiem.

Dotknęła dłońmi skroni i skrzywiła się boleśnie.

- Strasznie boli mnie głowa, muszę wyjść na powietrze.

Helen natychmiast wstała.

- Bardzo dobry pomysł. Pójdę z tobą, a panowie niech sobie spokojnie porozmawiają.

Kiedy tylko wyszły na korytarz i znalazły się poza zasięgiem ich wzroku, Nicole oparła się o ścianę i przytknęła oczy.

- Jestem wykończona.

- To był potworny wysiłek psychiczny.

Nicole spojrzała na nią z uznaniem. Stanowczość, odwaga i mądrość Helen zawsze robiły na niej duże wrażenie.

- Sandra była bardzo szczęśliwa, że miała taką cudowną matkę. Musiała bardzo cię kochać.

Helen zamrugała oczami, żeby ukryć łzy. Potem uniosła głowę i spojrzała na Wielkiego Jima, który znosił ogrodowe meble pod rozciągnięty nad patio płócienny dach.

- Wygląda na to, że wiatr się nie uspokoił. Nadchodzi huragan.

Jim podstawił im krzesła i poszedł czyścić pływalnię z liści i połamanych gałązek.

Nicole chciała go zapytać, jak ocenia przebieg

akcji, ale wiedziała, że nie wolno jej zadawać żadnych pytań. Spojrzała na Helen; z jej twarzy wyczytała, że starsza pani chętnie zrobiłaby to samo. Jednocześnie odwróciły głowy na dźwięk otwieranych drzwi wychodzących na patio. Nicole wbiła paznokcie w poręcz ogrodowego krzesła.

John stanął przy niej, czujnym wzrokiem obrzucając pracujących w ogrodzie ludzi. Wielki Jim w dalszym ciągu czyścił pływalnię, LeRoy zbierał suche liście z trawnika.

- Chciałbym pomówić z Sandrą. Sam na sam.

Gdy Helen się zawahała, John spojrzał na nią wymownie.

- Sam na sam, Helen.

Helen odeszła nie od razu.

- Tylko nie za długo - rzekła powoli. - Zaraz znowu zacnie padać i robi się zimno.

Dłoń Nicole przestała się zaciskać. John poczekał, aż zostaną sami.

- Obcięłaś włosy - powiedział i dotknął ręką jej głowy.

- Max musiał mi ogolić głowę, żeby założyć szwy. Lubię tę fryzurę.

Kątem oka zobaczyła, że Wielki Jim wolnym krokiem kieruje się w ich stronę. LeRoy zrobił to samo.

- Musimy porozmawiać, posłuchaj mnie. - John Gillman ujął jej rękę w obie dłonie. - Jestem twoim mężem, twoim prawdziwym mężem, i kocham cię. Byłem zrozpaczony, kiedy się dowiedziałem, że nie

żyjesz. - Położył jej dłoń na swoim udzie. - Chciałem umrzeć razem z tobą. Nie mogłaś wszystkiego zapamiętać. Musisz coś pamiętać. Nie mogło ci się tak wszystko zatrzeć.

Ciemne chmury zasnuły całe niebo, pochłaniając resztki dziennego światła.

- Nic nie pamiętam.

Cisza stawała się coraz bardziej napięta. Nicole wyczuła, że jeszcze moment, a John straci panowanie nad sobą.

- Bardzo mi przykro, ale nic na to nie mogę poradzić. Nie jestem Sandrą, jestem Nicky.

Pogłaskał jej rękę. Jego głos był teraz przymilny i cichy, przypominał mruczenie kota.

- Naprawdę zupełnie nic nie pamiętasz?

Poryw wiatru uderzył w kopczyk liści i gałęzi, które Jim zmiotł na bok, i rozwiął je po ogrodzie. Woda w basenie zmarszczyła się pod wpływem złowrogiego podmuchu. Nicole czuła pod ręką muskularne udo Johna, twarde jak kamień. Opanowała wstręt i spojrzała mu niewinnie w oczy. Nadszedł moment zarzucenia przynęty i złapania ryby na haczyk.

Wahała się. Max i jego ludzie od kilku dni wmaiwiali jej, że trzeba to zrobić bardzo ostrożnie, bo odwrotu nie będzie.

- Coś pamiętam... - zaczęła. - Takie drobiazgi bez znaczenia.

- Jakie drobiazgi?

Na powierzchnię basenu spadły pierwsze krople deszczu, w oddali rozległ się przeciągły grzmot. John

nie zwrócił na niego uwagi. Spróbowała wysunąć rękę spod jego dłoni.

- Widzę błysk światła i robi się strasznie gorąco, pali mnie skóra. Max mówi, że to wspomnienie wybuchu na jachcie. Czasami słyszę jakiś głos, ale nie rozumiem, co mówi.

- Zawsze przypomina ci się to samo?

- Tak... Nie. Czasem to jest tylko takie światło, a czasem...

Wiatr uderzył silniej, zawirowały liście i gałęzie, drzewa nisko się skłoniły. Trawy przyłgnęły do ziemi, jakby przerażone nadchodzącym kataklizmem.

- Rozumiem.

Miała nadzieję, że John naprawdę coś rozumie. Wszystko odbywało się zgodnie z planem. Chciał się dowiedzieć, czy powrót pamięci jest możliwy, czy grozi mu, że żona kiedyś odtworzy przebieg wypadków na jachcie.

Nicole utkwiała wzrok w pociemniałej nagle lagunie. Huragan wygasił światło dnia i czernią naznaczył wodę. Morze zjeżyło się białymi grzywami fal. Nicole znowu zwróciła się ku swemu rozmówcy, próbując zachować niewinny, lekko roztargniony wyraz twarzy.

- Postanowiliśmy z Maxem, że nawet gdy się dowiemy, kim jestem, i tak zostaniemy razem. Bardzo go kocham. Nie mogę być twoją żoną. Musisz pozwolić mi odejść, John.

Skrzywił się, jakby ucięła go osa.

- Nie mogę tego zrobić. Przed chwilą powiedzia-

łem Gibsonowi, że chcę cię zabrać do Stanów i leczyć u jakiegoś dobrego psychiatry.

- Max się na to nigdy nie zgodzi!

- Będzie musiał się zgodzić. Wie, że prawo jest po mojej stronie.

Ścisnął jej rękę tak silnie, że poczuła ból.

- Jesteś moją żoną, Sandro, i tylko to się liczy. Zrobię wszystko, żeby cię odzyskać. Możesz być pewna, że mi się uda.

Był jak beczka pełna prochu. Wystarczyła iskra żeby spowodować wybuch. Zrozumiała, że należy się wycofać.

- Tu jest mój dom, John. Nie mogę go opuścić.

Parsknął niedobrym śmiechem.

- Przecież ty nie możesz być tutaj szczęśliwa. Zawsze lubiłaś życie w mieście, spotkania z przyjaciółmi, sklepy, swoją pracę. Ta wyspa to więzienie. To nie dla ciebie. A czym właściwie zajmuje się ten doktor Gibson? Przecież tu nie ma ani szpitala, ani żadnej przychodni.

- Prowadzę badania nad rakiem.

Podskoczyli, gdy głos Maxa rozległ się tuż przy nich. Nie słyszeli, jak nadchodził. John zerwał się na równe nogi.

Stali teraz naprzeciw siebie.

- Nigdzie jej nie zabierzesz. Nicole wyjedzie tylko wtedy, jeśli sama zechce.

John zmierzył go pogardliwym spojrzeniem. Wiadac było, że nie docenia przeciwnika. Mina mu zrzędnęła, kiedy Nicole stanęła obok Maxa i wtuliła się w jego ramiona.

Spojrzał na nich z nie skrywaną nienawiścią.

- Mam za sobą prawo. Zgłoszę wszystko odpowiednim władzom. Będziesz ją musiał zawieźć na Virgin Gorda i tam ją przesłuchają. Sandra jest moją żoną i potrzebuje pomocy psychiatry. Zapewnij jej to.

Odwrócił się, jakby chciał odejść.

Nicole zrozumiała, że sprawy wymykają im się z rąk. Na szczęście nie są tutaj sami. Wszędzie są kamery i aparaty podsłuchowe. Ochroniarze znajdują się w zasięgu wzroku. Nie można pozwolić mu odejść, trzeba go złapać w pułapkę. Teraz, zaraz. Była wściekła na Maxa, że się wtrącił. Nastąpiła mu boleśnie na stopę, żeby go przywołać do porządku.

Wiatr burzył jej włosy, ślizgał się po karku, wprawiając w dodatkowe podniecenie. Zobowiązała się wziąć udział w operacji, ma za to dostać sporą sumę pieniędzy... Nie wolno jej pozwolić, żeby John teraz odszedł. Zawołała go melodyjnym, niepewnym głosem Sandry.

Zatrzymał się i zwrócił w jej stronę.

- John, czy ja potrafiłam gotować?

Ta kwestia nie należała do jej roli. Dobrowolnie wyszła poza scenariusz; Max nerwowo się roześmiał, próbując ukryć zmieszanie.

John zeszywniał.

Jak automat, wolnym krokiem wrócił na patio. W tej samej chwili zasłona czarnych chmur rozwarła się i lunął gęsty deszcz. Nicole poczuła ciężkie krople chłostzące jej gołe nogi i ramiona. Roześmiała się i pobiegła do domu. Max zrobił to samo; John podążył

za nimi. Przy pomocy Douglasa siłą zabarykadowali drzwi, uginające się pod szalonym podmuchem wiatru.

Strząsnęła krople deszczu z włosów i spojrzała na Johna. Stał bardzo blisko, zbyt blisko.

- Dlaczego pytałaś o gotowanie?

- Nie lubię gotować. Kuchnia to moja słaba strona. Zawsze czegoś zapomnę. Zapalam piecyk i odchodzę.

Zachichotała.

- Max nieraz się o to gniewa. Mówi, że powinnam uważać.

John nie wyglądał na rozbawionego. Przez twarz Helen przebiegł bolesny skurcz.

- To samo robiłaś w domu.

Opanował się już, a nawet pobłażliwie uśmiechnął. Tylko drżenie jego warg świadczyło o tym, że strzał był bardzo celny.

- Może to jest dowód, że przypominam sobie przeszłość.

- Co takiego?

Poczuła obejmujące ją ramię Maxa. Eksperyment przebiega zgodnie z planem, nie należy przyśpieszać tempa. Uniosła oczy na Maxa.

- Widzisz, kochanie - powiedziała pieszczotliwym tonem małej dziewczynki - te wszystkie urazy głowy, o których tyle mówiłeś, nie wyrządziły mi wielkiej krzywdy. Ja wszystko sobie przypomnę, prawda? Powiedz, że to możliwe.

Nie zdążył odpowiedzieć. Tuż nad ich głowami rozległ się straszliwy grzmot, który sprawił, że zastygli w nabrzmiałej trwożą ciszy.

Potem odezwał się Max:

- Miałem wiadomości z portu. Doug mówi, że na morzu szaleje sztorm. Nie wiem jak ty, John, ale ja bym nie wypływał w takich warunkach. Może byś tu został na noc?

- Nie zamierzałem opuszczać wyspy. Nie mam zamiaru odpływać stąd bez Sandry.

W głosie Johna brzmiała determinacja.

Nicole wsunęła się pod kołdrę z westchnieniem ulgi. Położyła głowę na poduszce i zamknęła oczy.

- Co za wieczór! - szepnęła. - Jestem kompletnie wykończona.

- Kąpiel ci nie pomogła na ból głowy?

Odwróciła się w stronę Maca.

- Trochę. A swoją drogą nie sądziłam, że będę w stanie usiąść z nim do stołu.

- Nasz przyjaciel nie jest nazbyt błyskotliwy, prawda?

- Raczej nie. Potrafi tylko w kółko powtarzać, że jestem jego żoną i potrzebny mi dobry lekarz.

- Mnie też od tego rozbolała głowa.

Max oparł się o poduszkę.

- Skąd ci się wziął ten południowy akcent? Mówiłaś zupełnie jak dziewczyna z Kentucky. Nigdy bym nie przypuszczał, że to potrafisz.

Nicole poruszyła palcami stóp, przez chwilę zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Sama nie wiem, to stało się całkiem bez mojego udziału. Max, czy ty wierzysz w duchy? To znaczy,

może nie w duchy, ale w coś w rodzaju duchowej obecności?

- Nie. Może.

- Zdecyduj się.

- Nie wiem. Sądzisz, że duch Sandry jest tutaj z nami?

- Nie wiem. Nie potrafię tego wyjaśnić, ale dzieje się coś dziwnego. Nie umiałam naśladować tego akcentu, mimo że bardzo się starałam. Potem nagle przemówiłam, jakbym całe życie mieszkała na południu. To głupie, nie wierzę w duchy... ale może Sandra jakoś nade mną czuwa.

- Jak anioł stróż?

Myślała, że Max zaraz parsknie śmiechem, ale nic takiego nie nastąpiło.

- Tak. Myślisz, że to możliwe?

- Była twoją siostrą. Nigdy jej nie spotkałaś, ale byłyście bliźniaczkami. Podobno w takich przypadkach istnieje bardzo silny związek. Różne rzeczy się zdarzają, niczego nie można wykluczyć.

- Ja się go wcale nie boję, wiesz? Tak jakby mi nic złego nie groziło. Czuję się bezpiecznie, John nic mi nie może zrobić.

- To błąd. Musisz stale być czujna.

- Źle mnie zrozumiałaś. Ja jestem czujna. Wiem tylko, że on nie jest dla mnie groźny. Nie wiem dlaczego, ale mam pewność.

- On jest bardzo niebezpieczny, Nicky! John to zwierzę!

Spowaźniała.

- Potrafię walczyć ze zwierzętami.

Był poważnie zaniepokojony. Nicole najwyraźniej wyobraża sobie, że jest w stanie stawić czoło komuś takiemu jak Gillman, i to sama, w pojedynkę.

- Nicky, to nie jest niedźwiedź, szary wilk ani żadne znane ci zwierzę. Gillman jest znacznie bardziej podstępny.

- Będę ostrożna.

- Oczywiście, i nigdy nie będziesz sama.

Zdenerwowany usiadł na łóżku, zamierzając dodać coś jeszcze, gdy przerwał mu dźwięk walkie-talkie. Odebrał i nastawił dźwięk tak, żeby Nicole mogła słyszeć rozmowę.

- O co chodzi, Doug?

Usłyszał śmiech przyjaciela.

- Szkoda, że go nie widzisz. Siedzi na brzegu łóżka ze wzrokiem wbitym w podłogę. Gapi się tak od godziny. Chyba coś knuje.

- Na to wygląda. Jeśli coś zauważysz, zaraz daj mi znać.

Max przerwał połączenie i położył aparat na łóżku, między sobą a Nicole.

- Macie jego pokój na podglądzie?

Roześmiał się.

- Śledzimy każdy jego ruch, każde skrzywienie twarzy, wszystko.

- Ale nie to, co dzieje się w jego głowie...

- I tak nie może nic zrobić, skoro cały czas jest śledzony.

Przypomniała sobie, jak na nich spojrział, kiedy

znikali za drzwiami sypialni. Nic nie powiedział, ale w jego oczach błysnął gniew. Widać było, że zżera go zazdrość.

- Nie był zachwycony tym, że śpimy razem.

Max zmrużył oczy.

- I właśnie o to chodzi. Niech się pomęczy całą noc, wyobrażając sobie, co robimy w łóżku. Jeśli wyobraźnia mu dopisze, jutro rano możemy być świadkami dramatycznej zmiany w zachowaniu naszego przyjaciela.

Zamyślił się.

- Wcale mi się to zresztą nie podoba.

- Co takiego? Myślałeś, że będzie podglądał przez dziurkę od klucza?

Dotknął jej policzka.

- Nie. Nie podoba mi się, że nawet nie próbujemy nadażyć za jego wyobraźnią.

Odsunęła jego rękę.

- Teraz nawet o tym nie wspominaj.

- A kiedy? Jak to wszystko się skończy?

- Posłuchaj, panie Nowy Jork, już raz ci powiedziałam, że...

Położył palec na jej ustach.

- Nie mów tego.

A ponieważ nie cofnęła głowy ani nie odsunęła się, mówił dalej:

- Chciałbym ci coś opowiedzieć o Sandrze.

Nie zamierzała słuchać zwierzeń mężczyzny zakochanego w martwej kobiecie. Było w tym coś nienormalnego. Nie mogła jednak przerwać tej rozmowy; w pewnym sensie była jego zakładniczką.

- Kiedy pracowałem nad tą sprawą, musiałem poznać Sandrę na wylot. Żeby przyskrzynić Gillmana, musiałem się wszystkiego dowiedzieć o życiu jego i jego żony. Godzinami rozmawiałem z jej przyjaciółmi i krewnymi, czytałem jej listy i pamiętniki. To wszystko należy do rutynowej pracy detektywa. Po pewnym czasie znałem twoją siostrę lepiej niż samego siebie. Sandra była kobietą idealną, miała wszystko to, czego szukałem w kobiecie. Była delikatna, wrażliwa, kochała dzieci i zwierzęta. Jej dobroć oddziaływała na ludzi, którzy ją otaczali i których kochała.

Im lepiej ją poznawałem, tym bardziej pograżałem się w jej świecie, zapominając, że jej w nim już nie ma. Zakochałem się. Nie napotykałem oporu, bo nie było nikogo, kto mógłby mi coś wyjaśnić, o coś się ze mną kłócić. Moją obsesją stało się złapanie Gillmana. Sandra była taka dobra, taka szlachetna i delikatna, a on ją zabił, bo chciał zagarnąć jej pieniądze. Zanim zamordował Sandrę, zadreczył ją i zniszczył w niej radość życia. Zabrał ją z rodzinnego domu, oderwał od ludzi, którzy ją kochali, wywiózł i z premedytacją odebrał jej życie. Zawinił i musi za to ponieść karę.

Moją obsesją stała się nie miłość do Sandry, tylko ukaranie jej mordercy. Przede wszystkim zamierzałem wymierzyć mu sprawiedliwość za czyn, którego się dopuścił.

Pogłaskał ją po policzku.

- Nie pomyliłem ciebie z Sandrą. Doskonale widziałem różnicę, możesz mi wierzyć. Oprócz wyglądu nie macie z sobą nic wspólnego.

Poczuła, że bardzo pragnie mu uwierzyć, a to pragnienie uzmysłowiło jej, że się w nim zakochała. Zakochała się, mimo że z tej miłości może wyniknąć jedynie cierpienie. Ją i Maxa dzieli wszystko.

Max jest wykształcony, bogaty, ma ciekawą pracę, przyjaciół. Są sobie tak dalecy jak najbardziej odległe planety. Max Warner nigdy nie zamieszka w Montanie, a ona nigdy nie pojedzie do Nowego Jorku. Zamknęła oczy i powiedziała mu, że nie mają żadnych szans.

Jedyną odpowiedzią był jego śmiech i pocałunek. Pożądanie rozkwitło w niej jak róża pod ciężarem porannej rosy.

Potem, leżąc w jego ramionach, zastanawiała się tylko, jak to wszystko się skończy.

16

Poranek następnego dnia był parny i gorący. Na niebie kłębiły się czarne chmury, raz po raz przesłaniające matową kulę słońca, spętana pasmami czerwonej gazy. Szalejąca poprzedniego dnia wichura zerwała wszystkie połączenia. Od kilku godzin byli całkowicie odcięci od świata. Została im do dyspozycji tylko krótkofalówka zainstalowana na stojącym w porcie jachcie.

Czekali na powrót Jima, mającego im przynieść ostatnią prognozę pogody.

Nicole stała przy szklanej ścianie z kubkiem kawy w ręku i patrzyła na szalejący na patio wiatr. Była zmęczona trwającą ponad godzinę rozmową z Johnem. Kiedy wreszcie z hałasem odsunął krzesło i wybiegł z domu, nawet na niego nie spojrzała.

Zachowywał się zgodnie z przewidywaniami. W kółko mówił to samo: musi zabrać żonę z wyspy na kontynent i poddać terapii psychiatrycznej. Chyba po trupie Maxa, pomyślała.

Max zaprzątał jej myśli. Rozpaczliwie próbowała wierzyć we wszystko, co jej powiedział ostatniej nocy. Nie było to łatwe. Gubiła się w plątaninie uczuć i nie potrafiła odróżnić kłamstwa od prawdy.

Całą swą istotą pragnęła wyzbyć się podejrzeń i wątpliwości, jakie wobec niego żywiła; wprowadzić ład w emocje i nie dać się zaślepić. Wiedziała, że bez względu na to, co do niego czuje, koniec tej historii może być tylko jeden. Każde z nich pójdzie swoją drogą. Kiedy wreszcie wydobędą z Johna przyznanie się do winy, sprawa zostanie zamknięta i ich drogi się rozejdą. Max wróci do Nowego Jorku, a ona w góry Montany.

Westchnęła i z rezygnacją przytknęła czoło do szyby. Poczowała dziwne drżenie; szklana powierzchnia wibrowała pod naporem upału z zewnątrz i chłodu klimatyzowanego wnętrza, tak jakby żyła swym własnym życiem. Nicole wyprostowała się i uważnie spojrzała przed siebie.

Za oknem również działo się coś niesamowitego; krzaki pełzały po ziemi, palmy gięły się, jakby za chwilę miały pęknąć niczym zapałki. Liście i drobne gałązki wirowały w powietrzu, porwane diabelskim tańcem.

Ciężkie, żelazne krzesło ogrodowe poderwało się z ziemi i przefrunąwszy kilka metrów, wylądowało

z hukiem na ścianie domu. Nicole podskoczyła. Już miała się odwrócić i zaalarmować pozostałych, kiedy nagle drzwi rozwarły się z trzaskiem, poleciało szkło, i do pokoju wkroczył Jim.

Lewa ręka zwisała mu bezwładnie.

- Ta wichura zamieniła się w prawdziwy huragan i jakby nigdy nic idzie prosto na nas.

Wszyscy się zerwali na równe nogi. Douglas i Paul zajęli się drzwiami; Max doprowadził Jima do fotela i próbował go zmusić, żeby usiadł.

- Chciałem mocniej przycumować jacht, ale mnie przewróciło i rąbnąłem się w ramię - wyjaśnił Wielki Jim.

Przez rozbite drzwi dobiegło ich wycie wiatru i łomot przedmiotów rozbijających się o ściany domu.

Max spojrzał na swoją ekipę.

- Doug, weź Paula i Johna i pozamykajcie okiennice w całym domu. Andy, Karen i LeRoy pójdą ze mną. Musimy zabrać z patio stół i krzesła, zanim wichura je porwie i zamieni w latające fortece. Ruszamy.

Spojrzał na Helen.

- Ty zostań tutaj z Nicky.

Byli zbyt podekscytowani nadciągającym huraganem, żeby pamiętać o Johnie.

Nicole odprowadziła Maxa do drzwi.

- Ty zabezpiecz raczej drzwi i okna, a ja z Helen zbierzemy te meble z patio. Nie przejmuj się, damy sobie radę.

Na patio, osłoniętym z trzech stron zabudowaniami, bezkarnie hulał wiatr. Nicole nigdy w życiu nie

widziała huraganu i nie miała pojęcia, co należy w takiej sytuacji robić ani jak się zachować. Złapała jedno z żelaznych krzeseł i ze śmiechem próbowała zaciągnąć je do domu. Helen, mocująca się z drugim, zastygła nagle z takim wyrazem twarzy, jakby zobaczyła ducha. Nicole odwróciła się i... zamarła.

John Gillman zbliżał się do nich szybkim krokiem.

Rozpaczliwie rozejrzała się, szukając wzrokiem kogoś z mężczyzn. Jak zwykle w takich sytuacjach bywa, nie dostrzegła żadnego. Były na patio same.

Odstawiła krzesło i uznała, że należy działać błyskawicznie. Nie ma czasu do stracenia.

- John, jak dobrze, że jesteś! Jim mówi, że huragan idzie prosto na nas. Pomóż nam zabrać te graty do domu - powiedziała sztucznie swobodnym głosem.

John patrzył na nią martwym, matowym spojrzeniem szaleńca. Widziała, że jej słowa do niego nie docierają. John nie słyszał, co do niego mówi, opętany jedną jedyną obsesyjną myślą. Jego rozszerzone źrenice świadczyły o tym, że swój obłąd wspomógł narkotykiem. Miała przed sobą szarżujące zwierzę.

Poczuła, że jest w pułapce.

- John! - zawołała, usiłując przywrócić mu przytomność.

Wiedziała, że czasem krzykiem można odwrócić uwagę zwierzęcia, rozpraszając je, i zyskać w ten sposób szansę ucieczki.

Nadciągający huragan zniweczył jednak ten zamiar. Wiatr porwał jej słowa. John był coraz bliżej. Widziała nienawiść w jego oczach, czuła zapach whi-

sky. Chciała uciekać, ale stalowym chwytem złapał ją za ramię. Jego palce zacisnęły się na jej ciele jak szczypce.

Helen stała jak słup soli, zmartwiała z przerażenia. John złapał Nicole! Nagłym ruchem rzuciła się pomiędzy nich, oderwała od niej jego rękę. Wycie wiatru zagłuszyło jej słowa, lecz z ruchu warg Nicole domyśliła się, co Helen mówi.

- Uciekaj! - wołała rozpaczliwie. - Natychmiast! Uciekaj!

Nicole czuła, że powinna podjąć walkę, ale obłęd malujący się na twarzy Johna i rozpacz na twarzy Helen sprawiły, że instynktownie rzuciła się do ucieczki. Sama nie wiedziała, kiedy znalazła się na schodach prowadzących z patio w dół, do ogrodu.

W głowie, jak szalona, tłukła jej się jedna myśl: jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie! Natychmiast trzeba znaleźć Maxa albo któregoś z jego ludzi!

Kiedy wydostała się na odsłonięty teren, wiatr natychmiast zatarasował jej drogę. Ściana powietrza wyrosła przed nią, tamując ruchy. Czuła pod stopami trawę, ale nie była w stanie zrobić kroku. Ustawiała się bokiem, próbując przebić sobą twardą tafłę powietrza. Spojrzała w stronę patio.

Helen leżała na ziemi, John stał nad nią, unosząc żelazne krzesło nad jej głowę. Nie widziała wyrazu jego twarzy, ale mogła sobie wyobrazić malujący się na niej wyraz pogardy i nienawiści. Jeszcze chwila i krzesło opadnie...

Zawyła nieludzkim głosem, ale wiatr porwał jej

słowa. Bez namysłu rzuciła się z powrotem ku nim. Widziała wbity w siebie wzrok Helen; stara kobieta nie patrzyła na swego prześladowcę, nie błagała o litość. Jej usta układały się w jedno tylko słowo:

- Uciekaj!

Nicole znowu jej posłuchała. Z wysiłkiem odwróciła się, pokonując opór wiatru, i wbiła w rozedrganą taflę powietrza.

Nagle lunął rzęsisty deszcz. Zupełnie jakby sama natura postanowiła przyjść w sukurs wrogowi Nicole i uniemożliwić jej ucieczkę, na ziemię spadły kubły wody.

Nicole poczuła, że nagły chłód i przerażenie paraliżują jej ruchy skuteczniej niż wichura. Nie była już pewna, czy w ogóle podnosi stopy. Kątem oka, zza kurtyny ulewy, spostrzegła ścianę domu; z wysiłkiem ustawiła ciało w tym kierunku. Wtedy na ramieniu poczuła pazury drapieżnika.

Odwróciła głowę i stanęła twarzą w twarz z Johnem. Szarpnęła się, ale bezskutecznie; chwycił ją jeszcze silniej. Po jego wykrzywionej twarzy spływały strugi deszczu; ruchoma maska wody rozmazywała rysy. Wyglądał strasznie.

Olbrzymim wysiłkiem woli otrząsnęła się z przerażenia. Postanowiła nie poddać się tak łatwo. Wiedziała, że najlepszą obroną jest zaskoczenie. Rozluźniła mięśnie, lekko przybliżając się do niego, a potem nagłym ruchem wyswobodziła się z jego uścisku. Postąpiła dwa kroki do przodu i nagle poczuła przeraźliwy ból w karku. Ból z szybkością błyskawicy, lodowatym dreszczem przesu-

nał się wzdłuż kręgosłupa po całym jej ciele i podciął kolana.

Bezwładnie osunęła się na ziemię; trawa nieco złagodziła jej upadek. Na kilka sekund straciła przytomność. Potem nagła ciemność z wolna ustąpiła.

Wstawaj! Musisz się podnieść! - huczało jej w głowie, ale zwiotczałe nagle ciało nie posłuchało wezwania. Uniosła głowę i ujrzała Maxa wyłaniającego się zza węgła domu. Nie widział Johna. Widział tylko ją.

Próbowała krzyknąć, jakoś go ostrzec... W przeciwnym razie... John jednak był szybszy. Jak na zwolnionym filmie zobaczyła, że Max ciężko pada na ziemię, niczym podcięte drzewo. Wtedy John znowu pochylił się nad nią; ból objął płomieniem całe jej ciało, a potem zapadła się w lodowatą otchłań. W ostatniej sekundzie dostrzegła jeszcze upiorny uśmiech na twarzy Johna.

Max jęknął, oparł się dłońmi o trawę i usiadł. Był zamroczony, szczęka pulsowała mu boleśnie. Z ogromnym wysiłkiem spróbował się rozejrzeć.

Nie od razu zrozumiał, dlaczego znalazł się na trawniku przed domem, i co robi w ulewnym deszczu. Potem wszystko wróciło w błysku bólu i bezsilnej wściekłości. Wraz ze świadomością zjawiła się panika. Zerwał się, próbując utrzymać równowagę, zachwiał się i rozejrzał znowu. Wiatr szarpał jego ubranie, wchrzył włosy, utrudniał widoczność.

Nicky wpadła w łapy Johna! Poczucie winy stłumiło dojmujący ból.

Nicky wpadła w łapy Johna! Nie ustrzegł jej, nie obronił. Przez niego znalazła się w strasliwym niebezpieczeństwie! Grozi jej śmierć!

Z obłądem w oczach rozejrzał się raz jeszcze: trawnik, patio, zarys domu. Nigdzie żywego ducha. Na patio coś zamajaczyło... Nicky? Nie, to Helen.

W sekundę znalazł się przy niej.

- Helen, co się stało? Jak to się stało?

Pomógł jej wstać. Miała stłuczoną rękę.

- On porwał Nicky! - Na twarzy Helen deszcz mieszał się z łzami. - Max, musisz go złapać!

Odsunęła jego rękę.

- Zostaw mnie! Dam sobie radę! Goń go, Max! Goń go, nie pozwól mu... Max...

Jej głos załamał się.

Max już nie słuchał. Biegiem ruszył w stronę portu. Po drodze dognali go Douglas i Jim. Zamykali żaluzje po drugiej stronie domu i dopiero po chwili zorientowali się, że Max zbyt długo nie wraca. W ten sposób Gillman zyskał przewagę kilku cennych minut.

- John porwał Nicky!

Nie zatrzymał się, nie spojrzął na nich. Wiatr i deszcz kpiły z każdej jego próby przyśpieszenia kroku. Douglas i Jim biegli za nim.

Próbował logicznie myśleć. John jest mordercą i bandytą, ale posiada instynkt samozachowawczy. Nie wyruszy na morze podczas takiego sztormu. Przynajmniej nie powinien. Żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nie odważy się na coś takiego. Próbował nie dopuścić do siebie myśli, że może nie docenia przeciwnika.

Wiatr, zmieniwszy nagle kierunek, niemal cisnął ich do basenu portowego. Deszcz zalewał oczy. Max biegł po pomoście, w ogłuszającym huku sztormu, przeskakując wpełzające na deski grzywiaste fale.

Dotarł do końca i wbił wzrok w rozszalały żywioł, przestłonięty szarą zasłoną ulewy. Zacumowane przy nadbrzeżu łodzie szalały na uwięzi. Laguna była pusta.

Morze wyło, bryzgi fal mieszały się z deszczem, nie pozwalając wypłynąć łzom. Nagle, zza spienionego grzbietu jednej z nich, dostrzegł mglisty zarys jachtu kierującego się na pełne morze.

- Nicole! Nicky!

Nie wiedział, czy zdołał wydobyć z siebie głos, czy też jego wołanie zawisło w powietrzu, tak jakby wiatr chciał mu je wtłoczyć z powrotem do gardła.

- Nicky! Nicole!

Poczuł, że Douglas i Jim są już przy nim. Stali bez ruchu, z opuszczonymi rękami, ze zgrozą wpatrzeni w niewyraźny punkcik, wchłaniany przez ulewę, wiatr i ocean.

- Płynę za nią.

Zdeterminowany głos Maxa doszedł ich jak zza ściany.

- Zwariowałaś? - zawołał Douglas, usiłując przekrzyczeć wichurę.

Wyraz twarzy przyjaciela wystarczył mu za całą odpowiedź. Złapał Maxa za ramię, jakby wierzył, że go powstrzyma.

- Nie masz szans, Max. To beznadziejne.

Max wyrwał się i ruszył w stronę swojego jachtu. Dognali go, próbowali zatrzymać.

- Przecież to samobójstwo! Nie wypłyniesz w taką pogodę!

Przy tańczącym na wodzie jachcie natknęli się na LeRoya.

- Widziałem, jak biegliscie. Zajrzałem już do środka.

Podszedł bliżej, żeby mogli go słyszeć. Max spróbował wskoczyć na pokład, ale LeRoy zastąpił mu drogę.

- Ten łobuz poprzecinał liny. Nie uratujesz jej.

Max nawet na niego nie spojrział.

- Spróbuję.

Douglas zdjął zalane wodą okulary.

- Max, daj spokój. Zawiadomimy straż przybrzeżną. Na razie nic innego nie możemy zrobić. Jak wiatr ucichnie, zaczniemy szukać sami. Teraz nie mamy szans. Pamiętaj, że Gillman był w marynarce, poradzi sobie ze sztormem.

- Ale ona sobie nie poradzi.

Max przetarł zalaną wodą twarz i spojrział na przyjaciela. W jego oczach była rozpacz.

- Nie możemy teraz wypłynąć, Max - powiedział bezradnie Douglas.

- Popłynę sam. Dam sobie radę.

Popatrzył na LeRoya, potem na Jima.

- Czy któryś z was pomoże mi ustalić położenie tamtego jachtu?

Douglas położył rękę na jego ramieniu.

- Max, nie możesz tego zrobić. Sam wiesz i my wiemy. To pewna śmierć. Jej nie uratujesz i sam zginiesz.

- Płynę za nią.

Ruchem ręki odsunął LeRoya.

- Nie próbuj mnie zatrzymać.

Le Roy spojrział tylko bezradnie na pozostałych mężczyzn i szedł Maxowi z drogi. Jim położył dłoń na ramieniu Maxa; ten strząsnął ją ze zniecierpliwieniem.

- Płynę z tobą.

Wskoczyli na miotany falami jacht. Douglas bezmyślnie przetaił okulary moką połą koszuli i włożył je z powrotem na nos. Przez ułamek sekundy stał ze zwieszonymi bezradnie rękami, a potem jednym niezgrabnym susem wylądował na roztańczonym pokładzie. Zachwiał się i z trudem złapał równowagę.

- Zawiadom wszystkich - rzucił do osłupiałego LeRoya. - Porozum się ze strażą przybrzeżną. Niech próbują coś zrobić.

Kurczowo chwycił się grotu.

- I módl się za nas! - jęknął. - To będzie nam bardzo potrzebne.

Obudziły ją gwałtowne ruchy podłogi. Z trudem odzyskiwała świadomość. Niczego nie mogła zrozumieć. Przecież podłoga nigdy się nie rusza...

Potem nagle przyszło przypomnienie. Błyskawica świadomości rozproszyła splecione myśli. Nicole z trudem uniosła powieki. Ujrzała mokre, ciemne deski,

unoszące się i opadające w rytm huczącej, spienionej wody.

Znajduje się na jachcie. Sam na sam z Johnem na pełnym morzu.

Znalazła oparcie dla stóp i z wysiłkiem przyjęła pozycję siedzącą. Nie jest ranna ani związana. Przewróciła się i usiadła znowu, po czym wymacała jakieś mosiężne okucie i wstała.

Podłoga zafalowała, przed oczami zawirowało. Z trudem utrzymując równowagę, Nicole ostrożnie rozjrzała się dokoła. Jacht był nieco mniejszy od łodzi, którą wypożyczył Max, kiedy płynęli na wyspę. Jak on go wtedy nazywał? Jednostka pływająca czy jakoś *inaczej*?

To straszne, zupełnie nie może zebrać myśli.

Nicole przesunęła wzrokiem po szarej, wibrującej powierzchni. Jest we wnętrzu małego, przeszklonego pomieszczenia. Nagle w polu jej widzenia ukazało się coś, co sprawiło, że jej myśli natychmiast zbiegły się w jeden punkt.

John Gillman!

Stał sztywno wyprostowany, z rękami na drewnianym kole sterowniczym. Miał sklezione deszczem włosy, bryzgi fal wpadały przez otwierające się drzwi kabiny i zalewały jego wysoką postać; pod mokrą, przyklejoną do ciała koszulą widać było napięte mięśnie.

Zupełnie jakby się obudziła z koszmarne snu, aby się przekonać, że koszmar trwa nadal. Wyprostowała się i postąpiła niepewny krok do przodu. W tej

samej chwili pokład usunął jej się spod stóp i runęła wprost na Johna.

Nawet się nie obejrzał; strząsnął ją z siebie jak mokrą szmatę. Zanim zdążyła złapać oddech, potoczyła się znowu do swojego kąta.

Złapała się obiema rękami mosiężnego uchwyty, próbując powrócić do pozycji stojącej. Jak smagnięcie biczem szkwał uderzył w szybę przed oczami Nicole, zatykając jej ze strachu usta i zasłaniając oczy.

Miała przed sobą czarną ścianę wody, w uszach powolne dudnienie sztormu; fale to rosły, to opadały z sykiem białych grzebieni. Nigdy w życiu nie była tak przerażona. Nigdy nawet nie myślała, że jest zdolna do podobnego strachu. Wsparła się plecami o obudowę kabiny.

- John! - wrzasnęła Nicole. - Oszalałeś? Zawracaj, natychmiast!

Huk morza i wycie silnika zagłuszyły jej słowa. Zaczęła z wysiłkiem brnąć w stronę Johna; ciemne niebo rozdarła błyskawica. Otwarte drzwi jakiejś szafki zagroziły jej drogę. Gdy je odepchnęła, z szafki wypadło kilka pomarańczowych kamizelek ratunkowych.

Chwyciła jedną z nich, włożyła i starannie zapięła.

Znowu zaczęła brnąć przed siebie, mozolnie pokonując centymetry śliskiego pokładu. Próbowała nie patrzeć na morze. Miotany szkwałem jacht halsował ku wypiętrzonemu na północy chmurom, to wskakując na wierzchołki fal, to uginając się pod naporem wody. Wiatr bijący w dziób uniemożliwiał utrzymanie się w kursie.

Szum silnika przeszedł w wycie, dziób jachtu zarył się w wodę. To koniec, przemknęło jej przez myśl.

- Zwariowałeś! - krzyknęła znowu. - Wracaj! Zabijesz nas!

Przecież o to mu właśnie chodzi, uzmysłowiła sobie nagle.

Tylko że nie zamierza mi towarzyszyć w drodze na dno morza.

- John! John! Zawracaj! Słyszysz?

Powoli zwrócił ku niej głowę. Wyglądał tak przerażająco, że serce podjechało jej do gardła. Przez sekundę żałowała, że zwróciła na siebie jego uwagę.

- Ty dziwko, dlaczego wtedy nie zdechłaś? - zawył zwierzęcym głosem. - Przecież wszystko zaplanowałem. Jakim prawem żyjesz?

Nie puszczając koła, drugą ręką na oślep chwycił ją za gardło. Słone bryzgi wdarły się przez drzwi sterówki i zalały światła zapalone na tablicy rozdzielczej. Usta Johna wykrzywił upiorny grymas.

Nicole próbowała się wyrwać, ale jej bezładne ruchy trafiły w próżnię. Jacht nagle się przechylił, wachlarze wody uniosły się po obu jego stronach. Gdy uścisk Johna zelżał, rozpaczliwie zaczerpnęła powietrza i wyrwała się. Złapał ją za ratunkową kamizelkę i zaczął potrząsać jak zmokłym psem.

Przyznał się, że zabił Sandrę, przemknęło jej przez myśl. Przyznał się i nie ma tu nikogo, żeby to usłyszał. Żadnego świadka.

John nią potrząsał, a ona tymczasem myślała coraz sprawniej, tak jakby wstrząsy przywracały jej zdolność

logicznego myślenia. Nie ma żadnego świadka oprócz niej, a ona zaraz pójdzie na dno. John Gillman wydobyl z siebie przyznanie się do winy, ale usłyszała je tylko ona. Jest jedynym świadkiem, a zaraz stanie się ofiarą.

Cały misterny plan Maxa pójdzie na marne. Złoto zatriumfuje, Sandra nie zostanie pomszczona, zbrodnia ujdzie bezkarnie. Nowe uderzenie nawałnicy wyrwało ją z rąk Johna i rzuciło na podłogę. Wczepiła się w mokry pokład i uniosła na czworakach.

Koło sterownicze w rękach Johna kręciło się jak oszalałe. Wirówka myśli w jej głowie ustała, tak jakby pod wpływem słów Johna wszystko wróciło na właściwe miejsce.

Akcja rozpoczęta w przytulnym bungalowie na wyspie doktora Gibsona trwa nadal. Można nawet zaryzykować stwierdzenie, że rozwija się zgodnie z planem. Strach gdzieś zniknął; Nicole poczuła, że ogarnia ją gniew.

Wszystko zależy tylko od niej.

John spojrzał na nią z nienawiścią.

- Jak, do diabła, się uratowałaś?

Mokre deski pod jej stopami zadrżały. Schwyciła się jakiejś liny. Nigdy nie pozwoli mu się zabić, nie pozwoli, żeby ktoś taki jak on chociaż przez chwilę myślał, że odniósł zwycięstwo. Nie zamierza umierać i robi wszystko, by przetrwać. Jej jedyną szansą jest morze. To wrogie morze, którego nie zna i po którym nigdy nie pływała...

Ma szansę, jedną jedyną szansę.

Jej jedyną szansą jest znaleźć się w morzu dobrowolnie, zanim John się nią zajmie. Nie może do tego dopuścić. Trzeba tylko wyprowadzić go z równowagi, tak żeby stracił panowanie nad sobą i nad jachtem.

Mało brakowało, a uśmiechnęłyby się do siebie. Trzeba zaczynać, nie ma chwili do stracenia.

- Do kitu był ten twój plan, kochanie! - zawołała, przekrzykując burzę. - Słyszysz? Do kitu! Pokpięś sprawę!

Poruszył wargami, jakby wymawiał jej imię, imię Sandry.

- To wszystko pamiętasz? Nie zapomniałaś...

Z ironicznym uśmiechem patrzyła mu teraz prosto w oczy.

- Niczego nie zapomniałam. Myślisz, że można zapomnieć to, co mi zrobiłeś? Ty głupcze! Zawsze byłeś tylko głupcem!

Szkwiał szalał, fale zalewały pokład; widać było, że John traci panowanie nad jachtem.

Nicole wyprostowała się, z trudem utrzymując równowagę.

- Zapomniałeś, że nie znoszę gotować.

Nie była pewna celności strzału, ale wiedziała, że John jest specjalistą od ładunków wybuchowych. Sandra właśnie gotowała obiad, kiedy doszło do wybuchu na jachcie. John popłynął po coś na sąsiednią wyspę.

- Wszystko sobie zaplanowałeś, a ja po prostu zostawiłam gotowanie i poszłam na pokład, żeby tam na ciebie poczekać. Pokrzyżowałam ci plany.

John puścił koło. Jacht rzucił się w fale jak rumak,

któremu puszczono wodze. Nicole powoli przesunęła się w stronę wyjścia z kabiny. Musi pozwolić, żeby zabrały ją fale. Sprawdziła, czy kamizelka ratunkowa jest dokładnie zapięta, i zrobiła krok w stronę otwartych drzwi.

John skradał się ku niej krokiem rozwścieczonego drapieżnika. Kątem oka spostrzegła ciemną kurtynę wody zwieńczoną pienistą grzywą. Fala zbliżała się do nich, a właściwie to ich łupinka zbliżała się do niej.

Nicole otworzyła usta jak do krzyku.

- Zaraz zginę znowu, ale tym razem zabiorę cię z sobą!

Wcale nie zamierzała ginać. Ciemna ściana uniosła się wyżej i wygięta pod naporem wiatru. Jacht ześliznął się w wodną koleinę. Dziki pęd wtłoczył Johna między tablicę rozdzielczą a okno sterówki. Nicole zaparła się w deski kabiny, plecami szukając oparcia. Wiedziała, że za chwilę jacht zacznie wdrapywać się na górę wody.

Postąpiła krok do tyłu, jedną dłonią chwyciła klamkę od drzwi, drugą przytrzymała się framugi.

- Teraz twoja kolej, John, żeby iść do piekła!

Fala runęła na nich jak walący się dom. Nicole poczuła, że coś z nieludzką siłą rzuca ją na pokład i porywa z sobą. W ogłuszającym huku dostrzegła tylko przerażoną twarz Johna, dziko wytrzeszczone oczy i usta rozwarte do niemego krzyku.

Morze porwało ją, wciągnęło w brunatną czeluść, a potem nagle wyrzuciło na powierzchnię jak korek od butelki. Zacerpnęła powietrza i spróbowała płynąć.

Szybko zrozumiała, że niepotrzebnie traci siły. Poddała się ruchowi fal, pozwalając unosić się spienionej wodzie. Fale raz po raz zalewały ją, a potem wynosiły na powierzchnię.

Udało się. Była sama; jej życie jest w jej rękach.

Włożyła palec do gardła i zwymiotowała słoną wodę. Poczuła, że ogarnia ją senność. Zdażyła jedynie sprawdzić zapięcie ratunkowej kamizelki i zasnęła.

Nie miała pojęcia, jak długo spała. Kiedy się obudziła, było już ciemno. Siąpił zimny deszcz.

Nie wiedziała, jak długo tak dryfuje; wiedziała tylko, że musi przeżyć.

Max na pewno ją odnajdzie. Nie pozwoli jej umrzeć. Chyba znowu zasnęła, bo kiedy odzyskała świadomość, niebo pojaśniało. Znowu zwymiotowała słoną wodę. Monotonny ruch fal nie ustawał ani na chwilę.

Pomoc nie nadchodziła.

Poczuła, że płacze. W końcu to jednak John zwyciężył. Pokonał ich, zło zatriumfowało. Korzystając z tego, że znalazła się na grzbiecie fali, wyciągnęła głowę i spróbowała rozejrzeć się wokół.

Miała przed sobą przestwór wody i nieba, nigdzie nie dostrzegła śladu łodzi ani ładu. Przypomniała sobie, że o świcie na łów ruszają rekiny.

Pływając w rzece, zawsze miała przed sobą otwartą przestrzeń. Teraz znajdowała się w wodnym kotle, ograniczającym pole widzenia. Wyobraźnia zaczęła płatać jej figle; spuściła oczy, żeby nie zobaczyć charakterystycznego czarnego trójkąta, znanego z filmów o rekinach.

Błądząc słabnącym wzrokiem po kamizelce ratunkowej, dostrzegła w okolicach ramienia jakieś czarne znaki. Litery.

Zmrużyła oczy; zamazane litery ułożyły się w słowa. Przez chwilę nie mogła zrozumieć ich sensu. Strzałka wskazywała czarny punkt tuż obok jej głowy. Trzykrotnie sylabizowała tekst, żeby wreszcie pojąć, o co chodzi. Pociągnąć za uchwyt...

Zastosowała się do instrukcji.

Czerwone światło zapaliło się i zaczęło pulsować świetlnym sygnałem. Po chwili dołączył się do niego sygnał dźwiękowy. Oparła głowę o sztywny kołnierz kamizelki i z oczu znowu popłynęły jej łzy. Nie wiedziała, czy płacze, czy się śmieje. Nadzieja wróciła w chwili, kiedy zaczynała wątpić w ratunek. Teraz wszystko zależy od Maxa.

Czując go blisko siebie i niemal słysząc jego głos, znowu zapadła w sen.

17

Max stał na pokładzie z szeroko rozstawionymi nogami i wpatrywał się w przestrzeń. Stał tak już od kilku godzin. Fale prute dziobem jachtu przelewały się przez burty, oblewając go wiadrami wody, ale nie czuł tego. Nie czuł nic prócz rozpaczy.

Po nocy spędzonej na beznadziejnej walce z morzem, wszyscy byli wykończeni. Nad ranem szkwał przycichł, niebo się rozjaśniło, czarne chmury z wolna przesiąknęły szarością.

Huragan oddalał się.

Max przetarł zalaną słonymi bryzgami twarz, badając wzrokiem horyzont. Nicole żyje. Nicole musi żyć. Targnęły nim ból i rozpacz. To wszystko jego wina. Gdyby nie jego obsesyjny pościg za Gillmanem, nie doszłoby do tragedii.

Obiecał, że będzie ją chronił, miał nad nią czuwać, zapewnić bezpieczeństwo. Nie dotrzymał obietnicy. W godzinie próby znalazła się sam na sam z bestią.

Zapatrzony w skłębione, brunatne fale nie usłyszał, kiedy Douglas stanął przy nim.

- Max...

Poczuł na ramieniu rękę przyjaciela.

- Ona tu gdzieś jest, Doug, czeka na nas - powiedział zachrypniętym głosem, nie zwracając ku niemu głowy.

- Max, musisz spojrzeć prawdzie w oczy. Mamy dwa razy większy jacht i silnik o wiele większej mocy niż Gillman i ledwo dajemy sobie radę. Sztorm był zbyt silny, nie przetrzymali go.

Max pokręcił głową, nie odrywając spojrzenia od ruchomej masy wody.

- Ona żyje.

Douglas stał przy nim w przekrzywionych okularach z potłuczonymi szklami; mokre włosy oblepiały mu czoło. Zdjął przekrzywioną oprawkę z nosa i przejechał mokrą ręką po mokrych włosach.

- Jim zawiadomił straż przybrzeżną. Jak tylko będą mogli, rozpoczną poszukiwania na morzu i z powietrza. Mają większe szanse niż my.

Zacisnął rękę na ramieniu przyjaciela.

- Jacht Gillmana nie przetrzymał ostatniej nocy, Max.

- Może nie, a może tak. Może rozbili się niedaleko wyspy i Nicole dopłynęła do brzegu.

Max oderwał spojrzenie od morza i przeniósł umę-

czony wzrok na Douglasa. Widać było, że nie zamierza ustąpić.

- Będziemy szukać dalej.

Douglas zamilkł, nie chcąc przysparzać mu bólu, ale Max już na niego nie patrzył.

Na rozbujaney powierzchni wody coś zamajaczyło. Jego uwagę przykuł jakiś niewyraźny przedmiot, kołyszący się na fali. Przedmiot natychmiast zniknął, lecz po chwili pojawił się znowu. Max odepchnął Douglasa i podbiegł do nawigatora. Wskazał Jimowi przybliżone miejsce pojawienia się nie zidentyfikowanego znaku; zmienili kurs i pełną parą ruszyli naprzód.

Douglas po raz setny upewnił się, że ma na sobie kamizelkę ratunkową, i wczepił się w poręcz burty.

- Co tam zobaczyłeś?

Max nie słyszał go i nie widział. Cała jego uwaga zogniskowała się na czymś, co znikało i pojawiało się w szarawej kipieli. Przez dziesięć minut krążyli, przełamując fale i zacieśniając krąg. Wreszcie Jim naprowadził jacht prosto na cel.

Ujrzeni połamane części kadłuba, dziób jachtu, resztki masztów. Max zamknął oczy. Szczątki jachtu...

A więc łódź Gillmana zatoneła. Przez cały czas tak bardzo starał się uwierzyć, że nie stracił Nicole. Teraz, w obliczu prawdy, nie potrafił znieść bólu po jej utracie.

Zachwiał się i oparł o burtę. Z odrętwienia wyrwało go dopiero wołanie Jima. Douglas zaczął ciągnąć go do sterówki. W progu zobaczył Jima wpatrzonego w ekran radaru.

Nadzieja powróciła; wzniosł oczy do nieba, jego wargi poruszyły się w krótkiej, bezgłośnej modlitwie.

- Odebrałem sygnał dźwiękowy - oznajmił Jim i nie odwracając się ku nim, zmienił kurs jachtu.

- To sygnał alarmowy, taki jaki emitują kamizelki ratunkowe. Złapałem też sygnał świetlny.

Max został z nimi w sterówce. Stąd lepiej widział morze i jako pierwszy spostrzegł czerwone migotanie sygnału. Jim miał rację. Kiedy podpłynęli bliżej, zobaczyli pomarańczową kamizelkę kołyszącą się na fali. Max wydał ostatnie polecenia Douglasowi i Jimowi i zbiegł po schodkach na pokład.

Douglas deptał mu po piętach. Domyślał się, co przyjaciel zamierza zrobić.

- Max, nie szalej.

Max odwrócił się ku niemu gwałtownie, jakby go chciał uderzyć, ale się opanował.

- Doug, podaj linę ratunkową.

Douglas nie drgnął.

- Daj linę, to się ubezpieczę.

Niecierpliwie czekał na powrót przyjaciela. Potem szybko przepasał się liną i skoczył do morza. Douglas przylgnął do burty.

Na chwilę ogarnęła go ciemność. Potem wydobył się na światło dzienne i energicznie zaczął płynąć w kierunku pomarańczowej plamy.

Nicole słyszała, jak woła jej imię. Nie reagowała, myśląc, że to kolejna halucynacja. Tyle już razy szum morza i wycieńczony organizm płatały jej figle...

Znowu zapadła w płytki, niespokojny sen. Przesta-

ła już walczyć i przestała czuwać. Utrzymywała się na wodzie tylko dzięki kamizelce ratunkowej.

Głos Maxa nie roztopił się jednak w szumie fal. Był coraz bardziej natarczywy i bliższy. Otworzyła oczy i spróbowała zwrócić głowę w stronę, skąd dochodził. Zanim woda załapała jej oczy, ujrzała zarys znajomej twarzy.

Znowu przywidzenie, coś jej się przyśniło. Twarz pojawiła się bliżej i głośniej zabrzmiało wołanie:

- Nicole! Nicole!

Max. Miała zbyt wyschnięte usta i zbyt spuchnięty język, żeby wymówić jego imię. Nie miała siły zwrócić ku niemu głowy. Na ramionach poczuła jego ręce, jego twarz była tuż obok, słyszała swoje imię. Wydawało jej się, że w jego oczach dostrzega łzy. To nie była halucynacja; Max jest przy niej.

- Wiedziałam... że mnie uratujesz...

- Nic nie mów, kochanie. Już jesteś bezpieczna.

Nie mógł uwierzyć, że to prawda: Nicole żyje!

Dotykał jej twarzy, jej włosów, jakby szukał potwierdzenia. Chciał wziąć ją w ramiona i na zawsze osłonić przed całym złem tego świata.

Po chwili znalazł się przy nich Douglas. Razem przyholowali Nicole do jachtu.

Morze nie chciało oddać swojej zdobyczy. We trzech musieli wciągać ją na pokład. Potem znalazła się w ramionach Maxa, który ją zaniósł do obszernej, komfortowo urządzonej kabiny.

Klimatyzowane powietrze owiało ją chłodem i zaczęła drzeć. Max zdjął z niej kamizelkę, wytarł mięk-

kim ręcznikiem i zawinął w koc. Potem usiadł obok i mocno przytulił ją do siebie, kołysząc w ramionach.

Nicole nie mogła wymówić słowa. Szeroko otwartymi oczami patrzyła na Douglasa, nalewającego do szklanki świeżej wody. Max pomógł jej wypić łyk, a potem odsunął naczynie.

- Pić... Strasznie chce mi się pić...

- Musisz pić powoli, Montana, bo jeszcze zwymiotujesz.

Chciała się roześmiać i powiedzieć, że od wielu godzin nie robi nic innego, ale była zbyt wyczerpana, żeby wydobyć z siebie głos. Spróbowała się uśmiechnąć, ale zabołały ją usta. Lekko przytknęła palec do warg.

Max uwięził jej rękę w dłoniach.

- Długie przebywanie w słonej wodzie niszczy skórę, ale to nic groźnego. Po kilku dniach odpowiedniej pielęgnacji wszystko wróci do normy, nie martw się na zapas.

Teraz nie martwiła się już niczym. Oczywiście, że wszystko wróci do normy.

- Trzeba przyznać, że rzeczywiście wyglądasz jak suszona śliwka - dodał Max i uśmiechnął się do niej.

- Dziękuję za komplement - zaskrzeczała.

Douglas roześmiał się. Max z ulgą mu zawtórował. Głos miała schrypnięty i szorstki. Zamknęła oczy; kiedy je otworzyła, czuła się nieco lepiej. Wróciła jasność myśli. Tylko głos w dalszym ciągu zawodził. Kiedy próbowała go z siebie wydobyć, skrzypiała jak nie naoliwiona maszyna.

- Lepiej nic nie mów - poprosił w końcu Max.
- Sam ci odpowiem na wszystkie pytania. Jim zawiadomił już Helen i resztę naszej ekipy, że cię znaleźliśmy, i właśnie wzięliśmy kurs na wyspę świętego Tomasza. Zawieziemy cię do szpitala, żeby cię przebadali i zobaczyli, czy wszystko dobrze.

- A John? Co z Johnem?

Max spuścił głowę. Nie spojrzał na nią.

- Widzieliśmy na wodzie resztki jachtu. To mogła być jego łódź. Nie wiesz, czy miał na sobie kamizelkę ratunkową? Jeśli tak, mógł się uratować... W przeciwnym razie pewnie zginął.

Nicole milczała, więc mówił dalej:

- Chyba utonął. Straż przybrzeżna prowadzi poszukiwania. Kiedy wróca, dowiemy się wszystkiego.

Mocniej przyciągnął ją do siebie.

- Straszenie mi przykro, Montana, przeze mnie mógł cię zabić. To wszystko moja wina.

Powinna powiedzieć coś, żeby go uspokoić i żeby już się nie dręczył wyrzutami sumienia, ale było jej tak dobrze, ciepło i bezpiecznie w jego ramionach... Znowu zamknęła oczy. Będzie czas zastanowić się nad tym, co jest między nią a Maxem, kiedy je otworzy.

Trzeciego dnia po owej dramatycznej nocy na morzu obudziła się z tym samym uczuciem smutku i przygnębienia, który towarzyszył jej od chwili opuszczenia jachtu. Pierwszy dzień spędziła w klinice pod czujnym okiem lekarzy, a potem przeniesiono ją do luksusowego hotelu na wyspie.

Przez kolejne dwa dni musiała odpowiadać na nie kończące się pytania. Policja koniecznie chciała wiedzieć wszystko o Johnie i o tym, co zaszło na jego jachcie, zanim zmiotła ją fala.

Początkowo funkcjonariusze nie bardzo chcieli wierzyć w opowiadaną przez nią historię i dopiero świadectwo Maxa, Douglasa i Helen uwiarygodniło jej zeznania. Kiedy doszli do momentu, w którym John przyznaje się do zabicia Sandry, nie wytrzymała i rozplakała się. Wtedy Max zażądał, żeby dano jej spokój.

Wiedziała o poszukiwaniach prowadzonych przez straż przybrzeżną i o tym, że Max i Douglas biorą w nich udział. Wiedziała, że morze wyrzuciło resztki roztrzaskanego jachtu na brzeg sąsiedniej wysepki, ale ciała Johna nie znaleziono.

Nicole odwróciła głowę i uśmiechnęła się. Przy jej łóżku siedziała Helen. Starsza pani ulokowała się przy niej na dobre i pod żadnym pozorem nie chciała opuszczać jej pokoju. Była przy niej w dzień i w nocy.

- Witaj, Helen.
- Już się obudziłaś?
- Zupełnie nie rozumiem, dlaczego jestem tak potwornie zmęczona.

Helen wstała z krzesła i wzięła ją za rękę.

- Doktor mówi, że to szok. To minie.

W progu pokoju ukazał się Max. Helen uśmiechnęła się na jego widok.

- Max, powiedz jej, że to tylko szok i że niedługo całkiem wydobrzeje.

Nicole zamilkła i zamknęła oczy. Kiedy je otworzyła, były pełne łez.

- To coś więcej. Mam wyrzuty sumienia.

- Nie wolno ci mieć żadnych wyrzutów sumienia - stanowczo oświadczyła Helen. - Żadnych, słyszysz?

Max podszedł do łóżka.

- Zrobiłaś to, co musiałaś, żeby ratować życie. Każdy na twoim miejscu zrobiłby to samo.

- Zabiłam człowieka, panie Nowy Jork.

- Człowieka, który chciał cię zamordować.

- Wiem, ale...

- Musiałaś to zrobić, nie miałaś innego wyjścia.

Nie słuchała go, tylko mówiła dalej, zapatrzona w przestrzeń:

- Zrobiłam to z rozmysłem, z premedytacją. Zamordowałam go. Zaplanowałam to, gdy tylko zrozumiałam, że nie zejdem żywa z tego jachtu. Postanowiłam go rozwścieczyć, wyprowadzić z równowagi. Przemyślałam każdy swój ruch. Zrobiłam wszystko, żeby go sprowokować, i udało mi się. Chciałam, żeby stracił panowanie nad jachtem i nad samym sobą. Myślałam tylko o tym, że zabił moją siostrę i nie poniósł kary, i nie chciałam, żeby to się powtórzyło. Zabiłam go i nic nie zmieni faktu, że jestem winna śmierci człowieka.

Helen oparła głowę o poręcz łóżka. Po jej policzkach spłynęły łzy. Nicole ścisnęła ją za rękę.

- Już wszystko skończone.

Helen wytarła oczy chusteczką i wyprostowała się.

- Tak. Moja córka spoczywa teraz w spokoju. Zbrodnia została ukarana. Ale ty się dręczysz, prawda?

- Tak.

Helen wskazała Maxowi krzesło.

- Usiądź tu. Bardzo mi przykro, Nicky, że cię w to wszystko wplątaliśmy, ale cieszę się, że John ma to, na co zasłużył. Zapłacił życiem za swoją zbrodnię. Dokończyła się ludzka sprawiedliwość. Reszta nie należy już do nas. Chociaż osobiście mam nadzieję, że poszedł prosto do piekła.

Max poczekał, aż Helen wyjdzie z pokoju i zamknie za sobą drzwi. Nicole spojrzała za nią.

- Mam nadzieję, że teraz odzyska spokój. Należy jej się po tym wszystkim, co zrobiła.

Usiadł na krześle obok łóżka.

- I co, Montana, dobrnęliśmy jakoś do samego finału, prawda?

- Tak.

Finał. Ich historia dobiegła końca i Max odejdzie z jej życia. Spełniła swoje zadanie i nadszedł czas, żeby się rozstać.

Max na nią nie patrzył. Nieczęsto brakowało mu słów. Teraz chciał jej powiedzieć tyle rzeczy i nie wiedział, jak zacząć. Dręczyło go poczucie winy i świadomość, że przez niego niemal nie zginęła. Fakt, że ponadto obciążył Nicole winą za śmierć Johna Gillmana, jeszcze tylko pogarszał sytuację.

- Codziennie dzwonię do Charliego - powiedział wreszcie. - U niego wszystko w porządku, ale bardzo za tobą tęskni. Czeka na ciebie.

- Wiem. Rozmawiałam z nim.

Przecież nie może go zapytać, co z nimi będzie dalej.

- Chyba powinnam już wstać, prawda? - zapytała zamiast tego. - Czuję się dobrze, nie mogę całego życia spędzić w łóżku.

- Chcesz wypróbować nogi?

Patrzył na Nicole, urzeczony jej urodą. Była taka piękna i krucha.

- Jeśli uważasz, że jesteś w stanie, spróbuj.

Podniósł się.

- Zaraz poproszę Helen, pomoże ci.

Wolnym krokiem poszedł w kierunku drzwi, położył rękę na klamce i zawahał się na ułamek sekundy.

Nie może się doczekać, żeby stąd wyjść, pomyślała. Tak bardzo mu się śpieszy. Po tym wszystkim, co między nimi było, po tym, co razem przeżyli... Ale przecież to tylko seks. Sama tak powiedziała, a on doszedł do wniosku, że ona ma rację.

Wszystko skończone, tylko niepotrzebnie tak bardzo boli. Poczwała, że serce jej pęka. Tylko się nie rozpłakać. Jest silna i panuje nad sobą. Nie jest płacziwą panienką.

Usłyszała dźwięk zamykanych drzwi. Po chwili otworzyły się znowu.

Kiedy Helen weszła do środka, Nicole zalewała się łzami.

- Co on ci zrobił? Dlaczego płaczesz?

Nicole wytarła oczy.

- Dlaczego myślisz, że to z powodu Maxa?

- Zakochana kobieta właśnie tak płacze, kiedy mężczyzna od niej odchodzi.

- Max nic dla mnie nie znaczy.

- Oczywiście. A ty nic nie znaczysz dla niego. Ciekawe tylko, dlaczego wyszedł stąd z miną człowieka, który ma złamane serce i wszystko utracił.

Podawała jej chusteczkę do nosa. Nicole wytarła łzy.

- Myślałam... - Łzy znowu popłynęły po jej twarzy. - Zresztą nieważne.

- Myślałaś, że Max cię kocha?

- Nie! To znaczy tak.

Helen rozsiadła się na jej łóżku.

- To już coś. Zresztą masz rację, on cię kocha. Może sam jeszcze o tym nie wie, ale tacy właśnie są mężczyźni. Trzeba im pomóc dojść do pewnych wniosków. Potrzebują kopa.

Helen uśmiechnęła się.

- Mój zmarły mąż opowiadał na ten temat pewną anegdotę. Chcesz posłuchać? Jest dość pouczająca.

Nie czekając na odpowiedź Nicole, mówiła dalej:

- Pewnego dnia dwa byki stały sobie na stromym wzgórzu i patrzyły na pasące się w dole krowy. Młody byk powiedział: chcesz, zbiegniemy ze wzgórza i załatwimy jedną z nich. A stary byk na to: pójdźmy sobie lepiej wolnym kroczeniem i załatwimy wszystkie.

Zamilkła. Nicole pociągnęła nosem.

- Nie rozumiem, co to ma wspólnego ze mną i z Maxem?

- Nic takiego. Po prostu nieraz lepiej iść wolnym kroczeniem, to wszystko.

Uśmiechnęła się.

- A może Maxa trzeba po prostu zepchnąć ze wzgórza...

Nicole nie miała pojęcia, o co Helen chodzi. Chciała tylko jak najszybciej stąd uciec i znaleźć się w domu.

- Chcę wstać. Niech mi oddadzą moje spodnie i buty, wracam do siebie.

- Bardzo dobry pomysł. Śledztwo chyba zostało już zakończone. Zawiadomię mojego pilota i jeszcze dzisiaj odwiezie cię do Montany.

Dom. Raj i schronienie. Tak bardzo za nim tęskniła i tak bardzo chciała do niego wrócić.

Tutaj jest jej miejsce, jej ojciec i najbliżsi. W domu może czuć się bezpieczna i szczęśliwa. Szczęśliwa...

Po kilku dniach nawet Charliemu znudziła się jej smutna mina, zwolnione ruchy, rezygnacja i smutek.

- Może byś tak poszła w góry, maleńka? Spacer dobrze ci zrobi. Przyjdiesz do siebie i wrócisz taka jak dawniej.

Wiedziała, że ojciec ma rację. Musi coś z sobą zrobić, musi położyć tamę wspomnieniom i zacząć żyć normalnie. Nie można stale żyć przeszłością.

Noce były najgorsze. Leżała nie śpiąc i rozmyślając o tym, co się wydarzyło, i o - Maksie. Max opuścił wyspę prawie bez pożegnania. Pocałował ją w policzek i powiedział coś w rodzaju „trzymaj się”. Była wściekła na niego i na samą siebie: Znowu dała się omamić, znowu cierpiała. Niczego się nie nauczyła.

Zaparkowała jeepa pod drzewami i ruszyła w kierunku swojego ulubionego miejsca, tam gdzie znajdowało się ciepłe źródło. Od opuszczenia wyspy świętego Tomasza upłynęły już dwa tygodnie, a ona nie mogła przestać myśleć o tym człowieku. Pojawiał się w jej myślach w najmniej spodziewanym momencie, obracając wniwecz z trudem budowany, prowizoryczny spokój.

Pośliznęła się na drobnych kamieniach z bocza i przytuliła twarz do chłodnej, skalnej ściany. Odczekała chwilę, aż ustanie szybkie bicie serca. Nigdy dotąd nie zdarzyło jej się tak chodzić po górach. W duchu skarciła samą siebie za lekkomyślność i postanowiła bardziej uważać.

Wspinała się dalej, próbując zachować ostrożność. Jej uwagę zwróciły odłamki skalne pokrywające grań. Wiatr zwykle zwiewał je natychmiast, nie pozostawiając na gładkiej powierzchni skały żadnego śladu. Ktoś musiał tędy iść przed nią, człowiek, a może jakieś zwierzę...

Rozejrzała się, uważnie wsłuchała w szum drzew.

Zaraz dotrze do swojego zaczarowanego miejsca, gdzie odzyska utracony spokój. Lekko zeskoczyła z występu skalnego i poszła w kierunku niecki, gdzie znajdował się staw.

Jakiś ruch i dźwięk zwróciły jej uwagę. Zwolniła kroku.

- Myślałaś, że pozwolę ci tak łatwo odejść?

Kilka metrów przed nią stał Max. Na trawie, obok stawu, ujrzała obrus, koszyk piknikowy, butelkę wina i dwie szklanki.

- Max! Jak się tu znalazłeś... i dlaczego?

- Wszystko po kolei. Najpierw jak. Zadzwoiłem do twojego ojca kilka dni temu i powiedziałem, że chcę przyjechać, ale poprosiłem, żeby nic ci nie mówił. Charlie potrafi dotrzymać sekretu.

- I kłamać prosto w oczy.

- Penny, JD i Reed też potrafią. JD wyjechał po mnie na lotnisko, Penny zajęła się mną w chacie i przygotowała mi ten kosz, a Reed przyprowadził mnie nad źródło.

Nicole przygryzła wargi, żeby się nie roześmiać.

- Skąd wiedziałeś, że tu będę? Skąd wiedziałeś, że ojcu uda się wyprawić mnie z domu?

Bardzo chciała go dotknąć i znaleźć się w jego ramionach, ale bała się, że to, co widzi, to tylko projekcja jej marzeń.

- Nie wiedziałem. Charlie miał tylko wyprawić cię w góry. To Penny i JD powiedzieli mi, że poszłaś w swoje ulubione miejsce.

W czasie rozmowy uważnie jej się przyglądał. Nicole wyglądała znacznie lepiej niż przed dwoma tygodniami. Smutek i przygnębienie zniknęły z jej oczu, policzki się zaróżowiły.

- Dlaczego tu przyjechałeś?

- Chyba to oczywiste.

- Nie dla mnie. Kiedy widzieliśmy się ostatni raz, byłeś bardzo chłodny. Pożegnałeś się ze mną jak z kimś obcym.

- To tylko pozory. Zachowywałem się tak, bo nie umiałem sobie poradzić z tym, co czułem. Za bardzo ciążyły mi wyrzuty sumienia.

Chciał wziąć ją w ramiona, ale Nicole postanowiła tym razem nie bawić się w domysły i niedopowiedzenia. Chciała usłyszeć wszystko.

- Wiedziałem, że ponoszę winę za to, co się stało. Naraziłem cię na śmiertelne niebezpieczeństwo. Obciążyłem twoje sumienie odpowiedzialnością za śmierć Gillmana. Bardzo źle się stało, Nicky. Zdawałem sobie sprawę z tego, co czujesz i postanowiłem dać ci trochę czasu, żebyś sobie mogła wszystko przemyśleć.

Zrobił krok do przodu.

- Douglas i Helen powiedzieli mi, że nie wolno dłużej zwlekać. A jak Helen coś powie...

Nicole uśmiechnęła się szeroko.

- Wiem. Dała ci swój samolot i kazała tu lecieć.

Roześmiał się radośnie.

- Tak. Kiedy postanowiłem, że tutaj jadę, po prostu wsadzili mnie do samolotu. Z Dougiem i Helen nie ma żartów.

Nie mógł powiedzieć Nicole, że Helen ma również inne plany, że zamierza przekazać jej spadek po Sandrze i w ten sposób zabezpieczyć ją na przyszłość. Zresztą Helen i Douglas wkrótce przybędą do Montany, żeby się upewnić, czy spisał się jak należy. Wszystko jej powiedzą. A teraz najważniejsze...

- Kocham cię, Montana.

Przekrzywiła głowę.

- Co? Nie dosłyszałam.

- Kocham cię, powiedziałem.

- Kochasz mnie? Dlaczego?

- Skąd mam wiedzieć? Po prostu kocham.

W jej oczach dostrzegł znany błysk. Nadszedł czas na następną rewelację.

- Mam jeszcze inną wiadomość, która może cię zainteresuje. Przenoszę swoje interesy tutaj, zmieniam wspólników, nawiązuję nowe kontakty.

- Przecież masz firmę w Nowym Jorku?

- Wkrótce zamierzam się wycofać. Mam ci powiedzieć, z kim teraz będę pracował?

- Powiedz.

Serce podpowiedziało jej to, czego jeszcze nie wymówiły jego wargi. Włożyła ręce do kieszeni spodni, żeby ukryć ich drżenie. Wiedziała już, że Sandra odeszła z ich życia na zawsze. Max patrzył na nią i widział tylko ją, Nicole. Nareszcie są sami.

- Bardzo chcesz, żebym zapytała?

- Bardzo.

- W takim razie pytam: z kim teraz będziesz pracował?

- Z firmą Dawsona. Zostałem wspólnikiem Charliego i będę pracował z tobą.

Teraz Nicole postąpiła krok do przodu.

- Nie mogę w to uwierzyć. Kiedy on to zrobił?

Przypomniała sobie tajemniczy uśmiech ojca, wyprawy do miasta i wizyty u adwokata. Spojrzała na Maxa niepewnie.

- Nie wiesz, jaką mamy tu zimę, panie Nowy Jork. Nasze zimy są bardzo ciężkie...

- Sprawdzę.

Nicole czuła zimny dreszcz i jednocześnie paliły ją policzki. Zrobiła jeszcze jeden krok do przodu. Za-

czerpnęła powietrza, słowa same wydobyły się z jej ust:

- Będziesz się musiał ze mną ożenić.

Nie wierzyła, że odważyła się to powiedzieć.

- Pewnie chciałabyś, żebym poprosił cię o rękę?

- Jeśli można.

Do licha z formalnościami! Nie może już dłużej czekać. Podbiegła do niego, zarzuciła mu ręce na szyję i przyłgnęła do niego całym ciałem.

- Kocham cię, Max.

- Cóż za wzruszająca scena!

Poczuła, jak Max sztywnieje w jej ramionach.

Odwróciła głowę, nie wierząc własnym uszom. Ten głos... Na szczycie skały istotnie stał John Gillman. W ręku trzymał strzelbę. Wystarczy, że ją uniesie i nacisnie spust...

Początkowe przerażenie ustąpiło nagle miejsca uldze. On żyje.

- Nie zabiłam go, Max - szepnęła.

- Nie tak łatwo mnie zabić, chociaż trzeba przyznać, że nie szczedziliście wysiłków, żeby to zrobić.

Głos Gillmana był schrypnięty, spokojny i zimny jak lód.

Znajdowali się na otwartej przestrzeni, wprost na linii strzału. Max zerknął ku skałom okalającym wodospad. Tam może być ratunek.

Potem spojrział na Gillmana. John nie był w szczytowej formie. Obdarty i zarośnięty, robił wrażenie ściganego. Najważniejsze były oczy. W rozszerzonych źrenicach skupiła się cała przepełniająca go nienawiść.

Był człowiekiem straconym. Nie miał dokąd iść, nie miał nic. Nie miał pieniędzy, nie miał dostępu do tego, co posiadał dawniej. Ciekawe, jak dotarł aż tutaj. Chyba rzeczywiście umiał poradzić sobie w każdej sytuacji, a tym razem na dodatek nie miał nic do stracenia. Mógł spokojnie zabić ludzi, których obwinał za wszystkie swoje nieszczęścia.

Najważniejsze, czy fizyczny stan, w jakim się znajdował, osłabił jego refleks. Trzeba coś zrobić, w przeciwnym razie zginą. Przy odrobinie szczęścia może im się uda na sekundę odwrócić jego uwagę i ukryć się, zanim strzeli.

Nie wolno narażać znowu Nicky. Trzeba odwrócić jego uwagę, zwolnić reakcje. Przede wszystkim osłonić Nicky.

- Jak się uratowałeś z tonącego jachtu, Gillman?
- spytał Max, nie ukrywając zresztą zainteresowania.
- Są na to sposoby. Jak wiesz, służyłem w marynarce.

Nie patrzył na Maxa, patrzył na Nicole takim samym wzrokiem jak wtedy na jachcie. Wzrokiem mordercy zamierzającego zabić.

Roześmiał się. Góry echem odbiły jego zły, obłąkany śmiech.

- Któżby przypuszczał, że Sandra ma siostrę bliźniaczkę! I że ktoś ją znajdzie i użyje przeciwko mnie! Doskonały pomysł.

- Zupełnie jak w powieści. - Max, nie spuszczać z niego wzroku, lekkim ruchem głowy wskazał Nicky skały przy wodospadzie. - Ty też nieźle sobie wszy-

stko zaplanowałeś, John. Nie każdy by tak umiał. Zabiłeś Sandrę, a potem o mały włos nie zabiłeś jej siostry bliźniaczki. Powiedz, jak się dowiedziałeś, że Nicole jest siostrą Sandry?

- Miałem szczęście. Rybacy, którzy mnie wyłowili, wysadzili mnie na wyspie świętego Tomasza. Charlotte Amalie to małe miasto, wszyscy gadali tylko o jednym. Wystarczyło mieć uszy otwarte, no i trochę sprytu. Ludzie lubią się napić, a wtedy stają się rozmowni i niejedno można z nimi załatwić. Dostać klucze do jakiejś szafy, przejrzeć sobie papiery. Mam pewne doświadczenie w tych sprawach. Umieję zdobywać informacje. Swoją drogą, nieźle mnie załatwiliście. Nie miałem grosza przy duszy, a do banku nie mogłem iść, bo oficjalnie nie żyłem. Wszystkie moje konta w Stanach były zablokowane. Musiałem bardzo się starać, żeby coś podjąć z zagranicy.

Był wyraźnie podniecony, upajał się swoją przebiegłością. Nicole postanowiła zapytać go o Sandrę, lecz nie zdążyła. Max ruchem ramienia dał jej znak.

Za plecami Johna zamajaczył jakiś cień.

Reed... Max mógłby przysiąc, że zobaczył za drzewami twarz Reeda. Tylko nie to! John może zabić chłopca. Zastrzeli go tu, na oczach Nicole... Jeszcze jedna śmierć więcej... Nie. Porozumiewawczo ścisnął ją za rękę.

Spostrzegła Reeda i pomyślała o tym samym. Nie wolno narażać chłopca; żadnej ofiary więcej. Przecież dopiero co uwolniła się od winy za śmierć Johna.

Znowu coś się poruszyło. Nicole spostrzegła zarys sylwetki szeryfa.

Wszystko stało się tak szybko, że nie zorientowali się, skąd padł strzał. Zanim Gillman zdążył się odwrócić, słysząc za sobą szmery, kula przeszła tuż koło jego głowy. Błyskawicznie padł na ziemię.

Max był zdezorientowany. Spodziewał się ataku od strony szeryfa; widział przecież, jak Jeff Hall skrada się między liśćmi, szukając dogodnej pozycji. Tymczasem strzał padł z innego kierunku. W pewnej chwili wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna zeskoczył ze szczytu skały.

- To ty, Ash - rzucił szeryf i dotknął nogą Gillmana.

Podał Reedowi kajdanki i przez chwilę patrzył, jak chłopiec zakłada je leżącemu na ziemi mężczyźnie.

- Przeszukaj go dobrze, synku.

Potem podniósł wzrok na swego kumpla, ojca Reeda.

- Mogłeś poczekać, aż dam znak.

Ash senior opuścił stetsona i przejechał ręką po spłowiałych od słońca włosach. Z powrotem nasunął kapelusz na oczy i roześmiał się głośno.

- Jakoś mi się nie podobała jego gadka i spojrzenie. Nie było powodu czekać.

Spojrzał na Nicole.

- Wszystko w porządku, mała?

Roześmiała się i przyprowadziła do nich Maxa. Przedstawiła go im.

- Skąd wiedzieliście, że on tu jest?

Ash uważnie przyglądał się Maxowi, Jeff zaś wyjaśnił:

- Zadzwoił do mnie Douglas Hart i powiedział, że jego agencja dostała właśnie informację, że z zagranicznego konta Gillmana została podjęta pewna kwota. Wydało mu się to podejrzane. Rozejrzałem się po mieście i ludzie mi powiedzieli, że jakiś obcy facet wypytuje o Dawsonów. Zadzwoiłem do Asha. Kiedy dotarliśmy do chaty, JD powiedział nam, gdzie jesteście. Przyprowadził nas tutaj Reed, tylko on znał drogę.

Nicole ucałowała chłopca, a potem równie serdecznie podziękowała Jeffowi i Reedowi. Czuła się lekka i szczęśliwa. Nie zabiła Gillmana.

Morderca Sandry przed sądem odpowie za swą zbrodnię. Dla kogoś takiego jak Gillman więzienie to kara gorsza od śmierci. Gillman nie potrafi żyć w klatce. Może to i lepiej.

- Bierzcie go i idziemy.

Szeryf odwrócił wzrok od Gillmana i znacząco spojrział na Maxa i Nicole.

- Państwo pewnie chcieliby skończyć to, co zaczęli. Wyciągnął rękę do Maxa.

- Witamy w Montanie, życzymy szczęścia. To duże miasto - dodał, widząc zdumione spojrzenie Maxa. - I dużo się tu plotkuje.

Na odchodnym zatrzymał się i dodał:

- A gdybyś tak chciał skrzywdzić naszą Nicky... Będiesz miał do czynienia ze mną, z Charliem, Ashem, Reedem i połową miasta.

Max uśmiechnął się szeroko.

- Wizja jest okropna, ale nie martw się, wszystko będzie dobrze.

Objął Nicole. Przez chwilę stali i patrzyli, jak trzej mężczyźni prowadzą Gillmana w dół zbocza.

- O czym to mówiliśmy?
- Właśnie zamierzałeś się oświadczyć.
- Ani myślę. Przed chwilą sama poprosiłaś mnie

o rękę.

Stała przed nim z taką miną, jakby jeszcze się wahała.

- O co znowu chodzi?
- Max... - Zrobiła nieokreślony ruch ręką. - To

wszystko, te góry, zima, ranczo, to nie jest łatwe życie. Wyprawy z gośćmi, śniegi...

Chciała jeszcze coś powiedzieć, ale zaczęła ją całować. Miała ochotę zadać mu jeszcze tyle pytań, ale wszystkie nagle gdzieś zniknęły.

Max oprzytomniał pierwszy.

- Jak myślisz, Montana, chyba teraz, kiedy już się kochamy i jesteśmy razem, to nic nie jest w stanie nas rozdzielić, prawda? Tyle przeszliśmy i tyle jeszcze nas czeka...

Tak właśnie było.

Mieli przed sobą całe długie życie. Całe długie i ciekawe życie we dwoje.